



OFIARA
PORANNA

AR. DR. ANNY WYDRYCKIEJ

ANNA ZAHORSKA

OFIARA PORANNA

1939

POTULICE

NAKŁADEM SEMINARIUM ZAGRANICZNEGO



Józef Miękus

Przedmowa

Jeżeli życie katolickie, wchłaniając w siebie nowoczesność i tę nowoczesność prześwieclając do głębi Chrystusowością, wydaje przepiękne i oryginalne formy życia jednostkowego i społecznego, to rzadko można spotkać wśród tych naprawdę kipiących życiem zjawisk zrzeszenie katolickie tak młode i tak pełne słonecznego entuzjazmu, jak Seminarium Zagraniczne w Potulicach, albo raczej „Towarzystwo Chrystusowe dla Wychodźców“.

Stworzone dla jednego, ściśle określonego celu, wnet w bujnej swej żywotności wytania ze siebie nowe możliwości, napętnia hieratyczne formy życia religijnego taką młodością i radością, że ze wszystkich dróg świata już kroczą ku niemu coraz nowe zadania.

Zgromadzenie czysto-polskie, wyrosłe na polskim gruncie, z polskiego ducha. Nic dziwnego, że żywotowo zwróciły się ku niemu sympatie całego społeczeństwa.

Zgromadzenie składające się prawie z samych młodych ludzi, którzy przynieśli tu swoją czystość, nieskalaną jeszcze brudem świata, swój zapał, rozmach do wielkich przedsięwzięć, niestępną wrażliwość, niezdeptane przez nieszczęście zaufanie do świata...

I oto zgromadzenie ludzi młodych, prawdziwych podchorążych Bożych w tej najradośniejszej z podchorążówek przygotowuje się do wielkich wypraw w nieznanne kraje, do trudów, do poświęceń, do służby Bożej. Ten ładunek entuzjazmu jest tak wielki, że z pomocą Bożą rozsadzi może po drodze niejedno zastarzałe posępne zło.

Wśród nich — młodziutki podchorąży, któremu danym było zbyt prędko zejść z pola. Kleryk Józef Miękus... Przeszedł przez życie powstającego Towarzystwa, jak smuga jasności, zostawiając żal i wspomnienie, rozechwiane na skrzydłach anielskich. Życie jego najściślej związane z życiem Towarzystwa.

Z postaci, ozdabiających wielki ruch katolicki naszych czasów, najpodobniejszy jest Józef Miękus do Jerzego Piotra Frassati. Upodabniał go do Frassati'ego typ Towarzystwa, które pełne życia i miłości wychodzi naprzeciw świata, by go zdobyć dla Chrystusa, nie separując się od ludzi, dążeń współczesnych, prostej i niewinnej radości.

Miękus — to harcerz Chrystusowy, który bada przyrodę, bierze udział w meczach sportowych, potrafi ożywić dokoła siebie grono współbraci, ma otwartą wrażliwość, z siłą i zdrowiem chwytającą z otoczenia wrażenia artystyczne, umysłowe, hasła ideologii katolickiej. Żadnego oderwania od świata, żadnej negacji życia. A jednocześnie — wszystko to obrócone w cegły budowy Królestwa Bożego, wszystko, iglicą wieży gotyckiej wystrzelone ku niebu. Wszyst-

ko owiane błękitem. Wszystko skąpane w białych obłokach. Młoda dusza, w której zaiste zamieszkał Chrystus.

Mówiąc po ludzku, jest to życie niedokończone, przerwane, zmarnowane. Wydaje się straszliwym nonsens i bezcelowość tego dążenia, tych przygotowań, które się przerwały, którym nie dano osiągnąć żadnego dokonania w świecie czynu.

W świecie czynu został ślad nikły zaledwie. Praca w organizacjach katolickich, wśród młodszych braci zakonnych, parę referatów wygłoszonych z zapalem, nieco pracy redakcyjnej w wydawnictwie Towarzystwa Chrystusowego dla Wychodźców. Wystarczyło tego krótkiego czasu, by wnieść do Zgromadzenia ten odrębny ton — radości z życia, radości w Bogu, prześwietlania każdej rzeczy boską ideą, nie zaś odtrącania jej i pogardzania za ziemskość — ton nowoczesności, przez który Towarzystwo mogło stanąć pośrodku życia i wszystkich zrozumieć.

I oto jeden z najzdolniejszych i najbardziej obiecujących zakonników, odchodzi, ofiarowawszy się „za grzechy własne, za grzechy Towarzystwa i za grzechy wychodźstwa“ na ofiarę poranną, na ofiarę czystą i niepokalaną.

Biorąc rzeczy po Bożemu, nie po ludzku, jest cały przebieg tego życia wszechmocnie logiczny i zwarty. „Choćbyś mnie zabił, ufać Ci będę“ — mówi Miękus, do Chrystusa. Kto takie słowa wypowiada, musi je stwierdzić, musi dać im świadectwo.

I oto przychodzi męka niezawiniona, próba cierpliwości, wytrzymana męźnie, wytrzymana do końca. Miękus był człowiekiem zdecydowanym na wszystko: gdyby dożył i poszedł w dalekie kraje — pracować dla uchodźstwa, z którym miał sposobność się zetknąć na zjeździe Światowego Związku Polaków Zagranicą — znosiłby tam wszelkie przeciwności i dobiegł do mety, przebojowawszy potykaniem dobrym.

Jasnym jest sens tego młodego, krótkiego życia. Zaprzysiężone było idei Towarzystwa Chrystusowego dla Wychodźców, idei, przypominającej dawne wielkie hasła naszych wieszczów, idei mesjanistycznej w stosunku do wychodźstwa polskiego i do innych narodów.

By tę ideę zrozumieć, musiała Polska stać się ofiarą i cierpieć straszliwie i męczeńsko przez stulecie przeszło.

By ta idea mogła rość, potrzeba było ofiary porannej, wlewającej prąd promiennej siły duchowej w życie Towarzystwa.

Kreśląc młode dzieje młodego Towarzystwa, jednocześnie ukazujemy jednego z tych podchorążaków, tych nowo-zaciężnych Chrystusa, który zrywał się i wyteżał siły, by przybliżyć Królestwo Boże na ziemi, a tak prędko odwołany został do hufca wiekistej glorii.

Autorka.

Warszawa, dnia 1 listopada 1938 r.

1

S. O. S.!...

Nie od dziś tułacz polski tęskni za Ojczyzną na dalekich lądach, za dalekimi morzami. Wyrzucały niedomielone, męczeńskie ziarno prawie od półtora wieku wszystkie potworne żarna Moabitów, Kuffsteinów, Petropawłówek, katorg sybirskich. Po wszystkich krajach rozsiane jest dotąd potomstwo uchodźców politycznych, którzy nieraz, jak Ignacy Domejko, rozsławili imię polskie po świecie. Jak „Latarnik“ Sienkiewicza nieraz płakali w samotności, wśród obczyzny za dźwiękiem mowy ojczystej, za dotknięciem na koniec własnymi stopami rodzinnej ziemi.

Do tych wychodźców, coraz bardziej wynaradawiających się z czasem, przybywały gromady już inne, gromady emigrantów za chlebem. Można spotkać ich wszędzie, można jak z warstw geologicznych, z kolejnych osadów wychodźstwa polskiego, wyrzucanego przez zaborców życia gospodarczego odczytać historię Polski w niewoli, ostatecznie zaś Polski — w zmaganiach się z eksperymentami gospodarczymi, z kryzysami, z czynnikami międzynarodowymi.

Obecnie mamy osiem milionów Polaków zagranicą. Wielu z nich dorobiło się na amerykańskich business'ach, posiadało farmy dobrze zagospodarowane, znalazło miejsce w handlu, przemyśle, wolnych zawodach. Małorolny, który miał w kraju chałupinę, chudą krowę, parę morgów szczyrku lub gruntu doszczętnie wyjałowionego, teraz posiada własny piękny dwór, duże obszary, jest człowiekiem zamożnym. Nie wszyscy zdobyli majątek, wielu zginęło. Ale ci, którzy znaleźli miejsce i chleb obfity za oceanem, zaopatrzeni materialnie, pomału giną dla Narodu, giną dla Kościoła.

Co czwarty Polak przebywa poza granicami Ojczyzny! I nie tylko są to wychodźcy. W położeniu ludzi bez Ojczyzny znaleźli się autochtoni, odwieczni mieszkańcy ziem, które nie mogły złączyć się z macierzą. Irredenta polska w Łotwie, Litwie, Niemczech, Rosji woła w udręce, osamotnieniu, cierpiąc pod naporem obcych żywiołów.

Wraz z wynarodowieniem, wraz z utratą jednostek na korzyść otaczającej obczyzny, postępuje odrywanie się od Kościoła. Oba te procesy niszczyielskie idą równolegle, zobojętnienie dla tradycji narodowej, dla wyniesionego z kraju lub odziedziczonego rodzimego obyczaju pociąga za sobą zobojętnienie dla wiary.

W każdym środowisku inne są przyczyny, wpływające na utratę wiary. W jednym kraju, na terenie kolonizacyjnym wychodźcy oderwani są ogóle od ognisk kultury i zatracają własną kultu-

rę, nową zaś nie nabywają. W innym znów środowisku człowieka o niższej kulturze i niższym stanowisku społecznym w kraju po dorobieniu się pociąga i wchłania wyższy poziom życia, ale życia obcego, które mu imponuje. W Rosji, we Francji szkodliwy wpływ wywiera bezbożnictwo. W Niemczech, w Stanach Zjednoczonych, w Litwie, Łotwie duchowieństwo ku wielkiej szkodzi dla Kościoła stara się niejednokrotnie zwalczyć język polski w kościele. Toteż w niejednym miejscu upadają obyczaje kościelne polskie, milkną śpiewy polskie pod wpływem szyderstw tubylców.

„Kazanie w języku obcym nie działa zbawiennie na Polaków, robi pańszczyznę z domu Bożego“, pisze emigrant. Listy wychodźców są nieraz pełne goryczy, wyrażają tęsknotę za polskim księdzem. Rozżaleni rodacy z Guarany-Mierin, S. Catharina, Brazylia czynią gorzkie wyrzuty:

„Nasze święta nie były wesołe tu na obczyźnie, bo nie mamy kapłana, żyjemy tu zapomnieni od Ojczyzny, rozgoryczeni, że nie mamy tam naszej Ojczyzny. Poszliśmy tułacze za chlebem poza ocean, w te bory — i chleba nam tu nie brak, bośmy bory karczowali, żeby mieć pożywienie dla ciała. Nasi ojcowie prawie wymarli tu z nędzy, w czym nam zostawili tę ziemię oczyszczoną i my teraz ich dzieci chleb mamy, brak nam chleba ducha. Darmo się zwracaliśmy i na kolanach błagali o kapłana, któryby pracował dla nas i opiekował się nami, teraz on pracuje dla Niemców

i Włochów, choć im nie brak kapłanów, a my opuszczeni. Jesteśmy rozżaleni do naszych w Ojczyźnie, że słówkiem nie mogą przemówić, byśmy kapłana mieli.

Nie mamy Ojczyzny teraz — opuszczaliśmy ją z płaczem — Ojczyzna o nas nie dba“.

A oto inne listy z różnych stron świata, oto prze-możne wołania, które najobojętniejszym człowiekiem wstrząsnąć muszą:

„My niżej podpisani koloniści, zamieszkali na kolonii Coronel Queiroz, municypium Guarana-puava w stanie Parana w Brazylii, pragnąc z całego serca wytrwać i przekazać dzieciom zasady św. wiary katolickiej, tą drogą zwracamy się do Was, pokornie prosząc o zaopiekowanie się nami, i poparcie nas w sprawie utworzenia na naszej kolonii osobnej parafii i przydzielenia nam duszpasterza-Polaka. Kolonia nasza jest zamieszkała wyłącznie przez Polaków, t. j. przez 300 rodzin oraz kilka rodzin Rusinów. Kolonia założona została w roku 1921 i od tego czasu czynimy bezowocne starania o przydzielenie nam duszpasterza-Polaka.

W r. 1927 wystawiliśmy z własnych funduszków kościół, w roku ubiegłym — plebanię, sądząc, że kiedy już będziemy mieli świątynię i dom dla księdza, ziszczą się wreszcie nasze pragnienia i zamiary. Ale zawiedliśmy się. Obecnie co pewien czas przyjeżdża do nas ksiądz z Guarana-puava, odległej o 90 km. Z posług tych mało możemy korzy-

stać, ponieważ, za wyjątkiem X. Jana Pogrzeby, inni nie znają języka polskiego, my zaś i nasze dzieci nie rozumiemy dostatecznie języka portugalskiego, a tym bardziej języka niemieckiego.

Ze stanu, jaki panuje obecnie na naszej kolonii, korzystają różni oszuści, propagując rozmaite sekty. Ostatnio na przykład bawił na naszej kolonii Mieczysław Prus Lityński z Przemyśla, wysłannik sekty metodystów, szerząc ferment między kolonistami. Spora ilość komunistów pod wpływem tygodnika „Ameryka Echo“ zaczyna myśleć o sprostowaniu księdza kościoła narodowego. Inni też nie znajdując oparcia w naszym kościele zaczynają tegoż szukać u spirytystów.

Gdy patrzymy w przyszłość, trwoga ogarnia nasze serca“.

Inny list z Argentyny:

„My rozproszeni daleko za oceanem po stepach argentyńskich, a zwłaszcza w Missiones, pracując w ciężkich warunkach, pod upałem promieni tropikalnego słońca, jesteśmy pozbawieni opieki polskiego księdza, prosimy powiedzieć o nas naszym braciom tam, w Polsce. Co za szczęście: oni mogą słyszeć kazania, naukę, głoszenie słowa Bożego z ust księdza-Polaka, takie piękne wyrazy naszej czystej i przepięknej mowy. My wam tego szczęścia bardzo zazdrościmy. Pomimo to, stoimy mocno przy wierze naszych ojców, przy wierze katolickiej, na czele której stoi Ojciec św. w Rzymie, a zarazem jesteśmy też Polakami. Zwraca-

my się do was z prośbą: raczcie wysłuchać nas, wierne dzieci, tu, za oceanem i posłać nam księdza-Polaka, abyśmy choć raz mieli szczęście słyszeć nauki, słowo Boże i Ewangelię z ust kapłana-Polaka“.

Polacy z Rumunii, z Lupeni, również wołają o księdza-Polaka:

„Większa część Polaków odwróciła się od Kościoła, gdzie się wyśmiewano, gdy śpiewali po polsku bez księdza i organów. Ale to spowodowało reakcję wśród jednostek bardziej świadomych. Ucisk przyczynił się właśnie do rozbudzenia świadomości narodowej. Poczęto odczuwać brak polskiej szkoły, polskiej Mszy i kazania. Zrozumiano potrzebę tego wszystkiego, co się może postawić na równi z pogardzającym nimi elementem węgierskim.

Brak księdza odczuwamy na każdym kroku. Zdarza się nawet tak, że ojciec w obecności księdza węgierskiego spowiada się przed córką, która tłómaczy grzechy ojca księdzu. Kolonia nasza liczy z górą 1000 dusz polskich, zaś szkoła 120 dzieci, a to wszystko bez pasterza dusz zarzuca religię i narodowość... Dzieci wychowują nauczyciele w duchu katolickim, ale kiedy to wszystko szkołę opuści i wejdzie na inne tory — co potem? Smutnie, ale spodziewamy się, że wreszcie po tak długim staraniu się zostaniemy wysłuchani i dostaniemy księdza“.

Takie wołania dochodzą ze wszystkich części globu. Rosną góry faktów bolesnych, wzruszających, przerażających. Umierają ludzie o sumieniu obciążonym. X. Ignacy Posadzy w swej książce: „Drogą Pielgrzymów“ przytacza fakt podobny, jak w liście z Rumunii: umiera kolonista, przywalony drzewem. Do najbliższego miasta jest tak daleko, że nie ma mowy, by ksiądz mógł zdążyć przyjechać do konającego. Wtedy gromada kolonistów orzeka, że umierający syn może powierzyć swoje grzechy matce, która je powtórzy księdzu i w ten sposób uzyska dla syna rozgrzeszenie. Tak też się staje.

Wychodźcy żyją bez ślubu kościelnego, dzieci chowają się bez chrztu z braku księdza, który nie dociera do okolic nazbyt odległych. W Brazylii są polskie osady, które od czterdziestu lat nie widziały kapłana polskiego. Tam niektóre partie polskie ciągną się na przestrzeni 300 kilometrów. Tam też 80 % Polaków umiera bez Sakramentów.

We Francji na 20.000 Polaków przypada zaledwie jeden ksiądz polski. W Argentynie w prowincjach Cordoba i Santa Fé trzydzieści tysięcy Polaków żyje bez księdza.

Nawet, jeżeli Polacy zachowają swój język ojczysty i wiarę, nieraz wynaradawiają się duchowo, upodabniają się do otoczenia. Tak jest z tymi 4 milionami Polaków w Ameryce, które tam pomagały budować potęgę Stanów Zjednoczonych. Praktyczność amerykańska zatarła w nich nieraz

polski idealizm, którym tak bardzo się odznacza-
my wśród narodów świata.

Tak samo sfrancuzieli nieraz duchowo ci Pola-
cy w liczbie 600.000, którzy odbudowali zniszczo-
ny przez wojnę przemysł Francji i w departamen-
tach północnych.

Najmniej może oddziaływało otoczenie na pol-
skich rolników w Południowej Ameryce, którzy
tam karczowali i uprawiali bezludne obszary. Od-
cięci olbrzymimi przestrzeniami od większych
osiedli Brazylian, nieraz zachowali swój obyczaj
i wiarę lepiej, niż Polacy w wielkich środowiskach
przemysłowych.

W Kanadzie znalazło pracę w rolnictwie 150.000
Polaków, w Jugosławii — 35.000. W małych kra-
jach Europy, jak Dania, Belgia, Holandia można
naliczyć razem 60.000 Polaków. 2 i 1/2 miliona Po-
laków mieszka na etnograficznych terenach Pol-
ski przedrozbiorowej, stanowi połacie narodowo-
ściowe przecięte tragicznie na pół, stanowi nie pod-
dającą się zakusom wynarodowienia irredentę pol-
ską.

Czy to we Francji, gdzie polskiego robotnika
stara się opanować „Front Ludowy“, ruch komu-
nistyczny i bezbożniczy, czy w Niemczech, gdzie
swastyka hitlerowska wydała walkę katolicyzmo-
wi i gdzie Polaka atakują od dwóch stron: od stro-
ny narodowości i wiary, czy to w miastach Sta-
nów Zjednoczonych, gdzie ksiądz katolicki nieraz
chce go wynarodowić, albo na dzikich terenach

kolonizacyjnych, gdzie w ogóle nie ma żadnego
księdza — zawsze jednostką najpotrzebniejszą
dla wychodźcy jest ksiądz. Łączy on w jednej oso-
bie kapłana, doradcę, działacza oświatowego, nie-
raz lekarza i społecznika. Autorytet jego pozwala
mu na stworzenie organizacji, na przeprowadzenie
zadań, które z większą trudnością udają się nau-
czycielowi lub inteligentowi-społecznikowi.

Jak wygląda działalność takiego księdza? Mó-
wią nam o niej liczne listy, umieszczane w czaso-
pismach misyjnych, umieszczane w „Głosie Semi-
narium Zagranicznego“. Reemigranci z Rosji
przypominają sobie dotąd działalność ś. p. X. An-
toniego Wasilewskiego z Moskwy. Zginął podob-
no, zesłany po wielkich mękach więzienia na Sy-
berię. Wykładał on w gimnazjach rosyjskich re-
ligię nielicznym uczniom — Polakom. Z zasady
obowiązany był posługiwać się językiem rosyj-
skim, ale uczył po polsku. Wyławiał wśród rusy-
fikującej się młodzieży liczne jednostki. W jego
mieszkanu przy kościele polskim była obfita bi-
blioteka. Młodzież dostawała od niego książkę
polską. Na dorosłych również wywierał wpływ
niezapomniany. Iluż ludzi uchował przed wyna-
rodowaniem.

A jednocześnie wpływ wzorowego kapłana, uro-
zystości pierwszej Komunii św. i inne kościelne
urządzone z dużą estetyką, z prawdziwą poezją
— podtrzymywały gasnące w martwych czasach
przedwojennych isierki wiary.

Ofiara poranna. 2

17



171618

Ksiądz na obczyźnie to nie tylko kapłan, to przodownik polskiej gromady wychodźców. I dlatego rzucone na obczyznę gromady tęsknią za swymi przodownikami, tęsknią za pociechą religijną, tęsknią za tym, który wytknie im linie życia.

Dobrze jest, gdy Polacy w dalekich krajach pragną mieć księdza, pragną uczestniczyć w życiu kościoła. Dobrze jest, kiedy z ciężkim żalem piszą do kraju, wyrzucając rodakom, że im tego upragnionego, swojego przodownika nie przysyłają.

Gorzej jest, kiedy rodacy od kościoła odeszli, wiarę stracili, stali się pod wpływem złej agitacji czynnikami rozkładu. I tacy, jako reemigranci, poniosą bunt i demoralizację do polskich miast i wsi.

Nic dziwnego, że J. Em. X. Kard. Dr August Hlond, Prymas Polski, zwiedziwszy ośrodki polskie zagranicą, uznaje sprawę duszpasterstwa dla wychodźstwa polskiego za jedną z najważniejszych.

„Na wychodźstwie polskie dusze giną“, wydziera się okrzyk z ust wielkiego kapłana, wielkiego patrioty.

Ten głód Słowa Bożego na emigracji naszej jest dowodem, że nie wystarcza człowiekowi, nawet mało kulturalnemu, zaspokojenie potrzeb materialnych. Jego dusza nieśmiertelna będzie zawsze tęskniła do rzeczy wyższych, przerastających codziennosc. Całe bogactwo ziemi nie zagłuszy po-

żądania nieba. I panuje wśród uchodźstwa ten głód, o którym mówi prorok — Amos:

„Oto dni idą, mówi Pan, i puszcze głód na ziemi: nie głód chleba, ani pragnienia wody, ale słuchania Słowa Pańskiego. I poruszą się od morza do morza i od północy aż na wschód będą obchodzić, szukając słowa Bożego, a nie znajdując“.

Usłyszano, podchwycono hasła dostojnego Prymasa Polski: S. O. S. Save our souls! Ocalcie nasze dusze!

Chcemy uchować wiarę naszą i wiarę naszych dzieci, tęsknimy w bezprzysłuku i osamotnieniu!

Położenie emigrantów dawno rozumiał Kościół i jego najlepsi synowie. Już w połowie zeszłego wieku św. Jan Bosko posyłał misjonarzy do Ameryki Południowej z tym, że obok pracy wśród pogan i tubylców, będą się też opiekowali Włochami-emigrantami.

Papież Pius X wydał 13 sierpnia 1912 roku osobne *Motu proprio*, w którym mówi z głęboką troską:

„Kościół wprawdzie otacza macierzyńską opieką wszystkich katolików, ze szczególną jednak miłością zwraca się do tych, którzy dla polepszenia swej doli opuszczają ziemię ojczystą i udają się w dalekie strony, gdzie wprawdzie uzyskują lepsze warunki życia, jednak często tracą wieczne. Nasze i poprzednika naszego zarządzenia świadczą, jak bardzo obdarza Stolica Apostolska przywilejami zbożne dzieła, poświęcone dobru wy-

chodźców i jak bardzo dba o to, by biskupi sprawę tę jak największą troskliwością otaczali...”

„...Jesteśmy bardzo zaniepokojeni wielkimi niebezpieczeństwami, jakie grożą religii i moralności wychodźców. Boć najczęściej nie znają oni języka tego kraju, w którym się znaleźli, a od własnych duszpasterzy pomocy nie mają...”

W dalszym ciągu tego zarządzenia Papież Pius X ustanawia przy Kongregacji konsystorialnej osobny wydział dla duszpasterstwa nad wychodźcami.

W rok później wychodzi dekret papieski, który przewiduje założenie w Rzymie kolegium włoskich księży, którzy otrzymują specjalne przygotowanie do pracy wśród wychodźstwa włoskiego.

Papież Benedykt XV wydał w 1915 roku okólnik do biskupów amerykańskich, w którym upomina ich, by dla wiernych narodowości włoskiej starali się o kapłanów tejże narodowości, przy tym wskazuje na założone już wtedy rzymskie kolegium.

Ten sam Papież Benedykt XV zwrócił się podczas wojny do biskupów kanadyjskich w pismach, w których podawał znakomite uwagi dotyczące prawa używania języka ojczystego przez mniejszości narodowe w ramach nabożeństw kościelnych i w szkolnictwie parafialnym.

Tak samo w licznych dekretach Benedykt XV i Pius XI, jako wybitni papieże misyjni, wskazują na konieczność kleru tubylczego dla nowonawróconych narodów.

U nas na niedolę duchową emigracji zwrócił uwagę X. Prymas Hlond, wołając:

„Na wychodźstwie giną dusze polskie! Taka skarga płynie ku Polsce od dalekich siedlisk naszych tułaczy. Takim zarzutem obciąża zagranica sumienia Narodu. O kapłanów polskich woła i błaga osiem milionów Polaków na obczyźnie. Czyż mogłaby Ojczyzna odmówić opieki duchowej swym najnieszczęśliwszym dzieciom?”

I on to został naczelnym wodzem opieki nad uchodźstwem. Z początku zlecił mu tę misję Episkopat polski, potem zaś — sam Ojciec św.

Swoje gorące zainteresowanie ujawnia z początku X. Prymas, biorąc pod swój protektorat stowarzyszenie „Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie”. Organizacja ta, mająca na celu podtrzymanie uczuć katolickich i narodowych wśród wychodźstwa, powstała w Warszawie. W Poznaniu powstał jej oddział zachodni. Z czasem centrala „Opieki” przenosi się do Poznania i tam działa przy boku X. Prymasa.

„Opieka” współpracuje z księżmi i organizacjami polskimi zagranicą, chętnie też idzie ręką w rękę z potężną instytucją, popieraną przez rząd polski — ze „Światowym Związkiem Polaków Zagranicą”. „Opieka” co roku w coraz większej ilości egzemplarzy rozsyła do wszystkich krajów, gdzie są nasi uchodźcy, książki polskie, czasopisma, gry, obrazy, dewocjalia... Zwłaszcza dużo tych da-

rów idzie w okresie gwiazdkowym. Dołącza się do nich opłatek z Polski...

Drugim ważnym zadaniem „Opieki“ jest zajmowanie się reemigrantem, który wraca nieraz wysiedlony z kraju, gdzie pracował, nie dorobiwszy się niczego. Wraca zgorzkniały i zrozpaczony. Od stacji granicznej „Opieka“ zbliża się do niego, wydłuża mu pomoc materialną, stara się dodać mu energii.

Obok tej pracy dla uchodźstwa, nie tracił X. Prymas z oczu głównego celu: przygotowania kadr kapłańskich dla zagranicy.

Dotąd wyjeżdżali zagranicę kapłani świeccy, najczęściej do zadań swych w obcym kraju zupełnie nieprzygotowani. Trzeba, żeby przygotowanie otrzymali. Znajomość obcych języków, ekonomii, zasad nauki społecznej, leczenia, wiedza o krajach misyjnych i różnorodnych warunkach, jakie tam napotkają księża — oto te dodatkowe wiadomości, jakich nabyć muszą.

Dostojny opiekun wychodźstwa obmyślił tę sprawę, nie zapominając o potrzebach uchodźstwa.

A zza dalekich oceanów, od puszczy i dżungli, od wielkich rzek, rojących się od potworów, od zimnych krain północy i podzwrotnikowych bujnych obszarów, od wielkich miast — współczesnych Babilonów i zapadłych odludzi wzbierał, rozbiegał się, wzywał krzyk ośmiomilionowej rzeszy, czwartej części narodu, rozproszonego po świecie:

— S. O. S.! Ratujcie nasze dusze!

Znak z nieba

A zatem trzeba otworzyć dopływ powołań, trzeba zasilać stale i systematycznie szeregi duchowieństwa, pracującego dla wychodźstwa.

Plan Seminarium Zagranicznego, przygotowującego misjonarzy dla wychodźstwa, zarysowuje się przed X. Prymasem coraz wyraźniej.

W roku 1928, będąc w Rzymie, X. Prymas przedkłada ten plan Ojcu św. i zyskuje zupełną aprobatę. W następnym, 1929 roku otwiera się w Gnieźnieńskim Seminarium Duchownym pierwszy kurs dla kandydatów na duszpasterzy zagranicznych.

Ojciec św. zwrócił jednak uwagę X. Prymasowi, że zagranicą kapłan-zakonnik daleko lepiej może odpowiedzieć swemu zadaniu, niż kapłan świecki. Zakonnik ma w swym zgromadzeniu mocne oparcie. Zgromadzenie, jego rodzina zakonna, łączy go z krajem, jak łańcuch mocny i bezpieczny. W zgromadzeniu znajdzie kapłan zawsze schronienie na wypadek choroby, wyczerpania sił, w starości. Zgromadzenie do pewnego stopnia zdejmuje z niego troskę o byt i pozwala mu całkowicie oddać się pracy dla innych.

Dla tych wszystkich względów Ojciec chrześcijaństwa radzi X. Prymasowi założyć osobne zgromadzenie zakonne. Takie zgromadzenie może się stać pierwowzorem dla innych narodów, mających także liczną emigrację i szukających rozwiązania kwestii duszpasterstwa wśród niej.

Ale nie wybiła jeszcze godzina założenia nowego zgromadzenia, zgromadzenia czysto-polskiego. Dotąd w ciągu wieków mało okazaliśmy inicjatywy w stwarzaniu form życia zakonnego. Przyjmowaliśmy gotowe z innych krajów. Dopiero wiek XVII widzi założenie czysto-polskiego, powstałego na gruncie polskim zakonu oo. Marianów, którego twórcą był o. Stanisław Papczyński, zmarły w opinii świętości.

Nową, oryginalną formę zakonu, oryginalną nie tyle co do reguły i wzorów życia zakonnego, ile co do ożywiającego go ducha widzimy w okresie porobiorowym. Pokutę za Naród i odrodzenie narodu w Chrystusie, postavili za swój cel oo. Zmartwychwstańcy, zakon, którego dzieje są jedną z najbardziej polotnych, głębokich kart w dziejach naszego Narodu. Tu poraz pierwszy w historii dziedzina życia religijnego objęła już nie tylko jednostkę, lecz Naród, rozszerzając przez to sferę oddziaływania, sferę przeżyć, przenikając głębiej w życie ludzkości. Niebawem Kościół weźmie udział i w społecznym odrodzeniu ludzkości, przepajając prawdą Bożą także i z b i o r o w e momenty jej życia.

Rzecz dziwna, że na gruncie polskim powstało bez porównania więcej zakonów żeńskich, niż męskich: tak widzimy SS. Niepokalanki, Nazaretanki, Służebniczki Matki Boskiej i in. Zakony te odznaczyły się także pracą nad wychodźstwem: w r. 1935 na emigracji pracowało 8230 sióstr zakonnych. W kraju zaś mamy 13500 sióstr. Zatem $\frac{2}{3}$ wszystkich zakonnic polskich działa na wychodźstwie w szkołach, ochronkach, żłóbkach, szpitalach i t. d.

Zgromadzenie, które miałyby się skupić dokoła przyszłego Seminarium Zagranicznego, byłoby więc trzecim czysto-polskim zgromadzeniem. I jako takie, mogłoby naprawdę nieść pełnię ducha narodowego polskiej swoistej pobożności między rzesze wychodźców. Opatrznościowym i porywająco pięknym się wydaje, że myśl ta wyszła od tego, którego w miłości swej nazywamy „Polskim Przypiechem“, który tyle dowodów życzliwości daje zawsze naszemu narodowi. Czy to nie jeden z największych jego darów?

X. Prymas wciąż nie przystępuje do realizacji tej myśli. Za każdej jego bytności w Watykanie, Ojciec św. zapytuje, czy zgromadzenie jest już założone.

— Jeszcze nie — odpowiada za każdym razem X. Prymas.

W 1931 roku, w prywatnym gabinecie Ojca św. toczy się następująca rozmowa:

„— Czy Eminencja założył zgromadzenie?

— Proszę Waszej Świątobliwości, jeszcze nie. Wyznam, że ciągle się jeszcze waham. Stają mi bowiem żywo w pamięci słowa św. Jana Bosko: „Nie wolno tworzyć nowego zgromadzenia bez wyraźnego znaku z nieba“. A takiego znaku dotychczas nie ma.

— A jeżeli Papież rozkaże, czy to będzie znak z nieba?

— Proszę Waszej Świątobliwości, w tej chwili rozumiem wszystko. To znak z nieba! To wola Boża!“

Po powrocie z Rzymu X. Prymas zaczyna działać. Zgromadzenie na razie otrzymuje nazwę „Seminarium Zagranicznego“ i ma stanąć pod opieką Chrystusa-Uchodźcy. Zadaniem jego jest poświęcenie się sprawie Bożej i ratowanie polskich dusz na uchodźstwie.

Leży poza tym w intencji Założyciela, by członkowie zgromadzenia byli przygotowani do pracy na wychodźstwie. W tym celu położy się w ciągu nauk duży nacisk na studium spraw wychodźczych, geografii politycznej, ekonomii i obcych języków. Przyszli duszpasterze powinni się również zapoznać z warunkami politycznymi i społecznymi tego kraju, w którym mają działać w przyszłości.

Duszpasterzowi zagranicą będzie towarzyszył brat, t. zw. pomocnik duszpasterski, związany ślubami zakonnymi. Będzie on spełniał przy boku księdza powinności domowe i prowadził prace

apostolskie, o ile będzie na to pozwalało wykształcenie. Będzie on towarzyszem doli i niedoli duszpasterza na obczyźnie.

Chodzi o to, kto stanie na czele nowego dzieła, kto je poprowadzi.

Wybór pada na X. Ignacego Posadzego. Dwukrotnie objechał on skupiska polskie w Ameryce Południowej (w roku 1929 i 1930—31). Wrażenia swe zawarł w książce „Drogą Pielgrzymów“. Autor w przedmowie tak tłumaczy pobudki do napisania tej książki:

„Więc po co piszę? Chcę szerzyć ukochanie sprawy Bożej i Polskiej. Chcę potrafić w duszach młodych o strunę entuzjazmu i umiłowania ducha misjonarskiego. Chcę zwrócić uwagę na tych, co pod Krzyżem Południa myśli swoje, niby te mewy śnieżno-białe, w rodzinne wysyłają strony. Chcę wreszcie przysłużyć się, choć w drobnej mierze, owej ośmiomilionowej rzeszy rodaków, co poza granicami Polski żywot wiedzie tułaczy“.

X. Posadzy udaje się z polecenia X. Prymasa w początkach roku 1932 w objazd po Europie, by zapoznać się z życiem zakonnym. W lutym tego roku przybywa do Rzymu i jest przyjęty na audiencji prywatnej u Ojca św. Ojciec św. z największym zainteresowaniem wypytuje, jak daleko posunęła się sprawa założenia nowej kongregacji zakonnej. Przy tej sposobności udziela mu cennych rad i wskazówek.

Wreszcie błogosławieństwo papieskie spływa na pochylone czoło. Chrystus przemówił przez swego Namiestnika.

Tymczasem zaczyna się pod okiem X. Prymasa organizować młodziutka rodzina zakonna. Nie ma podstawy materialnej, nie ma kandydatów. Ale od czego optymizm i wiara? O co się troskać? Bóg tak chce, Bóg pomyśli o tym, by wielkie porwy i wola ofiary miały ziemską podstawę.

Hrabianka Aniela Potulicka

Nowemu zgromadzeniu wkrótce Pan Bóg zsyła dom. Nie dom, a pałac.

Siedzibę otrzymują Chrystusowcy z rąk hr. Anieli Potulickiej.

Gałązka to prastarego lechickiego szczepu Grzymalitów, słynnych z walk z Nałęczami za czasów Piastów, w okresie książąt dzielnicowych. Wszak Nakło leżało w ośrodku tych walk. Do rodziny Potulickich należały kiedyś olbrzymie włości, w okolicach Więcborka na Pomorzu, rozciągające się prawie do Bałtyku. Pierwsze rozbiory Polski okroiły tę fortunę, zaczęła topnieć powoli. Starą siedzibę Potulickich zajęli Prusacy, którzy wywieźli piękne zabytki rodowe i wszelkie akta rodzinne do Berlina. Nie udało się ich nigdy odzyskać.

Wtedy to pradziad hrabianki Anieli, Michał, z rezydencji swej w Więcborku przeniósł się do klucza ślesieńskiego, położonego nad Kanałem Bydgoskim i zamieszkał w Kantowie, które przybrało nazwę Potulic. Z czasem stanął tu piękny pałac,

otoczony parkiem i obszernymi ogrodami. Tu wychowała się i spędziła życie hr. Aniela Potulicka.

Urodziła się w roku 1861 w Londynie z ojca Kazimierza i matki Marii z Zamoyskich. Matka jej była religijna, miała wiele serca i czyniła ludziom dobrze, toteż kiedy umarła, w kilka dni po urodzeniu hr. Anieli, zostawiła szczery żal po sobie.

W pałacu pełnym ludzi hrabianka nieraz odczuwała jednak brak najbardziej oddanego, najbardziej rozumiejącego serca matczynego. Prowadzona przez ojca po męsku, miała dużo charakteru i hartu, ale też dużo rezerwy. Najcenniejszym odruchom serca nie lubiła dawać wyrazu.

W dzieciństwie wielki wpływ na nią wywarł dziadek, także Kazimierz. Był on w legionach Dąbrowskiego, walcząc pod Napoleonem, zdobył „Virtuti militari“. W randze pułkownika kawalerii, towarzyszy ks. Józefowi Poniatowskiemu jako ostatni jego adiutant, do samej śmierci w Elsterze. Później bierze wybitny udział w powstaniu listopadowym. Ducha narodowego i gorącą pobożność zachowuje starzec do śmierci. Osiadłszy na starość przy synu w Potulicach, wiele ma pociechy z wnuczek, zwłaszcza z najmłodszej Anieli. Jej przekazuje nieugaszony żar patriotyzmu, heroizm, żalobę narodową, wiarę w odrodzenie... Ze starcem w bojach za Ojczyznę steranym uczy

się Aniela modlić za Ojczyznę i za tych, co dla niej polegli.

W 18 roku życia traci hr. Aniela ojca. Dwie jej siostry wyszły za mąż — Maria za ks. Bogdana z Retowa, Elżbieta — za Władysława ks. Sapiechę, z Krasiczyna i otrzymały wiana w innej części Polski. Potulice przypadły w dziedzictwie najmłodszej Anieli.

Bierze na swoje barki ciężar tej dużej fortuny, która pozwala jej, jako dobremu włodarzowi swego mienia,łożyć na cele narodowe, na cele dobroczynne. Przybliża ją do ludzi nieszczęśliwych, zarazem dzieli od ludzi szczęśliwych i beztroskich. Za życia jej ojca pałac rozbrzmiewał wrzawą wesołą, w wysokich salach, hallach, na tarasach, wśród trawników ogrodu pełno było gości. Zjeżdżali się na zabawy, polowania, koncerty, konne kawalkady. Hr. Aniela skończyła konserwatorium i miała talent muzyczny. Wrócono, że czekałaby ją sława pierwszorzędnej pianistki, gdyby zechciała ukazywać się na estradach. Ale publiczne występy nie leżały w jej charakterze. Może jednak brała udział w jednym lub w drugim potulickim koncercie? Nie wiemy o tym. Śmiało i dobrze jeździła konno — ona, wnuczka świetnego kawalerzysty napoleońskiego. Na drogach, otaczających byłe jej dominium, w szerokich alejach parku zwiduje się nam jej sylwetka na koniu — objeżdżająca swe ziemie, albo po prostu oddającej się naj-

piękniejszemu ze sportów... W późniejszych latach musiała i tej ulubionej rozrywki zaniechać.

Z chwilą śmierci ojca zmienia się gruntownie życie w potulickim pałacu. Z początku zrozumiałym powodem jest żałoba. Ale wnet zmniejszona zostaje ilość służby, odprawieni zostają lokaje, stangreci, strzelcy. Pozostaje tylko liczba ściśle niezbędna dla utrzymania porządku w obszernych komnatach. Żałoba minęła — gwar nie powrócił. Prawie klasztorne popłynęło życie w Potulicach. Rzadko zawitał gość, może z osiem razy za jej rządów odbyły się większe przyjęcia. Czym pustelnica-potulicka wypełniała sobie życie?

Wypełniała je pracą i jeszcze raz pracą. Nie kierowała sama gospodarką rolną, jak Rodziewiczówna — oddała to w ręce fachowych rolników, co było koniecznym przy wysokiej kulturze rolnej na Pomorzu. Ale zawsze było do załatwienia, do powzięcia decyzji szereg spraw administracyjnych najważniejszych. Resztę życia wypełniała praca narodowa, oświatowa, filantropijna.

Religijność, wpojona przez heroicznego żołnierza napoleońskiego, w życiu samotnym rozwija się i potęguje. Nie jest to jednak żaden kwietyzm, żaden katolicyzm kontemplacyjny. Nie jest to pławienie się w pięknych nastrojach. Dla niej wiara jest prawdą, którą trzeba zrealizować, dowieść jej czynnie. Żyje dla idei, żyje dla drugich. Jako młoda dziewczyna, jako chora starsza kobie-

ta powtarza często: „Odmówić sobie muszę tej przyjemności, biedni czekają na te pieniądze“.

I mówi tak wtedy, nawet, kiedy chodzi o ratowanie zdrowia.

Wśród obszernego pałacu żyje jednak wysokim życiem kultury. Gra zawsze na fortepianie, ćwiczy rano chociażby parę godzin, aż muzykę zarzuca, mówiąc, że ręce jej już odmawiają posłuszeństwa, że to już nie to, co dawniej było. Czyta książki w kilku językach, tylko na nie nie żałując pieniędzy. Najwięcej jednak czyta poważnych książek religijnych, studiuje je niemal i chętnie dyskutuje na tematy religijne.

Spełnia swe obowiązki dziedziczki, zajmując się ludźmi, zamieszkałymi w jej posiadłościach i pracującymi u niej. Wszyscy są dobrze wynagradzani, mają pobudowane ładne mieszkania. W nieszcześciu zawsze mogą być pewni pomocy. Tego wsparcia doraźnego, tej chrześcijańskiej jałmużny nie odmawia nigdy. Otwiera w Potulicach „Ognisko“ z biblioteką, dla swoich ludzi i ludzi z Gorzenia oraz pobliskich wiosek prowadzi bibliotekę, urządza odczyty, przedstawienia teatralne, tworzy chór, który na konkursie śpiewaczym dostaje nagrodę. Dotąd w kościele i na procesjach w Potulicach lud śpiewa wyjątkowo ładnie.

Jeżeli podtrzymywała w ludziach patriotyzm, dając im wykłady „o królach polskich“, jak mówią byli członkowie koła, to najsilniej zaznaczył się jej wpływ w czasach strejku polskich dzieci, obstają-

cych przy odmawianiu pacierza w szkole po polsku. Wtedy hr. Aniela gromadziła dzieci, przemawiała do nich, odsyłała je końmi do szkoły, obdarzała łakociami, zapalała w nich wiarę w zwycięstwo. Ta jej akcja zwróciła uwagę Niemców i wprawiła we wściekłość miejscową hakatę. Gazety niemieckie „Posener Tageblatt“ i „Bromberger Tageblatt“ wołały do rządu niemieckiego o wyłączenie dzielnej patriotki.

Mienie jej szło bez końca na ratunek nieszczęśliwych. Miała na widoku najgorszą nędzę ducha i ciała. Starła się przyjąć jej z pomocą. Dpomogła inicjatywie Siostry Karłowskiej ze Zgromadzenia SS. Dobrego Pasterza i jej sumptem stanął w Winiarach pod Poznaniem Zakład Dobrego Pasterza, mający na celu nawracanie dziewcząt upadłych, leczenie tej najgorszej rany moralnej ludzkości. W Poznaniu zaś stanął zakład dla nieuleczalnie chorych pod wezwaniem św. Łazarza. W Bydgoszczy znowu dzięki niej założono sierociniec — Zakład św. Floriana. W ostatnich latach życia urządziła też hr. Potulicka w swych dobrach dwie kolonie letnie: dla dziewcząt i chłopców z organizacji katolickich i z harcerstwa.

Po wybuchu wojny w Potulicach założono szpital dla żołnierzy na 40 łóżek — przebywają w nim prawie wyłącznie Polacy. Władze pruskie zaczynają ją szykanować, nasyłają jej żandarmów, urządzają rewizję. Najcięższy dla niej był okres końcowy wojny. Wtargnęły wtedy do Potulic dzikie

bandy Grentzschutz'u, zdemolowały masę mebli i cennych zabytków, chcieli nawet podpalić pałac, ale w czas podłożony ogień zagaszono. Przez pół roku grasował Grentzschutz w Potulicach. Hrabiankę dręczono jakimiś przesłuchiwaniami, chciano ją nawet rozstrzelać. Udało się jej uciec z Potulic, wyjeżdżając po cichu powozem, z kołami i kopytami koni owiniętymi szmatami, by ucieczki nie zauważono. Linia powstańczych wojsk polskich była blisko, więc przedostała się łatwo do Poznania.

Jeszcze Grentzschutz siedział w Potulicach, jeszcze granice zachodnie Polski nie były ustalone, gdy hrabianka postanowiła nowy dar ofiarować narodowi, wesprzeć nim pracę Kościoła. W 1918 roku powstał w Lublinie Uniwersytet Katolicki. Hr. Aniela, oddając się gruntownie nauce na zasadach katolickich, przygotowana do zrozumienia znaczenia uniwersytetu katolickiego przez swe studia postanowiła przekazać swój majątek Uniwersytetowi Lubelskiemu. Długo, od 1924 roku trwały przygotowania do stworzenia fundacji. Wreszcie w 1932 roku została ostatecznie zatwierdzona Fundacja Potulicka dla Uniwersytetu Lubelskiego, składającą się z dwóch kluczy: Ślesina i Samsieczna.

Pałac z parkiem zapisała hr. Aniela powstającemu Seminarium Zagranicznemu.

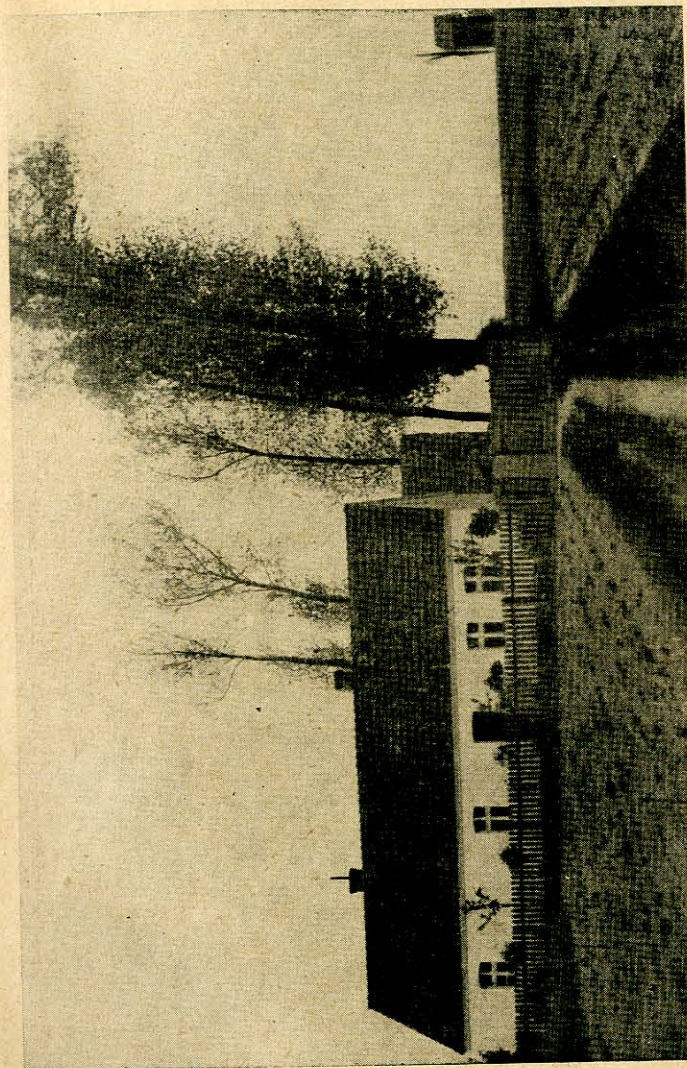
Teraz pokoje od frontu, umeblowane prawie, jak za jej życia, pełne czcigodnych staroświeckich

mebli, rycin i obrazów są pokojami reprezentacyjnymi Zakładu. W jednym z nich już założył fundamenta przyszłego Muzeum Misyjnego X. Rektor Posadzy, rozkładając tam przedmioty przemysłu artystycznego chińskiego i japońskiego, skóry węzów i jaguarów, nawet ustawiając wypchanego jaguara. W drugim — urządzono kaplicę zakładową. Wszędzie snują się wesoło w swych czarnych mundurach bracia i nowicjusze — wojsko Chrystusowe, krzątają się czynnie, żyją radośnie w Bogu, śpiewając razem z ptakami, których w parku jest tak dziwnie dużo.

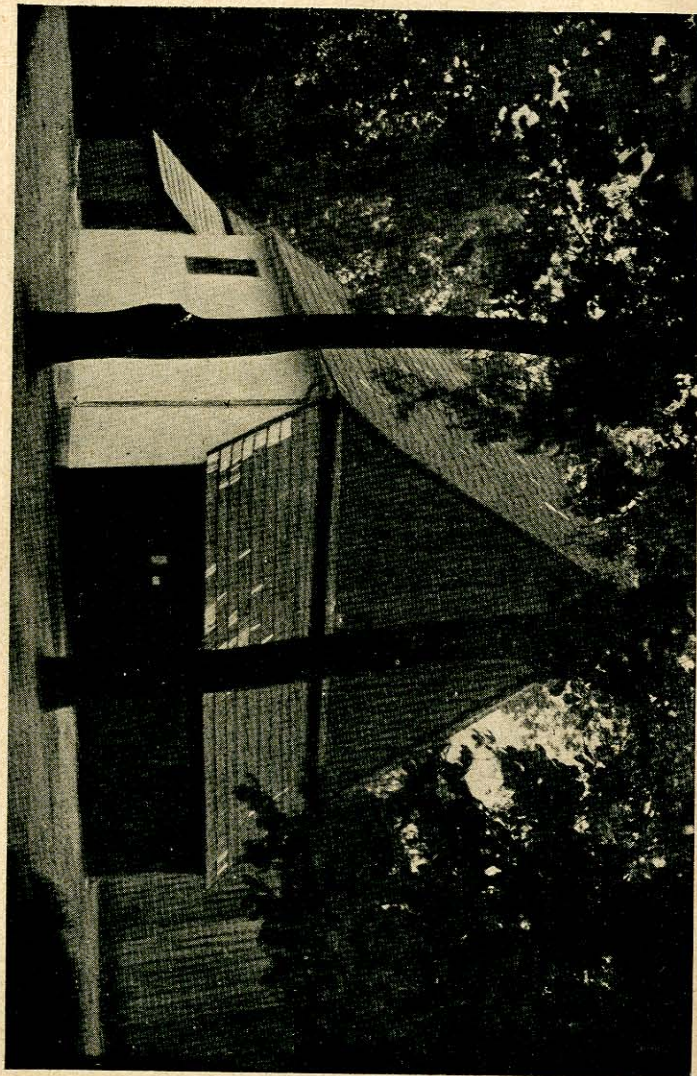
Tłumaczy się to tym, że hr. Aniela lubiła bardzo ptaki, sypała im ziarno i pamiętała, by rozrzucić dla nich pokarm w zimie.

W jednym z pokojów reprezentacyjnych wisi na ścianie jej duży portret z lat młodszych. Twarz mocna, energiczna, ale znać w niej tę wytworność duszy, która kazała kochać muzykę, kwiaty, ptaki i małe dzieci. Znać myśl, która szukała rozwiązania spraw tego świata w świetle wieczności. Wysokie życie intelektualne, płonące uczucie, pokryte opanowaniem, wola dążąca do realizacji — oto, co można z tej twarzy wyczytać.

Ta wola kazała jej pracować bezustannie, dając przykład innym ludziom, by pomnażać bogactwo narodowe. Pracując, stała na straży ziemi polskiej, przekazanej jej przez wieki — nie uroniła z niej w czasach najtrudniejszych ani jednego hektara, wtedy, gdy inni trwonili fortuny i oddawali



Dom rodzinny Józefa Miękusa



je hakacie. Chciała nauczyć lud rzemiosł, które zna lud małopolski. Widziała to w dobrach swego ojca pod zaborem austriackim. Zaczęła się więc uczyć rzemiosł: tkactwa, dziania, szczotkarstwa, introligatorstwa i t. d. Wszystko wykonywała nadzwyczaj z ręcznie. Rzemiosł na gruncie wielkopolskim nie udało się jej zaszczyć, wykonane zaś płótna, wyreby trykotarskie i t. d. szły na pożytek najbiedniejszych, rozdawane im przy gwiazdce i w innych okazjach.

Patrzy jej portret ze ściany... Z kościółka, zbudowanego przez jej szlachetnego ojca, dzwon wydzwania godziny. Leżą tam prochy jej rodziny i jej własne, uczczone piękną tablicą pamiątkową. Przed nią zawsze stoją świeże kwiaty. Chrystusowcy pamiętają o swej fundatorce. Imię jej raz wraz powraca w modlitwach i nabożeństwach zadusznych. Może schodzi tu do swego ziemskiego dziedzictwa jej dusza? Może widzi, jak powstały warsztaty rzemieślnicze w miejscu, gdzie chciała zaszczyć rzemiosło?

Gorliwie uczyła ludzi pozdrawiać Imieniem Chrystusa. Opowiadają, że gdy spotkana w parku dziewczynka powiedziała jej „dzień dobry pani hrabinie“, musiała odstąpić 20 kroków wstecz i na nowo ją pozdrowić jak należy. A gdy powiedziała: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ dostała od niej dwadzieścia złotych.

Teraz w okolicy przechodnie nawet nieznajomego pozdrawiają przy spotkaniu, chwając Jezusa.

Tak często rozbrzmiewało tu Jego święte Imię. Oto przyszedł tu i zamieszkał. I snując się mrówczo i pracowicie, młodzieńcy Chrystusowcy pozdrawiają z głębi swej płonącej, heroicznej wiary:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Przebojowane życie piękne... Pozostały po nim dzieła miłości, dzieła ofiary... Pozostało przykazanie pracy. Ta kobieta wielkiego rodu mogła nigdy nie wykonać najmniejszej pracy, jak dawniejsze kasztelanki, które nawet drzwi nie otwierały same, by ręki nie zniekształcić. A ona pracowała niestrudzenie i nawet, litując się nad pracownicami słabszymi lub gorzej odżywionymi, sama pomagała pracować w polu...

Pałac magnacki, siedziba zbytku, użycia egoistycznego zamieniony w dom Boży...

Czy już nie zaczyna się Królestwo Boże na ziemi?

Pierwsi...

Jest już dom, ale nie ma jeszcze członków przyszłego zgromadzenia. X. Prymas liczy jednak na młodzież. Jej ofiarności, jej entuzjazmu, jej giętkości do przyjmowania nowych idei potrzebuje, by powstało zgromadzenie nie zmumifikowane, nie ostygłe w swym rozwoju, jak lawa, która się dawno wylała z krateru, buchając pióropuszcami żaru, a potem, ciekąc coraz leniwiej, zaskorupiała pod żużlami i popiołem. I oto przyszły przełożony istniejącego Zgromadzenia wydaje do młodzieży polskiej odezwę, przywołując ją pod swój sztandar:

„Sniły wam się ongi buńczuki zdobywcze i orły wam szumiały chorągwie i piedestał chwały nieprzemienionej wśród proporców się śnił.

Bywajcie! Na front, w pierwsze okopy. Pod zwycięskie sztandary Chrystusa - Uchodźcy! Duszcie ratować! Dla nieba zdobywać. Dla Polski zachować.

Czy wam serca radością nie biją? Oczy błyskawic nie ciskają?

Bywajcie!”

Płomienna odezwa trafiła do serc. Do kancelarii X. Prymasa zaczynają napływać podania ze wszystkich krańców Polski, nawet z zagranicy. Zgłaszają się młodzi maturzyści. Zgłaszają się akademicy i klerycy z seminariów. Proszą o przyjęcie kandydaci na pomocników duszpasterskich.

Jako jeden z pierwszych staje do apelu J ó z e f M i ę k u s, maturzysta.

Przyszedł on na świat 20 października 1912 roku w skromnym wiejskim domu w Golinie, wsi, położonej niedaleko od Jarocina, w Wielkopolsce. Ojciec jego, Franciszek, cieszył się dobrą opinią i był prezesem miejscowego oddziału Akcji Katolickiej. Matka, kobieta głęboko wierząca, zostawiła mu niezatarte wspomnienie. Odumarała syna, gdy miał osiem lat. Miękus pisał później: „Miałem wiosnę bez najlepszego po Bogu opiekuna“. Ojciec ożenił się po raz wtóry, ale macocha była dobrą kobietą i opiekowała się troskliwie pasierbami. W rodzinie panowały dobre stosunki.

Od dziecka Józef ma pociąg do życia nadprzyrodzonego. Marzy o kapłaństwie. Podczas nauki przygotowawczej do pierwszej Komunii, katecheta zapytał dzieci, kto z nich chciałby zostać księdzem?

— Ja chcę być księdzem — z wybuchem mówi Józef.

Nie ciągnie go do zgiełkowych zabaw, do psot często niedobrych, które trzymają się wyrostków. Jest to natura marzycielska i poetyczna, życie ziemskie nie daje mu zaspokojenia, ma potrzebę czegoś wyższego, pięknego, uduchowionego. Oderwać się od świata w modlitwie i unieść się w sferę Bożego Bytu, dążyć do zrealizowania przykazania ewangelicznego: „Bądźcie doskonałymi, jak doskonałym jest wasz Ojciec niebieski“... Jakaż to radość, jakie czyste odetchnienie.

Przybytkiem niebieskich marzeń jest kościół w Golinie. Kościół stary, czy nie z czasów Jagiełły, drewniany, kryty łuszczkowatymi deseczkami, jak kapliczka bł. Bogumiła. Ta starożytna świątynia, otoczona prastarymi drzewami, znacznie ją przewyższającymi, mieści w sobie obraz „Pani Golińskiej“ — cudowny obraz Matki Boskiej Pocieszenia, ściągający liczne rzesze, zwłaszcza w dniu odpustu. Urządzenie kościoła dziś już jest zupełnie barokowe. W głównym ołtarzu z łukami po obu stronach spogląda litośnie Matka Boska Pocieszenia w koronie. Oto jak sam Józef w liście opisuje kościół:

„Przyjechawszy do Golin*) udałem się wprost do naszego kościółka. Nadzwyczaj ładnie odmalowany. A merrviglia, cudownie, powiedziałby Włoch. W wielkim ołtarzu tylko biel i złoto, poza tym ozdoby utrzymane w stylu ludowym, połą-

*) Na wakacje z Seminarium.

czonym misternie z nowoczesną stylizacją. Nad wszystkim czuwa prof. Gosieniecki z Poznania. Na poprzecznej belce, t. zw. sosrębie odkryto napis z r. 1739. Z biedą dało się go odczytać: haec ecclesia diu desolata, magno sumpto piorum parochianorum... restaurata diebus octobris A. D. 1739 W wielkim ołtarzu króluje „Golińska Pani“, w bocznych — św. Józef i św. Antoni Padewski.

Już wtedy służąc często do Mszy św., odwiedzając Przenajświętszy Sakrament i zatapiając się w modlitwie w milczącym, prastarym kościele, poznał zapewne chwile zachwyty i poezji, uniesienia, w których zda się, jest echo chórów anielskich... Kiedy powracał od stóp Niepokalanej, odrywał się od wizji Chrystusa o twarzy jako słońce a szatach jak śnieg białych, od Chrystusa promieniejącego nieskończoną miłością, o którym myśl sama podnosi i oczyszcza — nie dziwnego, że nie nęciła go ziemia. Jałowe i płonne wydawały się jej uciechy i zbytęcną ziemską miłość. Dając świadectwo do wstąpienia do Seminarium, proboszcz jego wyraża o nim opinię, że w stosunku do osób płci innej był wzorowy, unikał też zabaw, zwłaszcza zbyt hucznych. Znał już szczęście zatonięcia w oceanie Bożej jasności, po której wszystko jest ciemne i powszednie.

Ale nie znaczy to, że nie umiał dostrzec na ziemi jej piękna, a wśród ludzkości — dusz, które mogłyby go powstrzymać. Raduje się po franciszkańsku, słonecznie urodą świata, dziełami sztuki,

krzątanią stworzeń, wśród traw i drzew. W liście do X. Rektora we wrześniu 1936 roku podaje swój rozkład dnia, który na wakacjach chciał ułożyć na wzór zakonnego. Na godz. 12 wyznacza sobie „partykularz“ oraz przechadzkę na pole. Najmilsza rekreacja — iść w zielony świat, zrobiony nie rękami ludzi, lecz Boga!

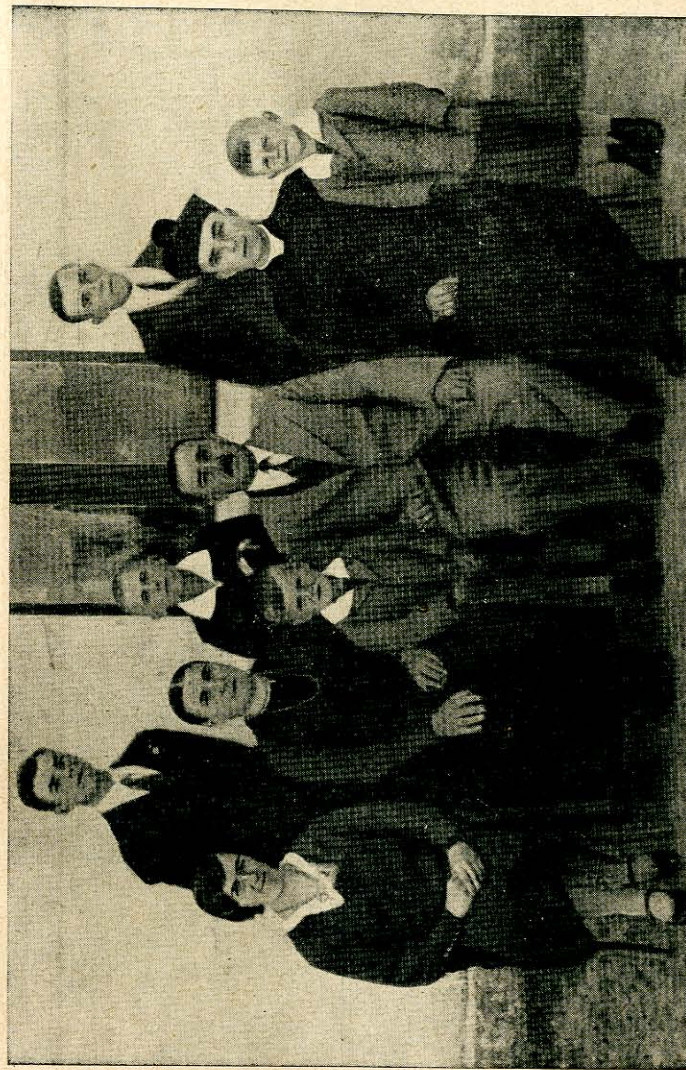
Uspособienie religijne ma zatem od dziecka. W szkole powszechnej nauczyciele zauważają wielkie jego zdolności. Zwracają na niego uwagę ojcu. Ojciec postanawia oddać go do gimnazjum w Jarocinie. Będzie to leżało w granicach jego możliwości budżetowych, gdyż Jarocin jest niedaleko, można dojeżdżać, mieszkając w domu. Miejscowy proboszcz, X. Toboła, zainteresowawszy się chłopcem, przygotowuje go dodatkowo do gimnazjum, dokąd wstępuje we wrześniu 1924 roku.

Oczywiście, przejazdy do Jarocina zabierały mu dużo czasu, był więc w gorszych warunkach, jeżeli chodziło o naukę, niż jego koledzy. Pomimo to, niedługo po wstąpieniu zajął pierwsze miejsce w klasie. Przez trzy pierwsze lata otrzymuje zawsze promocję z adnotacją: „Chlubnie uzdolniony“. Przez całe gimnazjum jest zawsze prymusem. Za cichość, dobroć, uczynność jest bardzo lubiany przez kolegów. Nie umie niczego odmówić. Pociąg z Jarocina do Gminy odchodzi zaraz po lekcjach. Ale jeżeli który z kolegów poprosił go, żeby mu dopomógł w lekcjach, zostawał i pomagał, odjeżdżając późniejszym pociągiem i opóź-

niając godzinę obiadu, do której, jak wiadomo, tak śpieszno bywa rosnącej młodzieży.

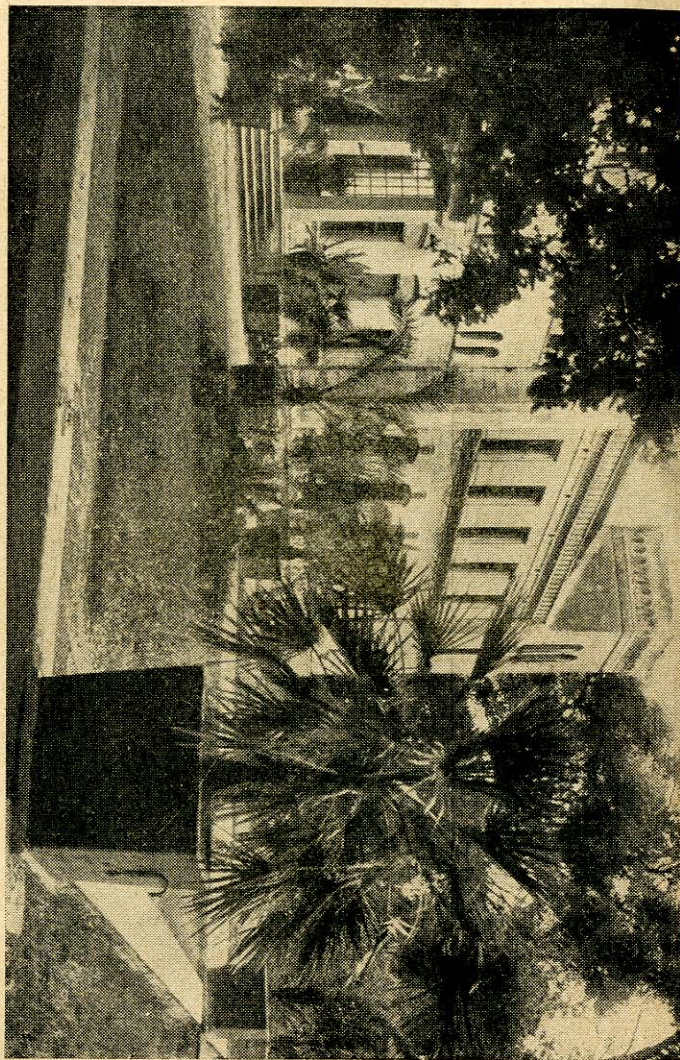
W szóstej klasie nowe horyzonty otwiera przed nim Sodalicja Mariańska, do której wstępuje. Elektryzują go hasła: doskonałość, służba Boża, zbawienie dusz... Zaczyna go interesować praca misyjna i, żeby z nią się bliżej zapoznać, wstępuje do kółka misyjnego. W Sodalicji ostatecznie dojrzewa jego powołanie kapłańskie. Ale nie mówi o swych nadziejach, o swych przeżyciach nikomu. Umie opanować życie wewnętrzne milczeniem, a wtedy nie rozprasza się ono, lecz idzie w głąb, nie rozrzucone nieopatrnie, nie sprofanowane niezrozumieniem ludzi, nie spłycone wylewami, które przynoszą pożytek tylko wobec mistrza uczniowi...

W gimnazjum cieszy się Józef coraz większym uznaniem, nie tylko za postępy w nauce, lecz i za zalety charakteru. Jego X. Prefekt tak go określa: „Jest bardzo taktowny, zrównoważony, przy tym odznacza się niepowszednią pobożnością“. Jak zawsze, kocha samotność i przyrodę, a na przechadzkach przypatruje się jej życiu, bierze ją na własność wzrokiem i słuchem. Szuka nazw roślin i ptaków w książkach, biorąc je na własność umysłu od chwili, gdy umie je nazwać po imieniu. Poza językami i literaturą jest przyrodą jego ulubionym przedmiotem. Żeby lepiej ją poznać, wstępuje do harcerstwa. I tam jest ośrodkiem młodych kolegów, śpiewa z nimi, zakłada obozy,



Józef Miękus jako kleryk na wakacjach w gronie rodziny

Ogólny widok domu nowicjackiego w Potulicach



a jego cichość wewnętrzna i radość dzieci Bożych promieniuje na rozhasaną gromadę.

Józef zdał egzamin dojrzałości najlepiej ze wszystkich. Dnia przełomowego 9 maja 1932 roku świat staje przed nim otworem. Wybitne zdolności mogłyby mu z łatwością utorować karierę, zapewnić zaszczytne stanowisko w społeczeństwie. Ale szczęściem jego duszy jest nie brać, lecz dawać, nie zagarniać, lecz wyzbywać się. Intronizowawszy w sobie prawdę Ewangelii, chce ją wyznać czynnie, najkrańcowiej, najbezwzględniej, nie jak ów młodzieniec, spełniający przykazania boskie, a nie umiejący wyzbyć się swego mienia i iść za Chrystusem. Swoją młodość, swoje zdolności chce rzucić do stóp Mistrza. Ale przed tym musi się głębiej zastanowić i wejść w siebie. Przed zdecydowaniem się ostatecznie udaje się na zamknięte rekolacje dla maturzystów. W ciszy, w oderwaniu od warunków codziennych wsłuchuje się w głos własnej duszy, Czy zabrzmi w niej głos Boga?

Zabrzmiał! Wołanie potężne, zniewalające, cudowne odzywa się z zaświata: „Pójdź! Żołnierzem mym zostań! Barki masz silne, by nie lękać się brzemion. Dźwigając, dopiero poznasz swą siłę!”

Przy końcu lipca zgłasza się do Seminarium Zagranicznego.

„Unizenie proszę o przyjęcie mnie do Seminarium Zagranicznego w charakterze kandydata do kapłaństwa. Praca duszpasterska na wychodz-

twie odpowiada w zupełności memu usposobieniu i mym pragnieniom“.

I oto przychodzi odpowiedź przychylna. X. Rektor Posadzy, doskonały znawca ludzi, wy-czuł od razu, że to jest współpracownik, jakiego mu potrzeba, do młodziutkiego Towarzystwa, do tego niewiarogodnego harcerstwa Bożego, które planował.

Józef Miękus jeden z pierwszych stawiał się do apelu wraz z zastępem 20 kleryków i 20 pomocni-ków duszpasterskich.

Już w winnicy pańskiej!

Dzień 23 sierpnia 1932 roku rozpoczyna dzieje Seminarium Zagranicznego.

Dnia tego zjechał do Potulic X. Posadzy wraz z trzema braćmi, by dom na przyjęcie swego huf-ca urządzić. Radosny dzień przyjazdu tak opisuje Józef Miękus, który od pierwszego dnia przez dłuż-szy czas prowadził kronikę zakonną (opisuje tu przeżycia jednego z braci):

„Ranek był pogodny. Wszystko rwało się do życia. Słońce pierwsze swe promienie rzuciło do pokoju, na me posłanie. Przebudzony, zrywam się co prędzej, bo ten dzień dzisiejszy miał mnie wprowadzić w nowe życie. Westchnąwszy do Bo-ga i poprosiwszy Go gorąco o łaskę, gotowałem się do drogi. Nadeszła chwila, w której gorące i kochane serca rodziców i rodzeństwa miały się ze mną pożegnać na zawsze. Zaczny ojciec ze szcze-rego serca wymówił te wielkie, znaczące słowa:

„Błogosławię cię, synu, i niech cię błogosławi św. Trójca. Idź, pracuj na chwałę Bożą, spełniaj wszystko jak najlepiej“.

Zauważyłem, że na tym steranym troskami obliczu zabłyśły łzy. Wzruszyło mnie to do głębi, ledwie zdołałem wypowiedzieć słowa: „Nie jestem w stanie podziękować i odwdzińczyć się kochanym rodzicom, ale dług mej wdzięczności zlecam Bogu“.

Opuszczam rodzinne miasto, zdążam w stronę nowego życia. Przekonany jestem, że życiem tym będzie bezustanna chwała Boża i że ja w tym tylko celu mam działać.

Jestem, chwała Bogu, już u celu mej podróży. Jedziemy z dworca dwukonną kareta. Jedzie X. Posadzy, trzech braci oraz mistrz kunsztu gastronomicznego. W koło nas rozciągają się piękne nadnoteckie doliny. Wspólna rozmowa o nowym życiu tak nas zajęła, że porządny szmat drogi minął, jakby kilkuminutowa przechadzka.

Wjeżdżamy do pięknego parku i już... Potulice. Wstępujemy w progi naszego nowego domu rodzinnego, który będzie nas osłaniał od wichrów i burz światowych, da nam lepsze życie, spokój ducha, i będzie nam przedsionkiem do krainy Bożej. Ma on być naszą nową szkołą życia, szczerzej i goręcej pokochamy Boga, poświęcając się tu całkowicie Jego służbie: „Na Chrystusowym my tu ordynansie“.

W chwili przyjazdu X. Posadzego, hr. Potulicka od dwóch lat była unieruchomiona w łóżku lub fotelu przez paraliż nóg. Była to ciężka próba dla tej tak pracowitej i zawsze czynnej kobiety, którą znosiła z wielką rezygnacją. Oczekiwała ona

z niecierpliwością i niepokojem przybycia Chrystusowców. Nie mogła już wyjść na ich spotkanie i przybywającego X. Posadzego z braćmi spotkał w jej imieniu z chlebem i solą dyrektor jej dóbr, p. Radziwiński i siostra zakonna, pielęgnująca hrabiankę.

Dyr. Radziwiński witał serdecznie przybywających, wyrażając radość, że właśnie Potulice będą kolebką Seminarium Zagranicznego, skąd będą wychodzili kapłani do naszych wychodźców, by im uściśnąć dłoń spracowaną i umacniać ich w miłości Boga i Ojczyzny.

Wzruszony X. Posadzy odpowiedział, przedstawiając zadania Seminarium i zapewniając, że jego członkowie całym sercem będą służyli Bogu i Ojczyźnie.

Brat pomocnik tak dalej opowiada swe wrażenia:

„Oglądamy nasze ustronie. Następnie spożywamy Boże dary. Po poobiednej rekreacji, zakasawszy rękawy, zabraliśmy się do pracy, której było sporo. Wszystkie pokoje sypialne, tak dla braci, jak i dla alumnów trzeba było czysto sprzątnąć i zaopatrzyć w potrzebne meble. Należało rozpakować 50 łóżek, około 200 krzeseł, umywalnie, kilka skrzyń z książkami i umieścić to wszystko na swoim miejscu. Praca ta zajęła nam trzy dni. Jeden był podobny do drugiego. Wstawaliśmy o godz. 6-ej. Po wysłuchaniu Mszy św. i śniadaniu przystępowaliśmy do pracy, która trwała do po-

łudnia. Po obiedzie dalsza praca. Wieczorem kolacja, przechadzka i spoczynek“.

30 sierpnia zjechała się na stacji Nakło nad Notecią grupa młodzieży w liczbie około 40. Była to garść szczęśliwa tych wybrańców, maturzystów i rzemieślników, których Bóg powołał, jako pierwszych, do wspaniałego dzieła. Wśród tej grupy jest Józef Miękus i X. Florian Berlik, przyszły magister nowicjusów.

Przybycie to opisuje sam Józef:

„Na twarzach wszystkich przybyłych maluje się radość i szczęście. Zjechali się ze wszystkich zakątków Polski, by stworzyć wspólną rodzinę, która ma spełnić wielkie zadanie społeczno - religijne.

Furmankami dworskimi wyruszono z Nakła w stronę Potulic. Bagaż wpakowano na osobny, wysoki wóz, tak naładowany, że konie z trudnością ciągnęły niebywałe brzemie.

W Potulicach powitał młodzież X. Rektor. W wesołym nastroju przystąpiono do obiadu. Każdy był należycie strudzony i wygłodzony w podróży, to też talerze, widelce, łyżki i noże, aż skakały po stole, taki każdy miał apetyt.

Po posiłku zabrano się do ważnej sprawy rozlokowania nowoprzybyłych. Rozdzielono pokoje i każdy, jak mógł, naprętcie się rozłożył. Był przy tym harmider nie lada, ale jakoś po kilku godzi-

nach doprowadzono do zadawalającego jak na początek porządku. Wieczór tego samego dnia był przeznaczony na rozglądnięcie się po okolicy“.

X. Berlik zaś tak opisuje zlot kadry przyszłych Chrystusowców.

„A więc już jestem w Nakle.... Powoli rozwiązują się języki:

— A kolega skąd przyjechał?

— Aż zza Wilna. Jadę już całą dobę. Jestem bardzo zmęczony. Ale to nie!

— A ja z okolic Tarnowa!

— A my ze Śląska! A my z Wielkopolski!

— Ja zaś jestem z Pienin, spod Opola, syn wychodźcy polskiego.

Jeden rok studiowałem w katolickiej szkole społecznej — odzywa się z powagą młody osobnik w okularach. Przejmujemy się szacunkiem: — O, to nie byle kto!

Jest i kleryk w sutannie — Skąd? pytają nieśmiało. — Z Poznańskiego, po czwartym roku teologii w Poznaniu —

— Po czwartym roku teologii, a taki młody i niepozorny — myślę sobie.

— Ja skończyłem w tym roku gimnazjum w Jarocinie — odzywa się spokojnie uśmiechnięty Józef Miękus.

Wśród krzyżowego ognia pytań minęło blisko pół-drogi. Wjeżdżamy na most.

4*

— To Kanał Bydgoski — objaśniają nas — zobaczą panowie niejednokrotnie płynące po nim berlinki, flisaków, jak w pocie czoła i w skwarze południa ciągną brzegiem tratwy. Są zazwyczaj biedni i nie mają za co utrzymać konia. Ciężka to praca: ciągną drzewo przez dwa tygodnie od Bydgoszczy aż do Krzyża, a zarobią zaledwie 120 zł.

— A dolina, którą panowie widzą z jednej i drugiej strony kanału, to ma być dawna dolina Wisły. A te łąki z drugiej strony, to słynne łąki nadnoteckie, wydające najlepsze siano w Polsce.

Widzimy las, dowiadujemy się, że należy już do Potulic. Odtąd, od Występu, zaczynają się posiadłości potulickie. Ma to być najpiękniejsza część lasu — ta, której skrajem jedziemy. Józef obejmuje las miłującym okiem, wypytuje o niego.

— A czy ta brama, do której teraz wjeżdżamy, to już park potulicki?

— Nie, to dawny zwierzyńiec. Cały ten 300 morgowy teren był dawniej ogrodzony. Były tutaj różne zwierzęta: sarny, jelenie, danielle, pawie, bazyanty. Hrabina skasowała jeszcze przed wojną, jako rzecz zbyt kosztowną. Wolała obracać pieniądze na cele społeczne i religijne.

Wstaje przed moimi oczami wizja wspaniałej kawkady myśliwskiej, złożonej z jeźdźców w sztylpach i cylindrach, z amazonek w kapelusikach z woalem, ze sfory chartów i gromady leśniczych

i strzelców w zielonych mundurach. Przeszło to, przemigło. Zamiast zabawy jest służba Boża...

Opowiada nam dalej woźnica, że w tym zwierzyńcu są bardzo stare drzewa. Hrabina kocha bardzo przyrodę i nie pozwala ścinać żadnego z tych starych drzew, chyba, że się samo przewróci. Za wioską jest taki stary dąb, że pod jego konarami mogłoby 100 ludzi jeść obiad. Zaledwie czterech dorosłych mężczyzn zdoła go objąć. Nazywają go „dębem Napoleona“, bo pod nim miał Napoleon jeść śniadanie, gdy przeciągał tędy na wyprawę moskiewską.

Zachwycamy się aleją modrzewiową, a zapowiadają nam, że ujrzymy piękną palmiarnię. Cieszy to nas bardzo: to będzie przedsmak Brazylii...

Furmanki zajeżdżają przed pałac. X. Rektor uśmiechnięty spotyka swoją pierwszą gromadkę. Bierze wszystkich w ojcowskie ramiona, całuje w czoło, wypytuje o nazwisko i miejsce, skąd pochodzi.

— Ja jestem Józef Miękus spod Jarocina.

X. Rektor spojrzał mu w oczy, wyczuł w nim głębsze życie wewnętrzne. Było to pierwsze spotkanie ojca z umiłowanym synem duchowym.

Po posiłku Józef wraz z kilku kolegami udaje się do parku. Ogląda dąb koło pałacu, pod którym hrabiankę Potulicką wraz z ówczesnym kapelanem Bartkowskim chciał rozstrzelać Grenzschutz za działalność narodową. W ostatniej chwili ocalił ich oficer-Niemiec, szczerzy katolik. A te-

raz dzielna Polka, spełniwszy wszystko, co spełnić mogła, dogorywa tuż obok...

Obchodził nowicjusz trawnik z dwoma obeliskami na przedzie, z szeregiem wysokich, starych, lip, grabów, klonów i świerków, z mnóstwem krzewów bzu i jaśminu. Zwracają uwagę niezliczone ptaki i wiewiórki, skaczące po drzewach. W „Kronice“ zapisał Józef wrażenia na widok tych zwinnych stworzeń:

„W parku naszym jest ogromnie dużo wiewiórek. Pisząc właśnie „Kronikę“, zauważyliśmy jedną z nich pośrodku basenu wodotryskowego. Siedziała sobie biedaczka na kariatydzie z miną srodze zbiedzoną, z łapkami przy pyszczku, nie okazując zwykłej sobie żywości. Podeszedłszy bliżej, poznaliśmy powód niezwyklej konsternacji. Oto piękne to stworzonko, chcąc widocznie zaspokoić swe pragnienie, wpadło do wody. A ponieważ ściany basenu są wysokie, nie mogła wiewióreczka wydostać się z powrotem. Wyciągnęliśmy ją z biedą, gdyż pomimo wycieńczenia objawiała silną chęć kąsania. A siekacze miała niezgorsze. Ledwo wspięła się na drzewo, usiadła na domku dla ptaków, dysząc ze zmęczenia i ogromnie się trzęsąc. Nie wiadomo, co się z nią stanie. Będziemy ją obserwowali“.

Strzyżone szpalery, przypominają sztywne ogrody wersalskie, buk rozłożysty, który rozrzucił swe gałęzie, tworząc ogromny parasol, ławki w ustronnych alejach — wszystko pobudza młodą,

nieznużoną wrażliwość, wszystko jest źródłem radości. Tutaj będzie w godzinach kontemplacji odczuwał obecność Bożą, tutaj będzie się modlił.

Tu dzięki hr. Potulickiej zbierze się potężny prąd uduchowania i miłości, który strumieniami opłynie cały glob.

A ona sama dogasała... Jeszcze stawili się u jej łoża młodzi Chrystusowcy, winszując jej imienin. 17. października 1932 roku ozwał się dzwon żałobny na kościółku. Sędziwa fundatorka spoczęła obok swych najdroższych w kaplicy kościelnej.

Szkoła entuzjazmu

Seminarium Zagraniczne stworzył i prowadzi dalej wspierały entuzjazm. Można było go się spodziewać choćby dlatego, że przysła tu prawie sama młodzież, o uczuciach nie zużytych, mająca jeszcze wiarę w życie, nieskalana jego brudem. Te żołnierzyki Chrystusowe, z których ma się urobić potężnych atletów bożych, to dopiero młodzi chłopcy. I podejście do nich powinno być wychowawcze. Trzeba było stworzyć im warunki życia, które by doksztalały, rozwinęły ich władze, ich zdolności, wydobyły na wierzch drzemiące w nich dobro. Młoda energię, by nie poszła w kierunku niższym, trzeba było zużytkować w pracy. Życie intelektualne, które w najwyższym stopniu absorbuje uczucia rozproszone, było otworzone zarówno dla kleryków, jak dla braci. Odsunięto tylko materiał, niepotrzebnie narażający spokój duszy, stwarzający niepotrzebne trudności.

Z jednej strony działanie uduchowiające wywierała praca umysłowa, z drugiej — dając ujście młodej potrzebie rozrywki i ruchu wprowadzono sport, pochłaniający również nadmiar energii or-

ganizmu. Ba, założono nawet harcerstwo. Jest tu więc wśród strzyżonych szpalerów parku kort na siatkówkę, na Kanale Bydgoskim uprawia się pływaństwo i sport kajakowy, urządza się wycieczki, są nawet obozy wypoczynkowe nad morzem lub w górach.

Nie dziwnego, że wprowadzono taki tryb życia pracowniczosportowy dla braci, wśród których niejeden skończył niedawno lat 15 (wiek prekluzyjny dla kandydatów na braci). Zapewniony mają pełny i całkowity rozwój ludzkich sił i zdolności, stworzenie człowieka harmonijnego. Wyrzec się tych rzeczy świeckich, do których nieraz tęskni natura ludzka pomocą sakramenta i łaska Boża, dając pełną, przelewającą się za brzegi kompensatę jakże zatrutego zawsze tak zwanego szczęścia ludzkiego!

Na przykładzie Seminarium widzimy, jak w życiu religijnym można zużytkować sport, który w organizacjach świeckich stał się źródłem zgubienia duchowego, wyrabia brutalność, pociąga za sobą nieraz zanik życia umysłowego i szerszych zainteresowań. Tu w ten sposób harmonijny uczyniono zadość naturze ludzkiej, unikając wszystkich niedoborów sportu zawodowego lub opętania sportowego naszych czasów, które tak obniżyło poziom kulturalny całych pokoleń.

Nowe Zgromadzenie ma swoje własne modlitwy, w których modli się za wychodźstwo, za nie-

szczęśliwą Rosję, za Ojczyznę. „Ustawy“ jego zawierają hasła i przepisy, pełne można by powiedzieć tego romantyzmu religijnego, tego rozmachu ofiarnego, jakie cechują wszystkie jego wystąpienia dotychczasowe.

Ustawy dla człowieka, wstępującego do Zakonu, są wzorem, który mając przed oczami musi wykonać samym sobą. Na ten wzór ma się bezustannie pracować i przezwyciężeniem wyrzeźbić. Od piękna wzoru zależy piękno odtworzonego posagu. Czytając te wskazania, te prawa nowego Zgromadzenia, pełne wewnętrznego ognia, widzimy, że słusznie nowicjat Seminarium Zagranicznego nazywać można szkołą entuzjazmu.

„Charakterystycznym duchem Towarzystwa“, czytamy w § 8, jest:

- a) bezgraniczne ukochanie sprawy bożej w wychodźstwie,
- b) żądza ofiary z siebie i radosne poświęcenie sił, wygód i życia dla dobra tułaczy polskich,
- c) bezwarunkowa karność wewnętrzna w duchu wiary.

Pulsuje w Towarzystwie silnie duch braterstwa. To jakby pierwotna gmina ewangeliczna.

§ 7. Szczera miłość braterska i głębokie poczucie wspólnoty rodzinnej łączyć będą wszystkich w zwarty i solidarny hufiec Boży. Jedni cenić i popierać będą pracę drugich, a wszyscy będą z sobą współzawodniczyć w miłości Boga, w cnocie i poświęceniu.

Porywające są kanony profesji:

„Padnijcie na kolana. Za wami świat. Przed wami wyżyny świętości i apostolski trud. Nad wami Bóg i Mat-

ka Najświętsza. Tam daleko miliony dusz, którym ofiara wasza stanie się zbawieniem“.

„Wyrzekamy się wszystkiego, co jest dostatkiem, wygodą, szczęściem, samowolą, pychą i grzechem. Wsparci łaską bożą i opieką Matki Najświętszej, chętnie idziemy na trud i poświęcenie, na posłuszeństwo zupełne i radosne, na ofiarę każdą, byle świętą wolę bożą spełnić...“

W tej atmosferze poczuła się dusza Józefa „w domu Ojca“... Rozgorzała od razu ogniem ofiarnym, który nie przygasał już w nim do samej śmierci. Z wielkim przejęciem on i nowozaciężny hufiec z nim razem odprawia pięciodniowe rekolekcje i spowiedź generalną. Wrażenia swe zapisuje w „Kronice“:

„Chociaż pewna część nas odprawiała rekolekcje zamknięte, to jednak te były jakieś inne, głębsze. Powtarzano nam ciągle: „Przyobleć się w nowego człowieka“, „Trzeba wam narodzić się od nowa“ — i każdy silnie odczuwał, że „jego przeszłość w gruzy się rozpada, przyszłość wstaje“. I w duszy każdego z nas zrodziły się święte a mocne postanowienia, niby te kolumny spiżowe, marmurowe, na których się będzie wspierał przyszły wspaniały gmach boży“.

Po rekolekcjach i komunii wieczorem milczenie przestało obowiązywać. Kaskadom śmiechu i żartom, zda się, nie było końca.

Ale i żarty się skończyły.

Pan Jezus złożył w sercach naszych najdroższy i najwspanialszy dar: Siebie samego.

Ponieśmy i my jaką ofiarę dla Jezusa — mówił X. Rektor. I zabrano się do papierosów. Palenie wzbronione. I wszystkie papierosy „płaskie” czy okrągłe wraz z tytoniem „najprzedniejszym”, choć pogańskim, bo tureckim — w towarzystwie swych niedawnych właścicieli wędrowały „w odstawkę”.

Nieraz jakie wesołe „powiedzonko”, raca dowcipu, wytrysk humoru ożywi i okraszy życie nowicjuszy, da im na chwilę odprężenie od zbytnej powagi. Zawsze będzie w tym celował Miękus. Zongluje on łatwo słowem — ma zdecydowane zdolności literackie.

Nastrój nie upada, przeciwnie, pogłębia się, wzmacnia. Józef opisuje w „Kronice” niedzielę potulicką:

„Piękna naprawdę jest „nasza” niedziela. Po sobotniej spowiedzi każdy z nas jest jakiś inny, jakiś rozpromieniony, zadowolony, wesoły. Rano godzina snu więcej — to pierwsza dodatnia strona niedzieli. Msza św. ze śpiewem chóru wiejskiego nastraja nas odświeżnie, jest bowiem bardziej uroczysta, piękniejsza, bardziej porywająca.

...Potem dwugodzinna przechadzka. Dzielimy się na grupy i hej do kniej, do pól, do lasów, nad rzekę, każdy w swoją stronę.

Wszędzie wspaniale, więc mniejsza o to, gdzie idziemy. Grunt, że idziemy rozweseleni do roz-

śpiewanej, wdzięczącej się natury. Ten uroczy zakątek potulicki, tak piękny, „choć ciasny, jak świat jest Boży, tak on jest nasz własny”. Zaczyna królować wspaniała polska jesień z babim latem w rozśłonecznione południa, ze szronem i mglistymi całunami w chłodne poranki.

W drodze czynimy ciekawe spostrzeżenia. Po-
dziwiamy np. jadący w dali pociąg osobowy i zjawisko to jest dla nas obecnie jakieś dziwne, nastrojowe. Pomyśleć, że dopiero za rok pojedziemy tym parowym wehikułem na studia do Gniezna. Ah, jak to rozczuła. Pociąg bo pociąg — to nic. Cóż dopiero, gdy na niebie pojawi się stalowy ptak naszego lotnictwa, jak to faktycznie miało miejsce, ale nie podczas przechadzki, lecz podczas pracy ręcznej. Zawarczał naraz, zarechotał nad nami, płynąc nisko nad drzewami parku i uciekł w dal. Leć ptaku — pomyślał każdy z nas — godzina moja jeszcze nie nadeszła. Wszystko leci i ucieka, przeleci i czas nowicjatu, uleczą rączy lata studiów, a wtedy na kształt tych błękitnych ptaków, wylecimy daleko, do naszych rodaków na obczyźnie”.

Po rekolekcjach regulamin porwał w swe tryby aspirantów i zaczęła się sześciotygodniowa praca. Jest to okres próby, a zarazem czas przygotowawczy do kanonicznego nowicjatu. Młodzi aspiranci nie ustają w gorliwości, podsycają ją odezwy przy-

jaciół Zgromadzenia, artykuły, listy, chwające wielkie a potrzebne dzieło. Oto jeden z takich listów:

„Chrystusowcy, jakie wzniosłe wasze powołanie“.

O was wołała tęsknota, rozzalenie, sieroctwo, opuszczenie wołało o was. Serca, dusze, sumienia polskich wygnańców wołały o was. Tam zrodziło się powołanie wasze. Jesteście uproszeni u Boga przez wychodźcze rzesze polskie. Z bólu polskich serc, w tęsknocie nieutulonej obumierających, z udręki polskich dusz, w konania męce kapłańskiej pozbawionej posługi, pociechy — zrodzeni jesteście.

Po wszystkim świecie rozproszone pokolenia polskie błagały i modliły się o was. Jesteście potomstwem najczystszych i najserdeczniejszych, najpokorniejszych i najłzawszych modłów polskich i westchnień...

Zbawiciel wysłuchał prośby wiernego ludu swego, natchnął zastępców swoich na ziemi.

Et nova prole Ecclesiam suam illustrare et amplificare dignatus est.

Polski kapłan-wychodźca, polski zakonnik-wychodźca poświęca się wyłącznej służbie — pieczy dusz polskiego wychodźstwa.

Chrystusowcy, przez was nawiedzi Pan swój lud polski.

Visitabit Deus plebem suam.

Przez was odnowi Pan oblicze polskiego wychodźstwa.

Nova faciet omnia.

Gwałtownicy Boży. Królestwa Bożego szermierze. Czyż dziwne, że kłamstwu samolubnego używania życia przeciwstawiacie prawdę ofiarnego poświęcenia życia dla nieśmiertelnych dusz, dla nieśmiertelnych przeznaczeń w serdecznej posłudze?

Czyż dziwne, że porywa was Pawłowa gorliwość i Pawłowy entuzjazm dla sprawy Chrystusowej? I każe wam porzucić i podeptać wszelki egoizm, fałszywe ambicje Szawłów przyziemnych?

Więcsem najczulszej życzliwości otaczamy ofiarne, wzniosłe powołania wasze, by w ćwiczeniach i próbach wytrwały, rozwinęły się, dojrzały i owoc wydały dojrzały“.

Tak pisał X. kanclerz St. Durzyński z Poznania.

Takie odezwy ze świata utwierdzały młodych kandydatów na zakonników i dopingowały ich gorliwość.

Tymczasem rozwija się w aspirandacie to wspólne, gromadne życie braterskie, które z czasem zostanie wzorem współżycia ludzkiego dla całej w ogóle odradzającej się ludzkości. Tymczasem zakony są szkółką pokazową płonek owocowych,

hodowlą eksperymentalną lepszego typu życia ludzkiego. Słyszeliśmy mocne słowa o ofierze, o niesieniu wychodźcom choćby życia własnego... I przyjdą godziny wśród upałów tropikalnych, żółtej febry, ciężkich wędrówek w dżunglach i po stepach, wśród niebezpieczeństw zagrażających od dzikich szczepów, że przestanie to być tylko mocno brzmiącym, patetycznym hasłem, a stanie się upiorną rzeczywistością. Tymczasem przyszli misjonarze zagraniczni w tej pięknej i uroczej wyłęgarni, pracując i doskonaląc się, nie zapominając o prawach swojej młodości. Każde drobne zdarzenie dnia witają wesołością. Wracamy do „Kroniki“. Józef, który od początku ją prowadzi, pisze:

20 IX. „W parku, na drodze z zamku do kaplicy, uruchomiono latarnię elektryczną, zmontowaną staraniem koadiutorów-elektrotechników Wieczorka i Buczyńskiego. Bo też na tym odcinku były wieczorem prawdziwe egipskie ciemności, tak że niejeden z nas, chcąc nie chcąc, „zderzał się“ z drzewem, oświetlając sobie drogę gwiazdami, które mu w oczach stały“.

21 IX. „Inwentarz martwy powiększa się stale. Przywieziono nam nowy stół. Olbrzym to nie lada — zajmuje prawie połowę sali rekreacyjnej. Dostaliśmy też prawdziwe „perskie“ szachy. Jego wysokość Sekretarz Wielki Koronny zakupił też grę p. t. „Wyścigi motocyklowe“, gdzie — zapew-

ne naśladować rzeczywistość — co parę kroków leży zgruchotany motocykl lub samochód“.

23 IX. Sprowadzono z Bydgoszczy dwie maszyny do codziennego użytku, mianowicie rower i maszynę do szycia. Rower funkcjonował od razu. Maszynę trzeba było dopiero dobrym słowem i perswazją przyprowadzić do porządku. Różni się do niej zabierali i nie mogli dać rady. Udało się to wyśmienienie bratu Królakowi, który po licznych turbacjach maszynę opanował. „I kóżby to wiedział, żeby w tak małym ciele tak wielki duch siedział?“

Kto zna życie świetlicowe w jakiegokolwiek organizacji młodzieży męskiej, ten odczuje natychmiast, że jest to w zasadzie atmosfera dobrze postawionej świetlicy. Atmosfera, zajęcia odpowiadają jak nie można lepiej usposobieniu młodego chłopca. Ale dając aspirantom rzeczy przyrodzone, daje się im jednocześnie nadprzyrodzone. Chwile rekreacji nie przeszkadzają uniesieniom modlitewnym, pracy wewnętrznej, łamaniu się ze starym człowiekiem w sobie. I zabawy są tu inne, panuje grzeczność wzajemna, nie ma sporów, nie ma brutalności, właściwej sportowcom. Każdy nowy nabytek do wspólnego życia cieszy ich i rozwesela. Wzrasta poczucie braterstwa i życie się.

24 IX. Okopaliśmy boisko, gdyż sprowadzono z Bydgoszczy siatkę i piłkę. Gramy więc codziennie, podczas gimnastyki i rekreacji w siat-

kówkę. Ruch, śmiech i zdrowie tryska z nas wszystkich. Różnie się powodzi stronom, bo różni są gracze. Zygiel, najwyższy z kleryków, i Legeżyński dokazują cudów w odbijaniu piłki, Gdzie oni — tam zwycięstwo i laury na głowie (w postaci kapeluszów).

Nowicjat

Po sześciotygodniowej próbie aspirantatu, jasnym jest dla zwierzchności Zgromadzenia, że Józef nadaje się do życia zakonnego, że może rozpocząć nowicjat.

Jest to okres bardzo ważny, okres uformowania przyszłego zakonnika. Większość przyszłych zakonników i zakonnic przebywa go w wielkim podniesieniu ducha, czasem w prześlicznej egzaltacji, znajdując w sobie siły duchowe do zwalczania stałych wad charakteru, do „przyobleczenia się w człowieka nowego“.

Józef wita z uniesieniem świętym początek nowicjatu:

„Dzień 15 października.

Radosny był.

Świetlany, pamiętny i wzniosły. Mało jest takich dni w życiu człowieka, który poświęcił się Bogu. Rozpoczął się uroczyste czas próby dla kleryków, rozpoczął się nowicjat Seminarium Zagranicznego.

Kaplicę w przeddzień przybrano odświętnie. Posadzkę usłano szkarłatnym dywanem, prezbite-

rium przyozdobiono palmami, ołtarz przystrojono w zieleń i kwiaty.

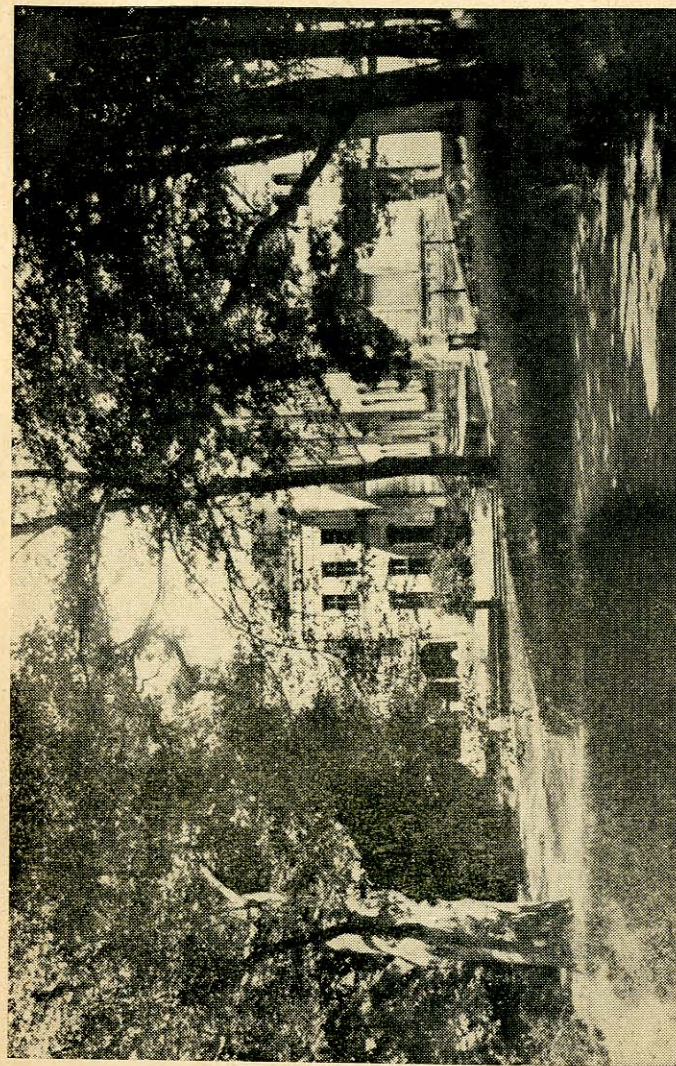
...Zebraliśmy się w sali rekreacyjnej. W imieniu J. Em. X. Kardynała-Prymasa przyjął nas X. Rektor formalnie do nowicjatu. Odbyła się aspersion, po czym wyruszyliśmy w procesji z zapalonymi świecami i z psalmem „Kto się w opiekę” do kaplicy. Bracia, asystujący nam do kaplicy, udali się na chór, podczas, gdy nowicjusze postąpili przed ołtarz i, klękawszy, śpiewali „Veni creator”.

Po przemówieniu X. Rektora 20 wybrańców kładzie się krzyżem na posadzkę, a lud i bracia śpiewają litanie do Wszystkich Świętych”.

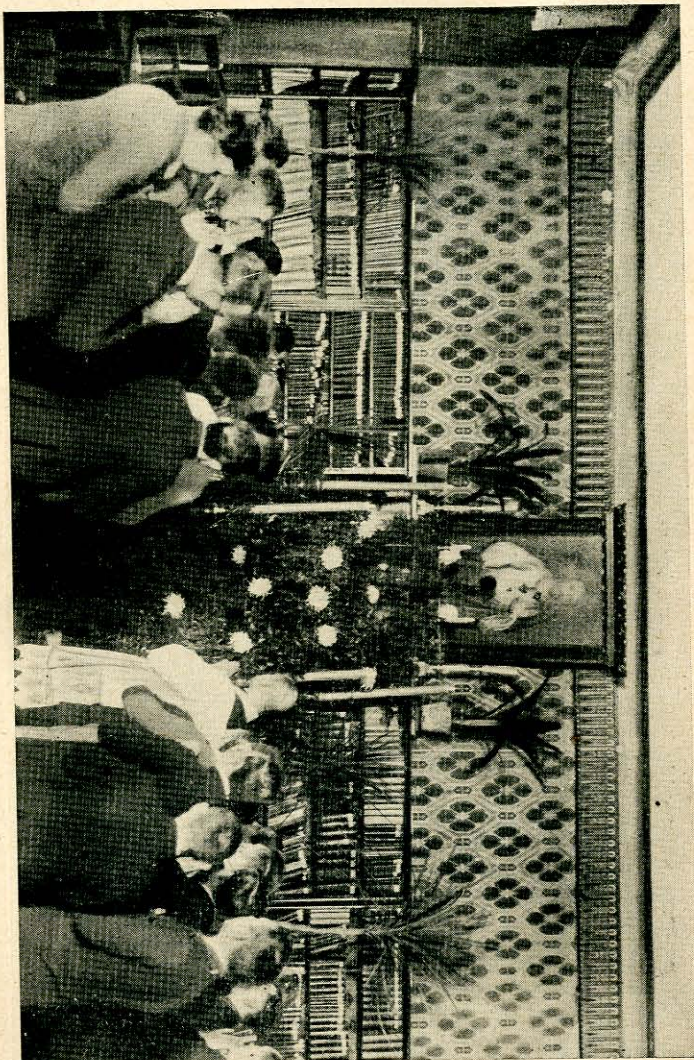
Nieopisane, niezapomniane wrażenia, które będą towarzyszyły w życiu przyszłym zakonnym jasnym wspomnieniem... Głos Józefa drży, gdy wymawia formułę ślubowania. Głos jego łączy się, płynąc z serca przepełnionego wdzięcznością, z tonami uroczystego hymnu „Te Deum”.

Płyną teraz dni nowicjatu. Wszystko ujęte w żelazne karby regulaminu. Wszystko celowe i dążące do wyrobienia woli, do usystematyzowania wysiłków i przewycieżeń.

5 godzina rano. Odzywa się „vox Christi” grubym basem, wtóruje mu cieniem dyszkantem dzwonek elektryczny. Józef wraz z innymi zrywa się, żegna znakiem krzyża. Wstaje



Widok z potulickiego parku



natychmiast, bo ranne natychmiastowe wstanie to doskonały sposób do wyrobienia w sobie silnej woli. Słysząc kroki dzwonnika: „Benedicamus Domino“ rozlega się w drzwiach każdego pokoju. Odbrzmiewa radosna odpowiedź: „Deo gratias“, za szczęśliwie przebytą noc.

Szybko ubiera się nowicjusz, rozmyślając o porannej medytacji. Wchodzi do kaplicy, ogarnięty przedsmakiem wielkiej radości każdego dnia: momentu komunii.

Jeżeli jest czas, Józef odprawia drogę krzyżową. Uczy się tępić ostrze cierpienia, co zawsze się staje, gdy się je dobrowolnie przyjmuje. Od życia nieodłączny jest ból — nie trzeba wierzyć przeciwko ościeniom, by się snadź głębiej nie pokaleczyć. Przyjść krzyż na ten dzień i na wszystkie dni — znaleźć w sobie siły do dźwigania brzemion, uśmiechać się cicho w męce — i iść przez to wyżej...

Tego uczy się serce młode, serce jeszcze nie-strudzone, patrząc na Zbawiciela, upadającego pod krzyżem. Wybaczyć złu i niedokładności ludzi, których w przyszłości będzie się z całym nakładem energii dźwigało w górę... Aż w końcu trzeba powiedzieć słowami poety: „I kochałem, kochałem, sercem bólem nabrzmiałym, to największy mój trud“.

Będzie nawracał ludzi, będzie zbawiał dusze... Czyż jest coś wyższego, jak obudzić dobro w człowieku i nauczyć go wszechobecności Zbawiciela,

który na potworne rany życia, na wrzody zropia-
łe duszy kładzie cudotwórcze, białe, odradzające
dłonie?

Wtórzy słowem własnego officium Zgromadze-
nia, modlącego się o mężów apostołskich na wy-
chodztwie:

- V. Przez najświętsze tajemnice odkupienia ludzkiego
R. Poślij, Panie, robotników do winnicy swojej i zli-
tuj się nad ludem swym.
- V. Przez zasługi i przyczynę Najświętszej Rodzicielki
Swojej, Królowej Wychodztwa Polskiego oraz
wszystkich aniołów i świętych.
- R. Poślij, Panie, robotników do winnicy swojej i zli-
tuj się nad ludem swym.
- V. Królowo Apostołów i Królowo Wychodztwa Pol-
skiego, wszyscy aniołowie i święci prosicie Pana
winnicy —
- R. Aby posłał robotników do winnicy swojej i zli-
wał się nad ludem swym, abyśmy się wszyscy z Nim
razem, z Bogiem Ojcem i z Duchem Świętym cie-
sząc i radować mogli na wieki wieków.

Skandując harmonijnie, nowicjusze recytują
chóralnie modlitwę za wychodźców:

„Panie Jezu, Pasterzu dusz, Ty, co przyszedłeś szu-
kać i zbawiać co było zgineło, zlituj się nad duszami
naszych braci na wychodztwie. Bo oto dni głodu dla
nich nastały, nie głodu chleba, ani pragnienia wody,
ale słuchania słowa Pańskiego. Wołają za chlebem
żywota, a nie ma, ktoby go im podał. Tęsknią sprag-
nieni za źródłem wody żywej, a nie ma, ktoby im
źródło otworzył. Zlituj się, Panie Jezu, nad nimi, bo

oni są ludem Twoim i Twoimi być pragną na wieki.
Zachowaj ich w wierze ojców i prowadź do przysta-
ni prawdy i zbawienia“.

Potem następuje półgodzinna medytacja. No-
wicjusz podług wskazań mistrza nowicjatu prze-
chodzi w myśli wszystkie momenty życia Zbawi-
ciela, poczynając od chwili Jego Narodzin, Jego
ukrytego życia w Nazarecie, aż do publicznego ży-
cia, nauczania i cudów i do męki za zbawienie
świata. Chodzi w wyobraźni z tłumem ludu po
winnicach, górach i nad jeziorami Galilei, w nie-
mej adrocji, w szczęściu idzie z tłumem uczniów
za tą postacią w białej szacie, podchwytyjąc wzrok
boskiej wszechwiedzy i niezgłębionej miłości, w
którym się tonie, jak w oceanowej głębi... Wżywa
się w te chwile nadprzyrodzone, utożsamia się co-
raz głębiej z Chrystusem: By poczuć wraz z Paw-
łem: „Żyję już nie ja, lecz żyje we mnie Chrystus“.

Ale oto zaczyna się Msza św. Rozlegają się sło-
wa liturgii. Chór kleryków i braci skanduje chó-
ralnie odpowiedzi lub wygłasza modlitwy. Praw-
da, jednak jesteśmy w jednym z ośrodków ruchu
liturgicznego w Polsce... Zasada współuczestnic-
twa w każdej części, w każdym Responsorium Li-
turgii jest tu wykonana. Liturgia staje się rze-
czywiście modlitwą zbiorową, czym też była na po-
czątku chrześcijaństwa.

W kaplicy rozszerza się dusza: atmosfera prze-
pojona modlitwą dodaje skrzydeł, lekkości, roz-
niebieszcza świat. Tyle czystych wotów, tyle po-

rywów miłości, tyle momentów rzucenia całego siebie pod Stopy Najświętsze...

Moment Komunii przejmuję Józefa głębokim wzruszeniem, które zaledwie potrafi pokryć. Nie powstrzyma częstego mrużenia powiek. Jest to natura głęboko eucharystyczna.

Potem już zaczyna się szereg ćwiczeń i posług, związanych z nowicjatem. Codzienna krzątania, służba Marty, wtedy, gdy dusza się wydiera do Mariowego siedzenia u stóp Mistrza i wsłuchiwanie się w poszum wieczności w Jego słowach. Tu nie ma rzeczy nadzwyczajnych, tu są codzienne obowiązki. Ale cała wielkość Józefa, jako nowicjusza, polegała na tym, że rzeczy zwyczajne wykonywał w sposób nadzwyczajny. Bystre oko Przełożonego dopatrzyło się w nim jednej cnoty: była nią wierność w drobnych rzeczach. Jest to sumienność i dokładność, posłuszeństwo karne i posunięte jak najdalej, jakie cechuje dyscyplinę żołnierską.

Bo czyż nie jest żołnierzem „na Boga ordynansie”? Czyż nie jest to podchorążówka przyszłych żołnierzy Chrystusowych? Z opanowanych odruchów niecierpliwości, z przełamania ociężałości i odrazy do jakiejś pracy, z wydobywania ze siebie wysiłku w momencie zmęczenia tworzy się żelazny fundament przyszłej doskonałości.

Po śniadaniu zrobił piśmienną rekapitulację rozmyślenia. W kilku słowach spisuje wszystkie oświecenia, jakie otrzymał na rozmyślanie. Są to

t. zw. „lumina“. Te głębokie poruszenia łaski w sobie jest w stanie odsłonić kierownikowi, gdyż ustala się między nimi stosunek tak głęboki, tak intymny, że mogą mówić o najwyższym. Ludzie przeciętni o tym mówić nie mogą i dlatego kruche i bezwartościowe często są związki ludzkie.

Potem następuje studium Ojców Kościoła.

Dzwonek — rekreacja. Józef jest podczas rekreacji wesoły, ale nie ma w nim żadnej hałaśliwości. Wesołość zewnętrzna, rozmowa, uwaga zwrócona na innych nigdy nie rozprasza w nim głębokiego wewnętrznego skupienia.

W czasie rekreacji porannej nowicjusze sprzątają pokoje. Jest to jedno z ćwiczeń każdego nowicjatu dla kandydatów na księży — praca fizyczna. Opowiada jeden z nowicjuszy następujące zdarzenie:

— Zamiatam z Józefem korytarz. Podchodzi do nas listowy i pyta o brata kasjera. Ma pieniądze do oddania.

— Wyszedł — mówi Józef — może pan nam zostawi pieniądze, oddamy bratu, jak tylko wróci.

— Wam miałbym pieniądze zostawić? Znam się na ludziach. — Niegrzecznie odpowiada listowy i odchodzi.

Józef zapłonął się. Nic nie odpowiedział. Na chwilę oddalił się. Może poszedł do kaplicy? Za chwilę wrócił już zupełnie uspokojony.

Po rekreacji — studium spraw wychodźczych.

Z ciężkim westchnieniem odkłada Józef książkę. Dopiero za siedem lat będzie mógł przyjąć z pomocą wychodźcom, przynieść wiatyk umierającym, powstrzymać błędzących od złego, nieświadomych od wynarodowienia, smutnych pocieszyć, wszystkim dać uczestnictwo w życiu Kościoła. Tymczasem może tylko się modlić za wychodźców.

Dzwonek przerywa zadumę.

Po czytaniu dzieł ascetycznych i adoracji przychodzi godzina gimnastyki, obowiązkowa dla nowicjuszy w myśl zasady, że w zdrowym ciele zdrowy duch mieszka. Pracownik na wychodźstwie, narażony często na ciężkie trudy i na wpływ złego klimatu musi być silny, żeby to przetrzymać.

Ulubioną jego grą jest siatkówka.

I dalej wszystkie stacje dnia zakonnego: czytanie duchowne, modły południowe, obiad, rekreacja.

Józef udaje się do parku z jednym lub drugim przyjacielem. Od hałaśliwej zabawy woli przechadzkę. Piękny krajobraz więcej daje zadowolenia od palanta. Rozmawia o czymś poważnym, o Bogu, o przyrodzie. Wypowiada tylko swe przeżycia i myśli, które mu się nasuwają — tak pełnym piękna i Boga jest jego życie wewnętrzne. Ale inni nie umieją utrzymać się w tak wysokim nastroju. Zarzucają mu, że jest zarozumiały, ponieważ stroni od lekkiej rozmowy, od zabaw.

Trzeba przyznać, że jest bystrym obserwatorem. Podchwytuje i opisuje z wielkim wdziękiem zjawiska przyrody, jak tego dowodzi kronika, spisywana przez niego.

Po rekreacji — dwie godziny pracy ręcznej. Zdawałoby się, że nie jest to współmierne ze studium Ojców Kościoła i dla duszpasterza nie jest potrzebne. Tymczasem jednostronna praca umysłowa wypacza i marnuje człowieka współczesnego. Wszak wprowadzono nawet dla inteligencji choćby ogródki działkowe albo sport, żeby zapobiec zgnębieniu organizmu pracą siedzącą, wysiłkiem umysłowym i nerwowym, nieodłącznym od niego. Kościół dawno to zauważył i w zakonach wprowadzono dla zakonników chórowych godziny pracy ręcznej, by utrzymać ich „w formie“, by nie wykoszławić organizmu, na którego podłożu rozwija się lepiej lub gorzej praca duchowa.

W Seminarium Zagranicznym praca fizyczna ma szczególniejsze znaczenie. Wszak kapłan na wychodźstwie będzie nie tylko kapłanem, będzie nie tylko oświatowcem i społecznikiem, będzie też pionierem, budowniczym, gospodarzem. Będzie sam heblował, przybijał, kopał, będzie tego uczył innych. Zapoznanie się z pracą ręczną ma dla niego pierwszorzędne znaczenie, o ile trafi w mało ucywilizowane okolice.

Szacunek dla pracy ręcznej przez pamięć Chrystusa - Cieśli żywy jest w Potulicach. W pierwszym roku karczowano tu las. Poszli wszyscy pomagać, nawet i przełożeni. Nie zabrakło i Józefa. W drwniakach na nogach pomagał przedzierać się przez splątane korzenie, pilować, rąbać, rozsadzać kłami pnie, aż padały powalone z postękiem na ziemię. Przymusem wielkim to nie było dla młodych zakonników: organizm ich potrzebuje ruchu, a młodzi chłopcy bardzo lubią majstrować. W gimnazjach męskich wprowadzono pracę ręczną i chłopcy oddawali się jej z takim zapałem, że nie można było ich wypędzić do domu. Ale i w tę pracę wkładali obowiązkowość, starając się z nią uporać jak najprędzej.

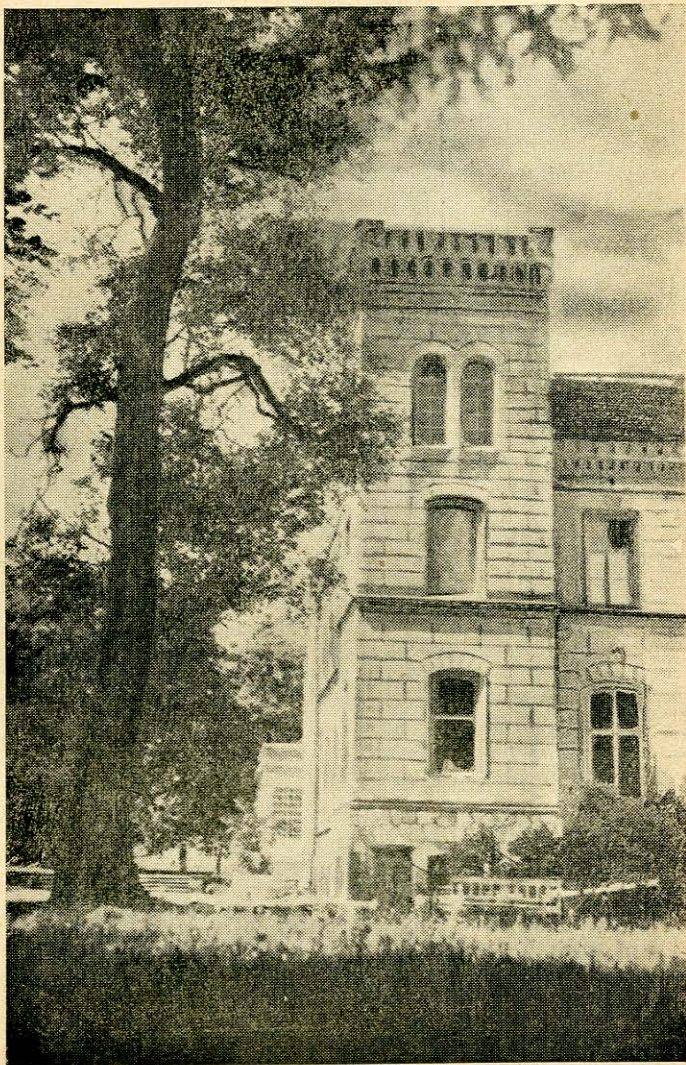
Po takiej pracy ledwo można zdrowym apetytem nastarczyć kawy i chleba. Pochłaniają stopy skibek, opróżniają dzbanek po dzbanku.

Rekreacja po podwieczorku. Jedni siadają do fortepianu, inni brząkają na gitarze hawajskiej, Józef znowu czyta. Z wielkim zainteresowaniem studiował czasopisma misyjne i religijne — wnet mu się przyda przy pracy redakcyjnej, którą mu powierzają.

17.45. Biegiem. Czytanie duchowne drugie. Znowu ma głos Rodricjusz, wytrawny znawca życia wewnętrznego. Po czytaniu — śpiew gregoriański, który Józef bardzo lubi.



Św. Rodzina na wychodźstwie
(obraz Męciny - Krzesza w ołtarzu potulickiej kaplicy)



Baszta narożna domu zakonnego

Następuje wykład, którego Józef słucha zawsze bardzo uważnie. Potem — różaniec albo benedykcja.

Następuje kolacja, po której mówi się „Anioł Pański“ u stóp ołtarza.

Ostatnia dnia tego rekreacja w świetlicy. Piękną jest świetlica — lubią ją młodzi zakonnicy. Na ścianach — zbiory X. Posadzego z Brazylii i innych krajów egzotycznych: krokodyle wypchane, wyjce brazylijskie, łuk Botokudów i „metryka chrztu“ pod równikiem. Odzywa się klarnet, fortepian, Józef przypomina sobie czasy harcerskie (wszak i tu jest drużyna harcerska). Intonuje: „Gdy stary tygrys w dżungli“... Podchwytyją inni: „Pawiany, pawiany“.... Piosenka odzywa się w końcu sali, rozszerza się, podchwytyją ją wszyscy. Najlepsza jest rekreacja, gdy przyjdzie Przełożony, nazywany śmiało „drogim ojcem“. Prowadzą go wtedy do kominka.

Ojciec opowiada o dalekich morzach i lądach, Brazylii, o swoich przygodach, o wychodźstwie. O tym, jak spędził noc w lesie brazylijskim, nasłuchując, czy nie skrada się jaguar, czy nie nadpełza jadowita jarařaca — jeden z tych ogromnych węzów w rude ęćki, którego skóra ściągnięta wisi w pokoju X. Rektora. Opowiada, jak to raz pojechał do kabokli — leśnych ludzi w Brazylii, by wypędzać wodą święconą mrówki. Są one tam

ogromne i napad ich jest groźny — są jadowite i mogą wyludnić nie tylko całą wieś, lecz i całe miasto. Przybył do nich więc, pokropił — i o dziwo! — mrówki się wyniosły. Dalej opisuje twarde życie naszych kolonistów, którzy muszą karczować lasy, rąbiąc drzewa, które są twarde, jak stal. Praca to nadzwyczaj ciężka. Wszyscy słuchają z zainteresowaniem. Dzwonek przerywa miłą pogadankę, nastrój szczęśliwej rodziny, mającej w swym gronie ojca.

Potem już tylko ostatnie modlitwy wieczorne i rachunek sumienia.

Sen spokojny, odpoczynek zasłużony po bojuwaniu dobrym.

Skończył się dzień nowicjusza Józefa, zapisany złotymi zgłoskami w księdze żywota.

Przy dniu tak szczelnie wypełnionym, wymagającym nieustannego sprężenia na baczność, nowicjusze znajdowali jeszcze czas, prawdopodobnie podczas rekreacji, by pomodlić się samotnie w kaplicy.

Jeden z braci opowiada o niezapomnianym wrażeniu, jakie zrobił na nim Józef w czasie modlitwy w kaplicy:

„Po skończonej rekreacji wszyscy udaliśmy się do kaplicy domowej, na modlitwy wieczorne. Wówczas w ostatniej ławce siedział Józef Miękus, kleryk. Był on sam w ławce. Zaczął odmawiać mod-

litwy, a ja wtedy klęczałem obok ławki przełożonych. Modlitwy zaczął, żegnając się z takim skupieniem i wiarą, że wywarło to na mnie głębokie wrażenie. Same modlitwy odmawiał z wielką pobożnością i tak powoli, jakby odprawiał rozmyślanie. Spojrzałem na jego twarz: wyrażała pogodę ducha, skupienie, pokorę, które odczułem przelewające się w moje serce. Jego każdy ruch, jego każde słowo było tak miłe i ciche... Zdawało się, że to Duch św. przemawia w nim w sposób nadprzyrodzony.

Śmierć hr. Potulickiej

Hr. Potulicka cieszyła się, widząc, że w siedzibie jej rodu przygotowują się misjonarze dla wychodźstwa. Ma dla nich uczucie całkiem macierzyńskie. Nie przestaje się troszczyć o członków Seminarium. Pamięta, że trzeba poczynić zakupy na zimę, doradza, gdzie najtaniej. Od czasu do czasu posyła na stół zakonny zwierzynę. Sprawia klerykom komże. Myśli o ofiarowaniu im sutann na obłóczyny.

Wśród Chrystusowców panuje żywa sympatia i cześć dla sędziwej Fundatorki. Modlą się za jej zdrowie i pomyślność. W przeddzień jej imienin (1 X 1932 roku) wieczorem składają jej życzenia z X. Rektorem Posadzym i X. Berlikiem na czele. X. Rektor wręczył jej w upominku parę przedmiotów ze swych zbiorów egzotycznych z Brazylii. Ponieważ hrabina, ongi świetna pianistka, bardzo lubiła muzykę, urządzono koncert. Kleryk Szczepanowski i brat Żurowski wykonali duet na fortepian i skrzypce. Potem był śpiew na trzy głosy, deklamacja chóralna, solo na fortepianie i toast na cześć solenizantki. Pomimo wzruszenia i słabo-

ści, hrabianka przemówiła w kilku serdecznych słowach, życząc błogosławieństwa Bożego. X. Rektor przedstawił nowicuszów hrabinie, która z każdym zamieniła kilka miłych słów.

X. Rektor do swych darów dodał osiem Mszy św., podczas oktawy jej patronów — Aniołów Bożych.

Ze zdrowiem Fundatorki jest jednak źle. Do paraliżu przyłączyła się choroba serca, cierpi na ataki. 17 października następuje atak najgorszy i — ostatni.

Nie zastaje jej nieprzygotowaną. Co dzień teraz otrzymuje Komunię św. Co dzień słyszy słowa pociechy od księdza, gorliwego duszpasterza i po synowsku jej oddanego.

Oto, jak opisuje Józef w „Kronice“ śmierć Pani Potulickiego pałacu:

„Wieczorem, jak zwykle, mieliśmy wykład. Był to dzień zgonu świętej Małgorzaty Marii Alacoque, wielkiej czcicielki Serca Jezusowego. Przed obrazem Najświętszego Serca płoną świece. X. Rektor zachęca do żarliwego nabożeństwa do Najświętszego Serca, tak hojnego dla tych, co je wzywają. Cieszymy się, że wkrótce uroczystie oddamy się w opiekę temuż boskiemu Sercu, by nam zawsze królowało i błogosławiło.

Jest parę minut przed pół do siódmej.

Nagle jakies zamieszanie. Wołają X. Rektora.

Siostra z płaczem woła: „Szybko po Oleje św., szybko“.

Wszyscyśmy zadrżeli. Wiemy, co to znaczy. Nasza ukochana Dobrodziejka odchodzi od nas. Na zawsze! Bez słowa rozkazu wszyscy dążymy do kaplicy. Prosimy gorąco Najświętszą Panienkę i to Serce Najświętsze, by się najdoskonalej spełniła wola Boża.

Modlimy się tak gorąco, w trwożliwym oczekiwaniu: co się stanie? Wejście X. Rektora z czarną stulą powiedziało nam wszystko.

— Moi kochani — mówił wzruszony X. Rektor — bolesną wieść wam ogłaszam. Oto przed kilku minutami umarła ś. p. hr. Aniela Potulicka. Zmarła nasza matka i dobrodziejka. Zmarła wasza wspólna matka, która się wami opiekowała. Ufamy, że Pan Bóg jej będzie miłosierny, bo miała wiarę gorącą i ufność wielką, a On przecież powiedział: „Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie, a ja go wskreszę w dzień ostateczny“. Żegnamy Cię, matko nasza droga. Nie na długo. Jak to słońce na krótki czas zachodzi, by rankiem znowu zabłysnąć na niebie, tak i my zobaczymy się wkrótce w niebieskiej Ojczyźnie, by się radować i cieszyć na wieki.

I zapłakał serdecznie lud zgromadzony.

Rozkołysały się dzwony, bijąc smutnie, boleśnie. I wraz ze swym jękiem żałosnym i skargą unosiły przed Boży tron modły, żalność i ból nieukojo-

ny, jako wymowne świadectwo dla Zmarłej od tych, którzy ją kochali.

Przy trumnie ukochanej zmarłej dzień i noc spędzaliśmy na pobożnych czuwaniach, modląc się serdecznie i gorąco za pokój jej duszy. A ona spoczywała w trumnie, już snem uśpiona wiecznym, w otoczeniu palm i kwiatów, które tak bardzo za życia kochała. Ubrana w skromny habit tercjar-ki, spoczywała tak cicho, jak cichym było całe jej światobliwe życie.

Zaczęli się zjeżdżać krewni zmarłej, delegacje instytucji, przez nią wspieranych“.

Pod datą 21 października Józef zapisuje:

„Zbliżył się dzień pogrzebu. Było pochmurno. Często deszcz przepadywał, obwisłe chmury posępnie wlokły się ku zachodowi. Liście gęsto leciały z drzew, uścielając ziemię żółtym kobiercem.

Rano, podczas Mszy św., celebrowanej przez X. Biskupa Fulmana, śpiewaliśmy missam pro defunctis. O godz. 10 X. Proboszcz odprawił drugą Mszę w kościele dla parafian.

Zbliża się godzina pogrzebu. Zajeżdżają szeregi aut, powozów, przybywają delegacje ze sztandarami i wieńcami, nadchodzą liczne rzesze piesze, gromadząc się przed pałacem. Wszyscy po raz ostatni oglądają drogie szczątki zmarłej. Formuje się długi kondukt żałobny. Około 20 sztandarów i chorągwi z żałobnymi szarfami rozwija się na wietrze.

Kondukt rusza. Przed trumną kroczy J. Em. X. Prymas, XX. Biskupi Laubitz, Fulman i Dymek, X. Inf. Kruszyński, X. Rektor i liczne duchowieństwo. Wkrótce przybywa około 30 kleryków z Gniezna z X. Kan. Tłoczyńskim i złączywszy się z konduktem, wykonywa żałobne „Miserere“. Posuwamy się powoli. Dzwony nieustannie, żałobnie biją na pożegnanie, łącząc swe rozedrgane języki z ponurym zawrotem wichru, huczącego w konarach.

Zbliżamy się do kaplicy. Tworzymy szpaler, by wstrzymać tłoczący się lud, gdyż mała kaplica w żaden sposób nie mogłaby wszystkich zmieścić. Wokół trumny płoną świece, lampy elektryczne kirem spowite. Pienia żałobne uroczystym odbijają się echem.

Sumę z asystą celebrytuje J. E. X. Bisk. Laubitz. Mowę żałobną wygłasza X. Kruszyński, rektor Uniwersytetu Lubelskiego.

Wspomniawszy o świetności rodu Potulickich, wywodzących się od Grzymalitów, którzy już za Piastów w Wielkopolsce żyli, wykazał niektóre cechy szczególniejsze życia Zmarłej. Było to życie ciche, ale zarazem tak promienne i bogate w zasługi. Uwydatnił i silnie podkreślił jej energię w zarządzaniu ogromnym majątkiem, jej pracę, ofiarność i poświęcenie na niwie narodowej, społecznej i filantropijnej, jej niezachwianą ufność w Boską Opatrzność, dzięki której cieszyła się

zawsze wielkim pokojem ducha. Że jej praca ofiarna i poświęcenie znalazły uznanie, i zjednały jej szczerą i żywą wdzięczność, dowodem tego hołd, jaki oddali jej szczątkom najwyżsi dostojnicy Kościoła, liczne delegacje, Towarzystwa i tłumy ludu.

Po przemowie ostatnie psalmy, ostatnie modlitwy, pokropienie i przy śpiewie hymnu „In paradisum deducant te Angeli“, spuszczone trumnę do grobów rodzinnych I jakby przez kaplicę przeleciały przezyste anioły Boże, śpiewając z duszą wybraną pieśń nową pod wtór wspaniałego hymnu, tak podniosły i majestatyczny nastrój panował w tej chwili.

I będzie tam z ojcem, matką i siostrą spoczywać długie wieki, aż ją potężny zew Boży powoła na Sąd Ostateczny, aby jej oddać koronę złotą—„wieńiec sprawiedliwości“.

Tyle Kronika. Zjechały się instytucje ze sztandarami i wieńcami, by uczcić pamięć fundatorki. Ale mienie, które tak dobrze użyła, to było mienie jej rodu, przez nią przechowane. Podkreślono w mowie pogrzebowej, że była jego sumienną strażniczką. Wielka to była zasługa, niespożyta dla Kościoła, dla ludzi cierpiących. Ale kiedy tam, w zaświecie, położą na szalę jej czyny, czy więcej zaważą te wspaniałe fundacje, czy pomoc dziewczynie w polu, kiedy pani z pałacu stanęła do pracy, by jej ulżyć w znoju? Czy więcej zawa-

zą wielkie wartości materialne, obszary i budynki, czy własnymi jej rękami wyrobione płótna, odzież, różne przedmioty, którymi bliźnich obdarowywała?

Odeszła dusza piękna i niepospolita.

Jej portret patrzy ze ściany pokoju, w którym umarła. Przy grobie jej zawsze pełno świeżych kwiatów...

Pod skrzydłami Prymasa Polski

J. Em. X. Prymas-Kardynał August Hlond, właściwy inicjator i założyciel Seminarium Zagranicznego, nie przestał nad nim czuwać i najżywiej się nim interesować.

Po raz pierwszy jednak zetknął się z założonym przez siebie Zgromadzeniem z okazji pogrzebu hr. Potulickiej. Ukazanie się Arcypasterza w tym młodym gronie wywarło głębokie wrażenie na nim. Opisuje to wrażenie Józef, zawsze tak łatwo oddzwiekujący na każde trącenie świata zewnętrznego i zawsze dający czysty ton:

„Przed południem mieliśmy studium spraw wychodźczych. Ale kto tam o tym myślał. Tyle tylko, że książki były otwarte. Byliśmy podnieceni myślą, że zaraz wejdzie X. Prymas. Oczekujemy z napięciem tej chwili. Naraz drzwi się otwierają i energicznym krokiem wchodzi X. Prymas. Pochwala Pana Boga. „Na wieki wieków“ — odpowiadamy chórem. Jego Eminencja zaczyna mówić:

„Moi kochani nowicjusze.

Jestem szczęśliwy, że mogę z wami kilka chwil spędzić. Parę dni temu czytałem w „Osservatore Romano“ opis pięknej uroczystości. Mianowicie w Asyżu odkopano w obecności dwóch kardynałów i kilkunastu biskupów prochy brata Leona i innych braci z otoczenia świętego Franciszka, o których czytamy we Fiorettach. Spoczywał w podziemiach brat Leon i jego towarzysze około 700 lat, a jeszcze o nich pamiętają i czczą ich jeszcze. Otóż zaraz przyszliście mi na myśl, kochani nowicjusze, i pomyślałem, co pozostanie po stu latach z waszej pracy, z waszych szeregów, z waszych grobów.

Wyście ostatnim ze Zgromadzeń w Kościele Bożym. Ostatni, niedoświadczeni, niewypróbowani. Pomimo to zaczynacie pisać pierwszy tom dziejów swego Zgromadzenia. One będą o was wspominały. Chciałbym wam dać parę wskazówek na drogę tego życia nowicjackiego, którym inaugurujecie byt zgromadzenia.

Pierwsza rzecz — to własne uświęcenie. Bez tego niczego nie dokonacie. Musicie się zawsze ze sobą łamać, walczyć ze sobą, zdobywać samych siebie. Musicie dusze wasze uświęcać na wzór Chrystusa. Sami tego nie dokonacie. Proście Boga ufnie o łaskę. On jej nikomu nie odmawia. Jestem pewny, że tym bardziej wam pomocy Swej nie poskąpi. Więc uświęcenie własne na pierwszym miejscu.

Druga rzecz — to umiłowanie swego zgromadzenia. Wspominałem już o św. Franciszku. Minęło siedem wieków, a zakon franciszkański istnieje. Tak wiele dobrego zdziałał w Kościele Bożym, tylu świętych wydał! Czemu to przypisać? Pominałszy szczególniejszą łaskę Bożą, którą św. Franciszek uprosił dla swego zakonu heroiczną cnotą pokory i miłości, ten wspaniały i trwały rozwój jest owocem umiłowania przez rodzinę franciszkańską ideałów fundatora. Św. Franciszek potrafił zaszcześcić w sercach braci żarliwość i zupełne oddanie się sprawie Bożej, której całe własne życie poświęcił. I wy ukochajcie swoje zgromadzenie i poślubcie jego sprawę. Jego dobro niech będzie waszą ambicją, jego pomyślność — waszą radością, należenie do niego — waszym szczęściem, realizacja jego zadań — waszą potrzebą i dumą.

Trzecia rzecz, o której chcę wspomnieć, dotyczy pewnego nastawienia waszego życia obecnego i przyszłego. Chodzi mi o ducha ofiary. Nie przyszliście tu po wygody, po przyjemności, po zaszczyty. Jestem przekonany, że Bóg was tu przyprowadził do swojej służby. Nie można nic wielkiego dla Boga dokonać bez ofiary. I ja jestem zakonnikiem. Zgromadzenie, do którego należę, choć młode, liczy osiem tysięcy członków i jest bardzo prężne. Jest moim głębokim przekonaniem, że jeżeli Bóg za co szczególnie temu Zgromadzeniu błogosławi, to za jego ducha ofiary. Kiedy bł. X. Bosko, jak czytamy w historii jego

zgromadzenia, wołał wieczorem kleryczka: „Chodź, drogi, będziesz całą noc pisał“, to ten się cieszył, że mógł się nocną pracą zgromadzeniu przysłużyć i chętnie ze swego wypoczynku składał Bogu ofiarę. Więc przygotujcie się na trud i życie pełne poświęceń. Kiedy pójdziecie do naszych biednych wychodźców, nie będzie tam żadnych wygód, żadnego dogadzania sobie. Nie będzie często domu, nieraz braknie obiadu, trzeba będzie się zupełnie a radośnie poświęcać.

Na zakończenie, moi kochani nowicjusze, jeszcze jedna uwaga. Wystrzegajcie się ponurości. Kto stale chodzi zachmurzony, posępny, ten okazuje, że tam w jego duszy albo w jego nerwach coś nie w porządku. Radość i wesele niech was nigdy nie opuszczają. Macie pracować wśród ludzi, którzy ciężkie wiedzą życie, są przeważnie smutni, przygnębieni. Macie im zanieść radość życia, macie ich pocieszać, uszczęśliwiać. Świętość wasza niech będzie pogodna, jasna, radosna“.

Uradowani z rozjaśnionymi twarzami żegnamy X. Prymasa.

W kilka tygodni później X. Prymas przyjeżdża na pierwszą uroczystość zakonnych oblóczyn. Odbyła się w dzień święta Niepokalanego Poczęcia, 8 grudnia. Odtąd dzień ten zawsze przeznaczony jest na oblóczyny, jest jednym z najuroczystszych dni Seminarium Potulickiego. I teraz podczas podniosłej ceremonii oblóczyn zwraca się X. Prymas z niezapomnianymi słowami do kleryków:

„Chwila obecna jest chwilą przełomową w waszym życiu duchownym. Odtąd dusze wasze mają szczególnie promienieć blaskiem cnót zakonnych. Obyście się głęboko przejęli znaczeniem szaty, którą otrzymacie, i obyście godnie ją nosili. Niech nie będzie nigdy rozbratu pomiędzy życiem waszym a suknią, którą przyjmujecie. Niech w waszych sercach płonie ogień miłości i zapału dla sprawy bożej i dla ratowania dusz naszych braci na wychodźstwie“.

Następują same oblóczyny. X. Prymas pyta nowicjuszy:

„Synowie moi, o co prosicie?“

— Eminencjo, Najdostojniejszy nasz Założycielu i Ojcze, prosimy pokornie o suknię zakonną, abyśmy w Zgromadzeniu Seminarium Zagranicznego z pomocą łaski bożej do końca życia wytrwali, Bogu służąc i polskiej rzeszy wychodźczej.

Wśród słów: „Niech cię oblecze Pan w nowego człowieka, który według Boga stworzony jest w sprawiedliwości i świętości prawdziwej“, nakłada X. Kardynał - Prymas symbole stanu duchownego.

Każde przybycie X. Prymasa do Potulic jest dla Zgromadzenia żywą radością. Słowa X. Prymasa, myśli przez niego rzucone, jego dobroć i siłę dodaje sił i wytrwałości.

Na święta Bożego Narodzenia przysyła X. Prymas dekret, mocą którego eryguje urzędowo Po-

tulickie Zgromadzenie Zakonne. Darowi temu, tak upragnionemu, towarzyszą słowa:

„Przysyłam, jako prezent wigilijny, dekret będący prawną podstawą bytu Potulickiego Zgromadzenia. Duchową podstawą waszą niech będzie świętość i bezgraniczne umiłowanie sprawy bożej w życiu wychodźstwa.

Niech w noc świętą Boża Dziecina przytuli do serca potulicką gromadkę i niech jej da zrozumienie głębokie i wielkie, wielkie ukochanie dusz nieśmiertelnych“.

Na Nowy Rok 1933 przybywa X. Prymas, by poświęcić kaplicę nowicjacką. Po poświęceniu odprawia Mszę św., sprowadzając do kaplicy Przenajświętszą obecność Zbawiciela.

Dawniej był tu t. zw. Żółty salon hrabiów Potulickich. Odbywały się tu huczne przyjęcia i zabawy. A dziś powstała na tym miejscu kaplica, gdzie Chrystus będzie przebywał wśród młodych gorących dusz, rwących się ku świętości i ofierze.

Po raz czwarty przybywa X. Prymas, by poświęcić stacje Drogi Krzyżowej, zawieszane w kaplicy, dar P. D. R. W. parafii św. Marcina w Poznaniu.

Widzimy z tych częstych odwiedzin, z serdeczności wielkiej dla wychowanków Seminarium, jak bardzo nowe to dzieło leżało na sercu X. Prymasa, jak wiele dał mu serca i swej pomocy we wszystkich trudnościach przy założeniu.

Kiedy 10 kwietnia przybyła do Potulic maszyna drukarska i miano rozpocząć wydawanie czasopisma dwumiesięcznego — „Głosu Seminarium Zagranicznego“, X. Prymas cieszy się bardzo. Bawi wtedy w Rzymie i stamtąd przysyła drukarzowi Potulickiemu szczególniejsze błogosławieństwo:

„Ucieszyłem się dobrymi wiadomościami z potulickiego zacisza. Wkrótce ruszą tłoki drukarskie — w imię sprawy bożej wśród tułaczy polskich. Niech łaska boża spocznie na każdym słowie, które drukarz potulicki wysyłać będzie na kraj polski i na świat cały. Specjalnym triduum należy przed uruchomieniem drukarni ubłagać pisarzom natchnienie, a słowu drukowanemu skuteczność bożą“.

W ciągu pierwszego roku nowicjackiego dostojny Założyciel przyjeżdża jeszcze cztery razy. Za każdym przyjazdem zwiedza warsztaty, pracownię. Interesuje się tym, co zrobiono nowego. Udziela rad, wskazówek. Wszędzie rozsiewa radość i pogodę.

Seminarium Zagraniczne — to żrenica oka X. Prymasa.

Na front wydawniczy. Maszyna drukarska nadeszła

10 kwietnia nadeszła do Potulic maszyna drukarska. Oddawna już X. Rektor zamierzał rozpocząć pracę wydawniczą. Teraz zaczyna wychodzić „Głos Seminarium Zagranicznego” — na razie kwartalnik.

Pierwszym współpracownikiem X. Rektora w redagowaniu tegoż pisma zostaje Józef Miękus. Nie pisze o tym w „Kronice”. Czy dla ukrycia zasługi?

Podejmuje tę pracę, jako służbę Bożą. Zaczyna ją od prośby:

— Najświętsze Serce Jezusa, pobłogosław każdemu słowu.

Pisać tak, jakby każde słowo miał przeczytać Mistrz Najwyższy... Pisać tak, by każde słowo służyło dziełu Bożemu... Wylewać na świat strugi wiary, wołać do dusz wołaniem mocnym, by odzew wdzięczny i czysty otrzymać...

Niewielka jeszcze ta praca: poza adjustowaniem materiału ze świata, listów uchodźczych, wiado-

mości i zdarzeń z życia Zgromadzenia — daje obrazki życia braci i kleryków, pełne poezji, energii i wesołości. Nie mają czasu w natłoku pracy, rozrywek, wrażeń ustawiać się te słowa tłumnie, nie mają czasu rozwijać się w zaokrąglone zdania, pełne najdokładniejszej części mowy. To jest styl futurystyczny, awangardowy, styl telegraficzny:

„Dzwonek. Praca.

Rekreacja: śmiechy, radość, wesele. Oczy błyszczą radośnie. Melodyjne śpiewy wibrują w powietrzu. Tam muzyka gra... Szymek dobośz roześmiany kropi w bęben.

Dzwon. Modlitwy wieczorne. Idzie noc... Modlitwa — praca — nauka — dużo radości — to nasz regulamin. Karność wojskowa, duchem Bożym przepojona. Nasze potulickie „szare dni”.

Ten styl, szczęśliwie znaleziony przez niego, będą potem naśladowali w „Kronice” inni. Złoży się to na swoisty styl potulicki — harcersko-podchorążacki. Bo też wziąć trzeba pod uwagę, że to Zgromadzenie prawie całkowicie składające się z młodych ludzi. I Założyciele wychodzili z tej mądrej zasady, że zdrowych właściwości wieku młodego stłumić nie należy, trzeba je tylko oczyścić i skierować w górę. Powstał więc typ zakonnika, niezmiernie odbiegający od ponurej, asceptycznej, surowej postaci, potępiającej radość życia, jaką lubią malować wbrew oczywistości wolnomyśliciele. Piotr Jerzy Frassati, który umarł

w opinii świętości, lubił się wspinać po górach. Turystyka, wybiegnięcie radosne w świat Boży, przypatrywanie się pięknu natury, cieszenie się darami Bożymi piękna i przestrzeni tak są właściwe katolicyzmowi współczesnemu. Katolicyzm nigdy nie był tym, co Niemcy nazywają „welt-fremd“ — obce światu. Purytanizm i Jansenizm były tak niespółmierne z tym, co jest przecudnym wykwittem właśnie tego średniowiecza, tak bardzo potępianego i utożsamianego z antytezą „radości helleńskiej“ — z radością franciszkańską. I współczesny katolicki ruch młodzieżowy jest przepojony t o n e m ś w. F r a n c i s z k a, mówiąc językiem Mickiewicza. Powszechny chorał: „Cantate canticum novum“... Szare dni stają w świetle nadprzyrodzonej glorii, oślepiającej łaski. Brzemiona stają się lekkie, krok jest uskrzydłony. Przenika duszę poczucie o d n o w y.

To poczucie jest tak płodne i dynamiczne dlatego, że zawiera w sobie pierwiastki twórcze. W życiu religijnym bywają dwa typy: albo powtórzenie k a n o n u niezmiennego, wykutego przez wieki. Jest w tym praca nie lada jaka kopisty, zwłaszcza, jeżeli wzór ma być dokładnie odtworzony. Ale idą wieki i przynoszą coraz to nowe formacje duchowe, coraz to nowe prądy, które Kościół opromienia i zgarnia na swój użytek, tak, jak zgarnia na swój użytek wynalazki nowoczesne. I wtedy odbywa się wlanie w r a m y k a n o n u n o w o c z e s n e j t r e ś c i. Jest to już twórczość.

A ta zbliża do Stwórcy — wprowadza w kult Boga Ojca, tworzącego w wichurze blasków w zamieci mgławic, w bezmiarach kosmicznych przestrzeni i czasu, niepojętych dla nas. To wyłanianie nowych form organizacji religijnych odbywa się obecnie bardziej twórczo, w szybszym tempie, niż dawniej. I towarzyszy mu to właśnie wycucie odnowy, „przyobleczenie w człowieka nowego“. To właśnie wycucie jest cudownym, rozśpiewanym Magnificat każdego nowicjatu. Wydobywanie ze siebie nowych pierwiastków, a nie tylko bierne odtwarzanie pewnej, przedłożonej postawy duchowej jest pracą wewnętrzną twórczą. W pierwszym okresie życia zakonnego ta twórczość, to poczucie odnowy, ta egzaltacja najwyżniejsza jest źródłem najjaśniejszych, niezapomnianych przeżyć. Szczęśliwym jest ten zakonnik, który i w późniejszym okresie życia zakonnego, zwłaszcza wśród nadmiaru prac, które dźwiga każdy w zakonie i stara się dźwigać dla zasługi jak najwięcej, nie wpadnie w skostnienie i znałogowanie.

Nastrój gromady Bożej o spokojnych sumieniach, żyjącej w śpiewie glorijskim i w służbie ołtarza, nastrój gromady, związanej miłością Bożą, dla której każda praca jest unoszącą się ku niebu modlitwą, jest dymem wonnym kadzidlany duszy — pozwala na te zabawy niewinne, opromienione czasem obecnością w ich gronie wodza duchowego, ojca, na którego mogą oczy podnosić.

Ta zdolność czci, przede wszystkim oddawanej Bogu, a potem wodzowi duchowemu, jest podnoszeniem się wyżej, jest wyciąganiem rąk ku formie wyższej, z tęsknotą, by ją osiągnąć. Dlaczego hierarchia duchowa, uznanie jej i zrozumienie pomaga człowiekowi do wstępowania „na górę wysoką”. Równanie wszystkiego i burzenie hierarchii wartości duchowych spycha ludzkość w dół. Rozumieli to nie tylko ludzie Boży: John Ruskin, pisarz-esteta angielski podkreślał zdolność czci, wychodzenia p o n a d siebie, jako jedną z wielkich wartości człowieka. U Krasińskiego potępiony zostaje hr. Henryk w „Nieboskiej Komedii”: „za to, żeś nic nie czcił...”

Jakże odmienną jest droga rozwoju narodu niemieckiego, dochodzącego do najbardziej bezbożnego i szalonego pychę szowinizmu poprzez wyznaczoną mu przez Nietzsche’go ścieżkę „nadczołwieczeństwa”, samoubóstwienia jednostki, która nic nie czci ponad siebie...

Niewinność... Cudowna oaza wśród brudu i zepsucia współczesności... Patrząc na grono zakonników potulickich, przypomina nam się mimo woli młody proletariusz bezrobotny w wielkim mieście, młody chłopiec, który spił wszystkie szumowiny i trucizny, który ma twarz napiętnowaną złym, który zna wszystkie grzechy śmiertelne, a nieraz otarł się o zbrodnię. Ci biali zakonnicy w swoich czarnych bluzach roboczych, nowoczesnych i w

swoich sutannach są jakby wyspą ocalenia, garstką wybraną, dla której może Bóg przebaczy nowoczesnej Sodomie.

Takie dusze anarchiczne, zepsute do dna, bezbożne i zbuntowane, taką młodość gnijącą w korzeniu swoim spotkają ci potuliccy misjonarze w wielkich miastach Ameryki Południowej, Chin, Niemiec, Francji. Oddawajcie się beztroskim zabawom, uciechom duszy niewinnej, młodzi bojownicy. Zbyt prędko przyjdzie do was surowa odpowiedzialność za dusze ginące w złym...

Jak charakteryzuje nastrój tej gromadki Chrystusowej opis dnia (nie przez Józefa pisany) w „Kronice”:

„...Spacer niedzielny...

Dziadek mróz chuchnął, dmuchnął i opadły słupki srebra w termometrach... z wielkiego strachu. A potem wystrzeliły grube lodowe kwiaty na szybach, rozkwitły w ogrody rajskie...

Dzwonił dzwonek nie raz, nie dwa.

I po modlitwie poobiedniej zapiszczał śnieg, grubo ubity, roziskrzony w diamenty, najpierw koło pałacu, potem koło kaplicy i wreszcie na moście nadnoteckim. Szedł gwar, śmiech i rozmowy o ukochanych świętych. Królowała święta Tereska od Dzieciątka Jezus.

W słońcu gorącym kąpie się dolina śniegowa i teren pofałdowany. Wspinamy się na ścianę,

bo z góry, miły bracie, widoki. I przypomina się niektórymu, o dziwo, wspinaczka na Garłuch, a inni to i o Alpach mówią... O Alpach...

Nasz ukochany X. Rektor cukierki rozdaje, a wreszcie bieg ze wspinaniem się przed forum kleryków i braci. Pierwszemu — sześć cukierków. Victor.

Startuje sześciu... A ściana — stromizna na 20 metrów (grań jakby). A potem szły minuty i jechali w dół i na bok...

I wszedł pierwszy podchorąży potulicki. A tam na grani walka szła ciągle, katulali się, toczyli, pełzali...

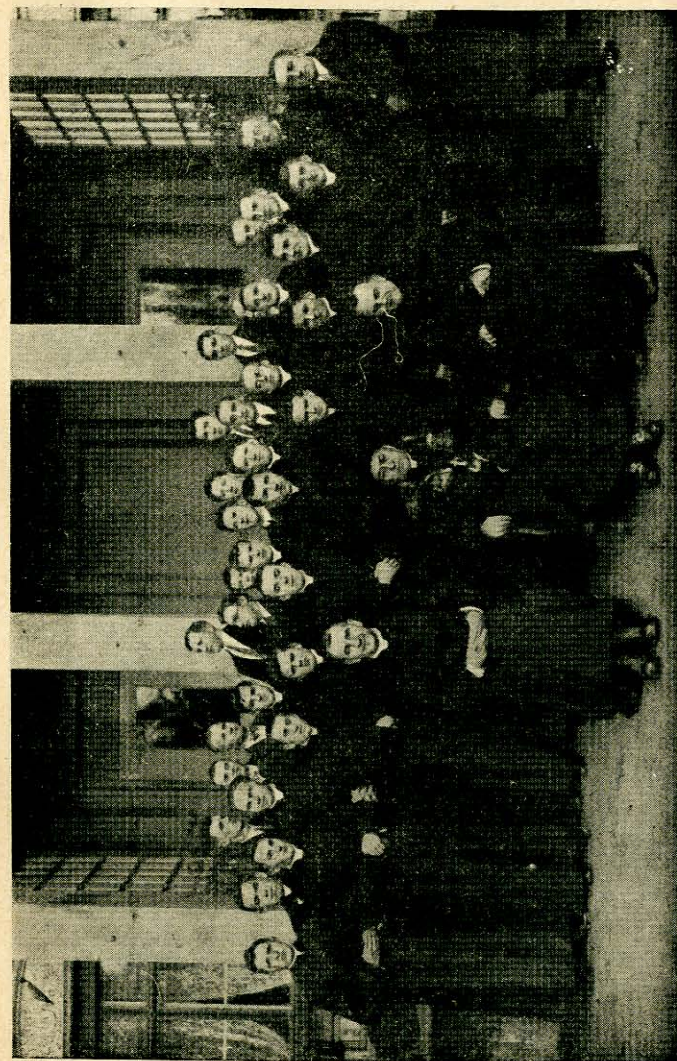
A potem fotografia na moście — na tle drzew, i wioska, i nowicjatu brama“.

W tym nastroju niewinności i lśniącej schludnej bieli wokoło dusz podejmowano każdą pracę.

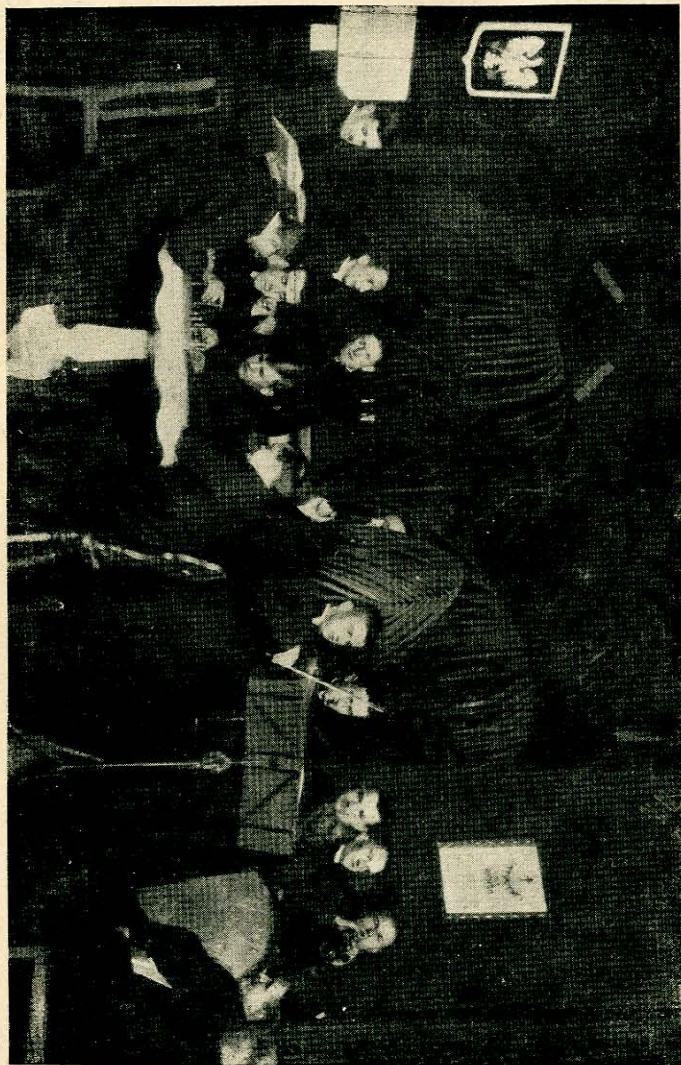
„Każdemu słowu błogosławi Najświętsze Serce Jezusa“...

W tym nastroju przejęcia się prowadzi „Głos Seminarium Zagranicznego“ Józef Miękus, kierowany wytrawną ręką Ojca, aż do swego odjazdu na studia do Gniezna.

Czasopismo daje artykuły zasadnicze, kronikę życia Zgromadzenia, opisy życia na wychodźstwie i listy wychodźców. Czasem też umieszcza słowa zachęty i wiary w rozwój Zgromadzenia różnych ludzi wybitnych, zarówno z Opieki nad wychodz-



J. Em. X. Prymas — Zatożyciel w gronie Chrystusowców



twem (z Towarzystwem „Opieki“ nawiązuje się ścisła i serdeczna współpraca), jak i różnych duchownych przedstawicieli Światowego Związku Polaków Zagranicą i t. d. Zwłaszcza zaś ze szczególną skwapliwością i ukontentowaniem serdecznym umieszcza się każde słowo X. Prymasa, zwrócone do Zgromadzenia.

Czasopismo z początku ma nakład 4.000 egzemplarzy i rozchodzi się głównie wśród duchowieństwa. Potem nakład podnosi się do 20.000 i czasopismo zaczyna trafiać do najszerszych warstw społeczeństwa.

Niestety, mało dochodzi dotychczas i to czasopismo, i inne wydawnictwa Seminarium Zagranicznego do tych, którym najbardziej są potrzebne. Teren działalności hufca potulickiego — to nie bogate Stany Zjednoczone. Wśród ubogich nieraz i ciężko pracujących kolonistów, Ameryki Południowej, wśród górników Belgii i Francji, wśród robotników Westfalii, wśród ludu wiejskiego Łotwy lub wychodźców w dalekim Mandżuko będą działali Chrystusowcy. Tam trzeba będzie nie raz nie tylko myśleć o zbawieniu dusz, lecz i organizować pomoc charytatywną. Tam nieraz ludzie nie mają środków na chleb dla ducha.

Wieści, o nowym dziele przenikają coraz szerzej w społeczeństwo. Zjeżdżają goście: X. Kard. Kakowski, XX. Biskupi Laubitz, Fulman, Gawlina,

Kubina. Zjeżdżają Generałowie Zakonów, prałaci i wybitni duchowni pisarze katolicy, jak X. Nikodem Cieszyński, X. Stefan Durzyński. Niektórzy z nich zaczynają pisać do „Głosu“ artykuły.

Przyjeżdżają też księża z emigracji, by przypaść się Domowi, skąd wyjdą dla nich przyszli pomocnicy. Chcieliby zaraz zabierać ze sobą w świat daleki księży, lub chociażby braci do pomocy. Ale nie: jeszcze nie są przygotowani, jeszcze musi ich zapal ofiarny okrzepnąć, a charaktery i duch zakonny wyrobić się lepiej.

Zwłaszcza robi wielkie wrażenie przyjazd zasłużonego kapłana polskiego z Charbina, X. Ostrowskiego. Kiedy sterany pracownik odjeżdża znowu na trudną swą placówkę, pytają go młodzi klerycy, co trzeba zabrać ze sobą, jadąc na emigrację.

— Dużo miłości — odpowiada sędziwy pracownik winnicy Pańskiej.

Ta prześliczna odpowiedź zapada w serca młodocianych kleryków i braci. Bo też to serca wrażliwe, gorące i gotowe świat cały przycisnąć...

Nie wszyscy zdają sobie sprawę, że zakony są wzorówką przyszłego, odrodzonego życia ludzkości, do którego dopiero powoli dorastamy. Obecny nasz okres, okres egoistycznego laicyzmu i przyzwolenia na siedem grzechów śmiertelnych jest może zaledwie przedszkolem ludzkości.

Tak więc idzie „Głos“ w świat i budzi echo. Za czasopiśmem pierwszym ukazuje się drugie — „Msza św.“ Potem „Cześć Świętych Polskich“.

Potem — książki i broszury. Książka X. Ignacego Posadzego, opisująca pobyt Jego w Ameryce Południowej, p. t. „Drogą Pielgrzymów“, w której autor ilustruje głód religijny i potrzebę pracy etycznej, społecznej i oświatowej na wychodźstwie polskim była drukowana w pierwszym wydaniu w Michalineum. Następne wydania bito już we własnej tłoczni. Rozchodziły się i rozchodzą w tysiącach egzemplarzy (w tej chwili wyszedł już 40-ty tysiąc), uświadamiając Naród Polski o obowiązkach względem rzeszy wychodźczej, stanowiącej w tej chwili czwartą część narodu.

Jeżeli kiedykolwiek brat potulicki zapuka do waszych drzwi i zaproponuje wam kupno książki, czasopisma lub broszury Seminarium Zagranicznego, pamiętajcie, że dochód z tych wszystkich wydawnictw idzie na ratowanie polskich dusz na wychodźstwie...

Na chwałę Królowej Wychodźstwa Polskiego...

Obecność wiecznie żywa...

Seminarium Zagraniczne — to Opatrznościowe dzieło Najświętszego Serca Jezusowego i Matki Najświętszej. Przełożony Naczelný zdaje sobie jasno sprawę, że tak ważnego dzieła nie można opierać na kruchych, słabych siłach ludzkich. Dlatego od początku stara się wpoić w swoich wychowanków to głębokie przeświadczenie, że pomocy należy szukać w nabożeństwie do Najświętszego Serca Bożego i Matki Najświętszej.

Powtarza często: — Sami nic nie zrobimy. Zginiemy! Ale z pomocą Najświętszego Serca Bożego i Matki Najświętszej uda nam się wszystko. Serce Boże jest cnót wszystkich bezdenną głębiną. W Sercu Bożym znajdziemy wszelkie mądrości i umiejętności. Ono nam niczego nie odmówi, bo jest hojne dla wszystkich, którzy go wzywają. Połóżcie w nim całą nadzieję, bo ono jest zbawieniem ufających.

I oto w nowo - założonej rodzinie zakonnej czynią to, co bywa w rodzinach chrześcijańskich: intronizują Serce Jezusowe. Nowicjusze przygotowują się do tego aktu, słuchając słów swych kie-

rowników, którzy tłumaczą cudowny wpływ ciągłej obecności Chrystusa w domu. Obraz na którym Zbawiciel wskazuje na swe serce, cierniem oplecione, uprzątnia tę obecność, przypomina obietnice, w chwili intronizacji złożone...

Nieustanna obecność Zbawiciela... Oczy przeczyste patrzą boleśnie w chwili upadków i niedoskonałości. I człowiek zaczyna się przed każdym czynem zastanawiać: — Czy uczyniłbym to samo w obecności Zbawiciela, pod Jego wzrokiem pełnym boskiej mądrości i miłości? — Czy wytrzymałbym, gdyby wobec mego grzechu spod cierni, serce oplatających, spadły krople krwi?

Uroczystość Intronizacji wywarła na Józefie i na całym hufcu Chrystusowym wstrząsające wrażenie. Mówi „Kronika“:

„Jak niewymownie jesteśmy szczęśliwi, że mogliśmy brać udział we wspaniałym akcie Intronizacji Najświętszego Serca w naszym domu nowicjackim. Tym bardziej, że jest to uroczystość w każdej rodzinie jedyna: nie powtarza się. Zgromadzamy się w świetlicy. Przed obrazem Najświętszego Serca pełno kwiecica, świece płoną, a z postaci Jezusa taki blask bije, że aż oczy się śmieją. A Pan Jezus zawsze wskazuje na swe serce, miłością rozpalone, jakby się zwracał do nas ze słowami, skierowanymi niegdyś do św. Małgorzaty Marii: „Obiecuję wam, że moje serce się rozprzestrzeni,

by wylać obficie zdroje łaski swej miłości na tych, którzy je czcić będą lub którzy Jej cześć szerzyć będą“.

Tak Pan Jezus zdawał się uprzedzać nasze wołania, jakie zanosiliśmy do niego „z tej biednej ziemi, z tej łez doliny“.

Odmówiliśmy wspólnie „Wierzę w Boga“, po czym, X. Rektor przemówił do nas słowami, drgającymi miłością, ku temu Sercu, które jest skarbnicą miłości. Mówił, że Serce Jezusowe to jedyny i ostateczny ratunek dla ginącego świata, że ono jedynie zdolne przepoić miłością i nawrócić do Boga ten świat rozszalały:

„O moi kochani alumni — mówił — ukochajcie to Serce Jezusowe. Ukochajcie je tak, byście się stali szaleńcami Bożej miłości. A potem jako misjonarze pójdziecie w świat do naszych biednych, opuszczonych rodaków i będziecie szturmem zdobywać dla tego serca Bożego rodzinę po rodzinie, wołając: — Oportet Illum semper apud vos regnare.

Po przemówieniu odbył się akt intronizacji. Powtarzaliśmy ustami to, co już serce dawno Jezusowi mówiło, że Jego Najświętsze Serce będzie największym skarbem naszym, naszą ucieczką i schronieniem, naszym niebem tu na ziemi, naszym wszystkim.

I wierzymy niezachwianie, że to Serce Boże nie zostanie nam dłużne, że nas obsypie skarbami Swych łask.

„O, niewysłowione szczęście zajaśniało, gdy Słowo wcielone nam swe Serce dało“, śpiewaliśmy, sławiąc ten „Cud Boskiej Miłości“ Serca Jezusowego.

Różny bywa styl i język rozmowy z Bogiem. Jest dewocja i jest potężna, poetyczna religijność. Jest bezstylowa, brzydka malowana figura gipsowa na ołtarzyku z kwiatami papierowymi i jest posąg Zbawiciela z białego marmuru, arcydzieło snycerza, wśród róż i jaśminu. Jest słodkawy, wyfiozczony, przeładowany ozdóbkami retorycznymi język modlitewników XVII i XVIII wieku, barok stylu kościelnego, nierzadko przechowany w niejednej tradycyjnej modlitwie, aż do dnia dzisiejszego i są mocne, lapidarne wersety modlitewne staro - chrześcijańskie. Jest wreszcie tak odmienny język nowoczesny rozmowy z Bogiem. Język św. Tereski od Dzieciątka Jezus....

Język Pawła Claudel'a...

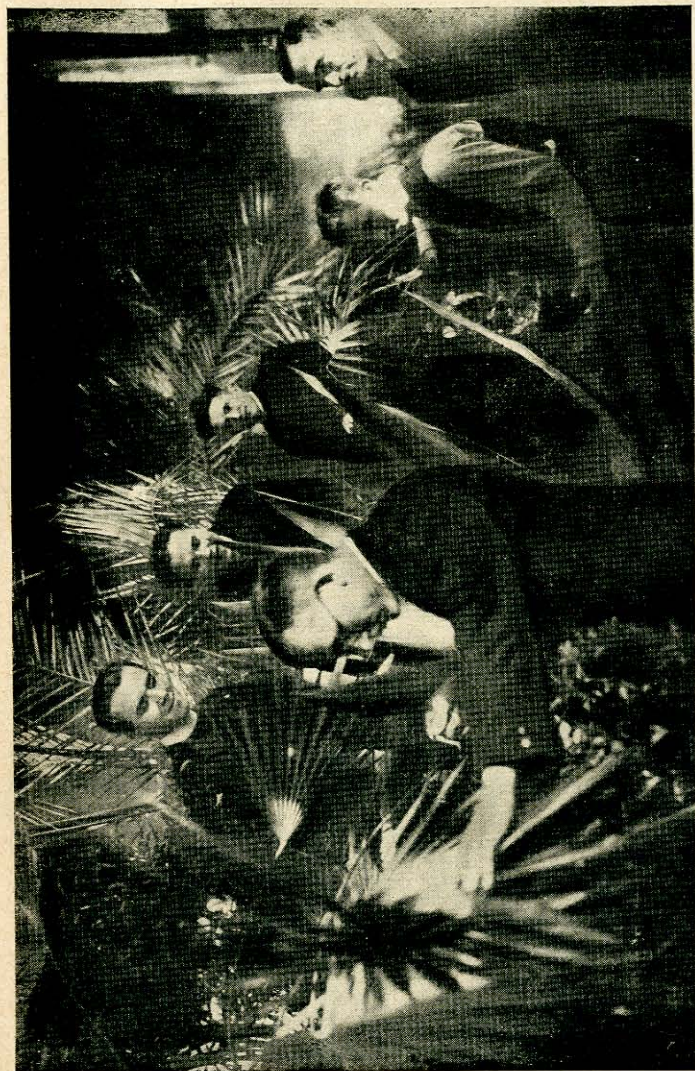
Trzeba przyznać, że mowa młodego Chrystusowca najwięcej chyba przypomina tak gorące i poetyczne suplikacje i akty adoracji św. Tereski od Dzieciątka Jezus. Mówi do Jezusa — i każde słowo jest wybuchem miłości. Kocham, kocham, rozpływam się w uwielbieniu... Padam na twarz... Sanctus, Sanctus, Sanctus...

Odtąd w pierwszym tygodniu każdego miesiąca z czwartku na piątek od 11 — 12 odprawia się

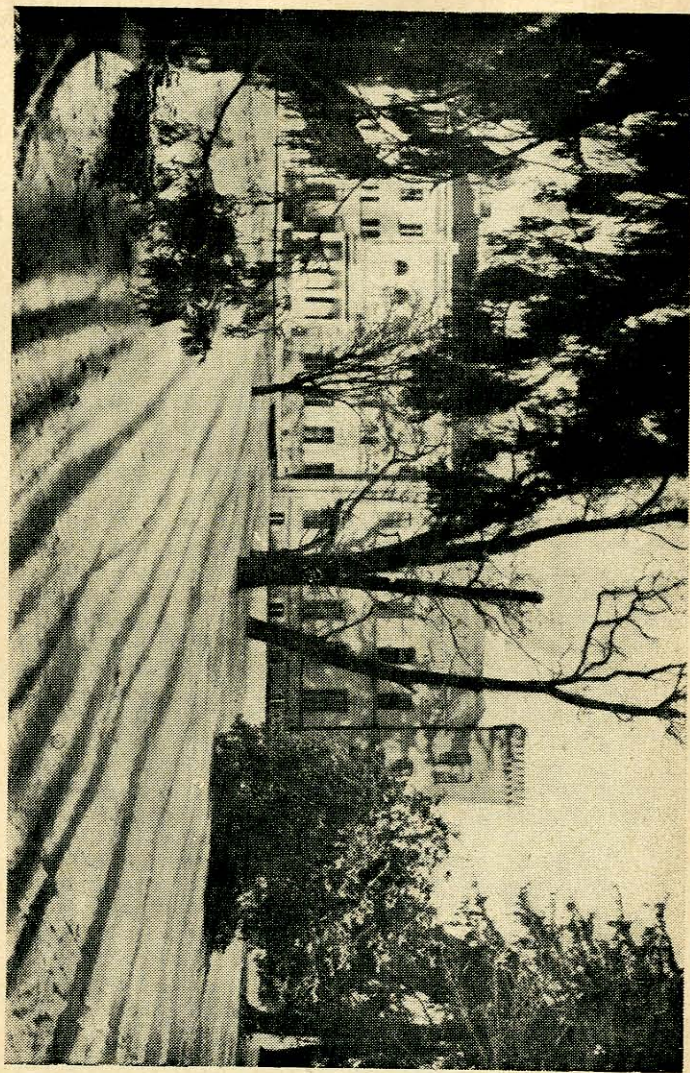
„Godzina Święta“. Nigdzie nie opisano nocnej adoracji tak przejmująco, jak uczynił to jeden z uczestników adoracji w Lille. Tam wielki działacz katolicki, twórca niezliczonej ilości dzieł katolickich, bogaty fabrykant, o którego kanonizacji się mówi, Philibert Vrau, nocną adorację uczynił podstawą, kamieniem węgielnym wszystkich swych dzieł. W zupełnej ciszy, gdy świat szaleje, oddaje się rozpuście, błądzi i rozpacza, wierni, zgromadzeni w kaplicy, przed Tabernakulum z wystawionym Najświętszym Sakramentem, modlą się bezustannie, na zmiany, przez całą noc. Chwile takiej modlitwy wśród niebywałego skupienia, wśród ciszy, u stóp Chrystusa, w czuwaniu przebłagalnym za grzechy świata wywiera na dusze potężne wrażenie i daje odczuć obecność Zbawiciela tak silnie, jak nigdy wśród nabożeństw dziennych. Adoracja staje się dla uczestników praktyką tak umiłowaną, że znano ludzi bardzo ciężko pracujących, robotników z najcięższych zawodów, którzy poświęcali sen nocny i za nic nie chcieli wyrzec się swojej kolei czuwania.

I tu na młode wrażliwe dusze Chrystusowców święta godzina nocnego czuwania wywierała potężne wrażenie. Taką godzinę wynagradzającą odprawiali też w dzień św. Sylwestra. Opisuje to „Kronika“ pod tytułem „Nasz Sylwester“ (pisał Z. Sł.):

„W ostatnią noc kończącego się roku 1932, gdy wybiła godzina 23-cia, ukłękliśmy kornie przed Ta-



Józef w palmiarni potulickiej



bernaculum, w kaplicy, żeby godziną świętą wybłagać u Boga przebaczenie za grzechy świata, pijanego i rozszalałego w tę noc karnawałową i sprzedającego dobrowolnie swe dusze szatanowi.

— Miserere nobis — śpiewamy wraz z mieszkańcami okolicznych osad, wszyscy przed Jezusem się korząc. A potem X. Rektor wygłasza słowa: „My w kaplicy dajemy Bogu chwałę, i radujemy się, a tam w świecie dzieją się zbrodnie, uprawia się rozpustę, my śpiewamy Panu, a świat — szatanowi...”

I bił zegar pół do dwunastej, i adorowaliśmy Chrystusa cicho, serdecznie. Płynęły nasze modły przed Boży tron, a potem śpiewaliśmy znowu. I prawie że zaraz radośnie wychynał Nowy Rok, w którym jeszcze większych spodziewamy się łask.

Zegar bił dwanaście razy...”

Trzeba zwrócić uwagę, że Ustawy Towarzystwa nakładają na członków szczególny obowiązek czci Najświętszego Serca Jezusowego: ust. 61 c., 64 c., mówi:

„Szczególną uwagę zwracać będą członkowie na należyte zrozumienie i pielęgnowanie nabożeństwa do Najświętszego Serca Pana Jezusa. W godzinie świętej odnowią pierwotną gorliwość, zupełną z siebie ofiarę na służbę Królestwa Chrystusowego”.

Józef Miękus miał szczególne przywiązanie do nabożeństwa do Najśw. Serca Jezusa. Nie tylko słuchał ustaw — działał tu pociąg własny. Zaraz

po ukończeniu nowicjatu kupił sobie dzieło Vermeersch'a „Nabożeństwo do Serca Pana Jezusa“. Z dziełem tym nie rozstaje się aż do końca życia. Ulubioną jego książką do rozmyślań jest O. Mateo „Jezus Król miłości“. Każdą większą pracę poświęca Sercu Jezusowemu. Z Rzymu pisze:

„Pojmuję wszystko dość łatwo, trudniej mi z przyswojeniem pamięciowym. To była zawsze moja słaba strona. Całą ufność, tak, jak w Gnieźnie, złożyliśmy w Sercu Jezusowym“.

Do pewnego zaś księdza pisze list z życzeniami „Niech Serce Boże, z którego pełności wszystkośmy otrzymali, które miłością ku nam nigdy nie przestaje pałać, złączy Cię z Sobą, drogi Księżu, udzieli Ci pełni tej miłości, która wszystko przetrwa, wszystko zniesie, nigdy nie ginie, a wszystkiego się spodziewa. Niech ci udzieli tyle łask do prowadzenia dusz ci powierzonych, aby pod Twym, „piórem“ stały się wonnym listem Chrystusowym. (św. Paweł), abyś mógł o nich powiedzieć: „Vos fratres carissimi et desideratissimi, gaudium meum et corona mea“.

Ale — „przez Maryję do Chrystusa“. Cześć Matki Boskiej, którą odznaczali się wszyscy święci, cześć „Maryi Wspomożycielki“ jest w nim żywa. I to oddawna: wszak to on modlił się chłopcem u stóp „Pani Golińskiej“, wszak to on był gorliwym sodalisem. Szuka podstawy do tej czci w do-

świadczeniach innych. Czyta w tym celu dzieła Ludwika Grignon de Montfort, zwłaszcza jego książeczkę: „Tajemnica Maryi“. Pisarz ten wskazuje drogę zjednoczenia się z Maryją: trzeba stać się jej niewolnikiem z miłości, oddać się Jej na własność, a przez Nią — Chrystusowi.

W maju 1933 roku za zgodą spowiednika poświęca się całkowicie Matce Boskiej: w tych słowach:

„Najświętsza Panno Maryjo.

W obliczu Trójcy Przenajświętszej, Twego Syna i całego dworu niebieskiego padam do Twych stóp i błagam Cię, abyś chciała być w pełnym tego słowa znaczeniu moją Matką i moją Opatrznością...

Dobrowolnie czynię Cię mą właścicielką przez wewnętrzne wyrzeczenie się na Twą korzyść wszystkiego, co mam i wszystkiego, czym jestem. Bądź dziedziczką wszystkiego, czym bym mógł rozporządzać. Jestem Twoją własnością i chcę nią być bez zastrzeżeń i nieodwołalnie.

Najświętsza Maryjo Panno, Matko Chrystusowa, Matko Kościoła, Pośredniczko powszechna wszystkich łask, poświęcam się Twemu bolesnemu i niepokalanemu Sercu i pragnę żyć i umrzeć w Twym świętym niewolnictwie miłości“.

Ustala się stosunek najintensywniejszy ze wszystkich, jakie mogą istnieć między osobowością a osobowością we wszechświecie. Józef modli się, patrząc swymi jasnymi oczami, zda się, zaglądają-

cymi za zasłonę szafirową wieczności. Chwilami wydaje się, że nie tylko rozmawia w wyobraźni, wydaje się, że zaiste widzi....

W rok później po zakończeniu wielkich rekolencji robi taką notatkę:

„Niepokalana, Matko moja, Tyś mym ideałem. Oddaję się Tobie, oddaj mnie Bogu... Maryjo uczyn mnie świętym przez miłość Serca Bożego...”

Do dziadka w imieniny pisze:

„Ja się tak zawsze cieszyłem, kiedym widział, jak odmawiałeś, dziadusi drogi, swój św. różaniec. I teraz tak się cieszę, bo jestem przekonany, że jak teraz do Matki Najświętszej się modlisz, tak kiedyś z Nią razem w niebie radować się będziesz. Ona ci kiedyś Jezusa ukaże i będziesz mógł jak św. Teresa, za łaską Bożą, zawołać w chwili najświętszej Twego życia: „Mój Jezu, już czas, byśmy się z sobą zobaczyli“.

List ten pisany jest dużymi, umyślnymi literami, żeby starzec mógł go sam odczytać (w ogóle Miękus pisze wyraźnym, drobnym maczkiem). Nie stracił on nigdy przywiązania do rodziny, koresponduje z nią, troszczy się o braci, zapytuje o nich. Stara się jednak zawsze, pisząc, poddać jakąś myśl Bożą, rzucić na rodzinę odblask własnego życia religijnego, podzielić się z nią najlepszym i najdroższym dorobkiem swego życia.

I we współbraci zakonnych starał się przełać ten swój kult, który był dla niego ogromnym przeżyciem, wartością zdobytą twórczo, przeżyta. Z listu pisanego do nich z pierwszych wakacji, spędzonych u rodziny w Golinie, zachęca braci do czci Matki Boskiej. List zaczyna od opisu kościółka w Golinie, z którym związane są jego pierwsze dziecinne adoracje:

„A kościółek nasz stareńki, mchami usrebrzony, patyną wieków poważny, boć pamięta on jeszcze Jagiełły Władysława czasy. Wokoło prastare jesiony i lipy piastowe wskroś te szelestne, wietrzne poszumy rozhower wiodą tajemny, a w letnie dni upalne chóry ptasząt przemiliwych wdzięcznie śpiewają Jezusowi Utajonemu.

Wewnątrz kościółka tajemniczy półmrok dziwnie nastroja duszę ludzką i modlić się tu można serdecznie.

A z wielkiego ołtarza lśni cudowny obraz Maryi Najświętszej, Aniołów Królowej i Matki naszej, której po Jezusie wszystko zawdzięczamy. Wszak Ona „chwałą Jeruzalem, radością naszą, przez Nią mamy Jezusa, nasze Wszystko. I cieszyć się możemy niezmiernie, że Maryja do Towarzystwa Syna swojego powołać nas raczyła, byśmy się złączyli z Chrystusem w Jego ustawicznym, Bożym postępowaniu. Maryi oddajemy wszystko, co mamy lub mieć możemy, dla grzeszników, dla dusz czyścących, dla dusz tych, które nam później powierzy“.

Z Rzymu Józef pisze: „Bezgraniczną ufność wyrażam często Matce Boskiej, gdy Ją odwiedzam w jej cudnych świątyniach“.

Dla Matki Bolesnej ma szczególną cześć: „Kto czci Matkę Bolesną — mówi krótko przed śmiercią — tego Matka Najświętsza nie opuści w godzinie śmierci“. Na kilka tygodni przed śmiercią prosi o wizerunek Matki Boskiej Bolesnej.

Pobożność Józefa nie miała jednak nigdy cech dewocji, bigoterii. To, co nazywamy w ten sposób jest pobożnością - nałogiem, zmunifikowanym powtarzaniem słów i gestów, którym nie odpowiada żadne głębsze przeżycie wewnętrzne. Józef na zewnątrz mało uwydatnia swe przeżycia intymne. Raczej ukrywa, niż wystawia na zewnątrz nastrój modlitewny. Nie ma w nim nic sztucznego. Tylko od czasu do czasu, jak świadczy o tym wspomnienie brata na str. 78 niezwykle jego skupienie i zjednoczenie z Bogiem uderzy jednego ze współbraci i da przeczucie, że przesuwają się obok niego dusza niezwykle i wybrana.

Potulicki brat

Ponieważ w młodym Zgromadzeniu brak jeszcze księży, Józef Miękus, jako szczególnie wybitny i uzdolniony ma sobie zlecone przez przełożonych wykłady dla braci-nowicjuszków. Pomaga więc urabiać ich dusze. Przemawia po prostu, z wielkim uczuciem. Wykłady te wywierają wielkie wrażenie i długo będą wspomniane.

Stosunek Józefa do braci jest pełen szacunku i bardzo przyjazny.

Kto to jest „brat potulicki?“

Brat potulicki bierze na siebie pracę Marty. Domowe prace, rzemieślnicze roboty, troskę o porządek i czystość domu, nakarmienie i przyodzianie rzeszy zakonnej. Ale jednocześnie chce on wzorem Marii posiedzieć u stóp Zbawiciela i posłuchać słów, które są jako woda: „ktoby pił z onej wody, którą ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki“.

Brat — pomocnik duszpasterza — pójdzie na wychodźstwo, będzie organistą, zakrystianem, bę-

dzie budował dom i kościół, będzie spełniał prace domowe. O ile pozwoli mu na to wykształcenie, będzie pomagał w pracy parafialnej, w katechizowaniu dzieci, w prowadzeniu szkółek parafialnych i towarzystw młodzieżowych.

Poza tym będzie współtowarzyszem doli i niedoli kapłana na obczyźnie, z dala od rodzinnej ziemi.

Zanim brat wyruszy przy boku kapłana na trudy misjonarskie, w dalekie kraje, musi się przygotować, okrzepnąć duchowo, pogłębić wewnętrznie, by potem, wśród różnorodnych warunków życia poza domem zakonnym, nie załamać się, nie wykoleić.

Dlatego gruntowne przygotowanie do życia zakonnego jest pierwszym i najważniejszym jego zadaniem. Przez pół roku jest aspirantem, sprawdzając, czy ma prawdziwe powołanie zakonne. Po szczęśliwej próbie zostaje przyjęty do nowicjatu, który normalnie trwa jeden rok. Podczas nowicjatu w ciszy i skupieniu zaprawia się do systematycznego życia wewnętrznego. Przez kilka godzin codziennie oddaje się pracy fizycznej. Jeżeli nie ma żadnego przygotowania zawodowego, uczy się jakiegoś rzemiosła z polecenia Przełożonego.

Po upływie roku, jeżeli nowicjat przebiega zadowalniająco, może złożyć pierwszą profesję zakonną. Składa ją na rok, drugą profesję składa na dwa lata. Po trzech latach, złożywszy dowody dostatecznego wyrobienia duchowego i okazaw-

szy, że będzie przynosił pożytek Zgromadzeniu, może przystąpić do ślubów wieczystych.

W domu macierzystym w Potulicach wszędzie znać pracę braci. Zajęć jest tyle, że znaczna już teraz liczba braci nie wystarcza na potrzeby domu. Mieszkają tu w osobnym domu i pracują domownicy, wykwalifikowani w różnych zawodach. Prócz tego, kilkunastu okolicznych chłopców terminuje w warsztatach Zgromadzenia. Pod opieką brata, mieszkają oni też w osobnym domku i pod doskonałym wpływem religijnym wyrabiają się na lepszych ludzi.

Może też wśród nich zaświtać niejedno powołanie...

Atrakcji w Potulicach dla tych najmłodszych ich obywateli jest dosyć. Zostało tu jeszcze z dawnego zwierzyńca Potulickich kilka saren. W klatkach dużych i wygodnych bracia hodują wiewiórkę, lisa. Założono tu hodowlę prześlicznych, białych królików angorskich, które czesze z zapalem jeden z braci, urodzony „zoolog“. Wśród grząd pomidorów kroczy poważnie miejscowy ulubieniec — bociek oswojony, który poluje raczej na smakołyki z rąk braci, niż na żaby, beczelnie rechozczące w zielonym stawie, po którym pływają białe łabędzie. Ten staw łabędzi na tle strzyżonych szpalerów — to jakby zakątek zamierchły Wersalu...

Pracują więc bracia na roli. Obszerny park ma zagony warzywne, pola kartofli i pomidorów. Są szklarnie wspaniałe — w jednej z nich zwisają już nawet zielone dotąd kiście winogron i stoją drzewka brzoskwiniowe. Są klomby i doniczki kwiatów — hodowanych ku ozdobie ołtarzy. Mały osiołek, który chadza tylko naprzód, a żadną siłą nie da się cofnąć wstecz, składając świadectwo znanej cechy swego charakteru, wozi po ścieżkach beczkę do polewania grząd i klombów.

Opodal od pałacu wznoszą się warsztaty — królestwo braci. Tylko część zajmuje tutaj redakcja, zaopatrzona w książki, obejmująca ekspedycję, wybijanie adresów specjalną maszynką, skład druków, administrację wydawnictwa. W drukarni króluje linotyp, ale obok działa jeszcze drukarnia ręczna z kasztami pełnymi czcionek. Biją tysiące egzemplarzy, rozrzucających po całej Polsce, jeszcze maszyny płaskie, ale już myśli się o rotacyjnej... Wszystkie maszyny działają tu zapędem elektrycznym.

Z drukarnią łączy się introligatornia, gdzie piętrzą się w ostatecznym wykończeniu stopy książek do nabożeństwa, nowe wydania poczytnych opowiadań z pielgrzymich dróg X. Posadzego, broszury treści religijnej, powieści, czasopisma Seminarium...

Przechodzimy do warsztatu mechanicznego. Tu także działa zapęd elektryczny i może dlatego jest tu tak przyjemnie i czysto? Nie, jest ta czystość,

ten ład, ta estetyka, posunięta możliwie najdalej nawet przy najbrudniejszych robotach cechą domów i zakładów zakonnych. Czystość i schludność dokoła wnosi poczucie schludności wewnętrznej, harmonii, które powinny cechować człowieka uduchowionego.

W pracowni krawieckiej szyją sutanny dla kleryków i księży, których Pan Bóg, łaskawy dla Seminarium, coraz więcej posyła, szczękają nożyczki, pracownia czyściutka i elegancka (i tu — żelazka elektryczne! Nic dziwnego: Potulice zbudowały własną elektrownię). Warsztat szewski i stolarski...

I jeszcze: nowo założona hodowla drobiu, niezgorza pasieka, projektowany staw rybny... Tymczasem ryby poławia się w Bydgoskim Kanale za parkiem.

Tam też wypasają się własne krowiny. Potulickie państwo stara się o samowystarczalność i o nauczanie swych członków najrozmaitszych umiejętności. Wszakże zdarzyć się może, że będą na dalekich terenach osadniczych uczyli tego wszystkiego wychodźców naszych.

Mistrze gimnastyki, asy siatkówki, potuliccy szybkobiegacze, narciarze, kolarze mają jeszcze jedno wspaniałe zajęcie letnie. Mają własną flotyllę, port stoczną na Kanale Bydgoskim. Na brzegu geometrycznie wykreślonego, równo i drobno sfalowanego kanału, z którego widać w oddali łożysko Prawisły, stoi szopa — skład kajaków.

Ustawione są tam równo i porządkie statki „Parana“, „Iguassu“ „Misiones“ i jak tam się nazywają jednostki sportowe tej wyborowej flotyli, skonstruowanej własnoręcznie. Na brzegu wywrócony dnem do góry leży jeden kajak i specjalista - brat zasmarowuje w nim szpary smołą. Jest nawet kapitan przystani, czuwający nie tylko nad należytych ordynkiem flotyli, lecz i nad tym, by się bracia nie potopili.

Kiedys klerycy i może niektórzy bracia będą organizatorami grup młodzieży zagranicą. Na tych najbardziej zależy w akcji, powstrzymującej nasze wychodźstwo od wynarodowienia. Zrozumiało to nie tylko Seminarium Zagraniczne: Opieka nad Wychodźcami i Światowy Związek Polaków Zagranicą również zwracają wielką uwagę na młodzież. Przyszli organizatorzy muszą poznać zasady harcerstwa — niejednokrotnie księża są w nim wybitnymi kierownikami. Znajomość sportu także będzie miała dla nich nieraz wielkie znaczenie. Toteż hufiec potulicki zapróbował nawet campingu: nad polskim morzem, oraz na Podkarpaciu.

Klerycy wraz z braćmi obozują pod namiotami na wrzosowisku, rozesłanym nad Bałtykiem, oraz u stóp turni tatrzańskich.

Wreszcie już sformowanych, zrośniętych z Towarzystwem, mocnych w sobie żołnierzyków Chry-

stusowych można wypuścić w świat. Pojechali już niektórzy na obczyznę — do Paryża, do Estonii. Inni mają zadania w Polsce.

Są to bracia - kolporterzy. Jeżdżą po całej Polsce z grubymi teczkami, pełnymi książek z tłoczni potulickiej — tak po 15 kilo na jedną porcję. Chodzi się z tym ładunkiem od domu do domu. Nie jest to zawsze przyjemne. Nieraz spotyka biednego kolportera szydlerczy docinek lub oburkliwe przyjęcie innowiercy, sekciarza, bezbożnika lub po prostu letniego katolika, nie odznaczającego się dobrym wychowaniem i życzliwością dla świata. Bracia - kolporterzy nie upadają na duchu. Wszak przyświeca im idea, którą rozumieją, którą przejęli się do głębi:

APOSTOLSTWO DOBREJ KSIĄŻKI.

Do rodzin, w których chodzi się na złe sztuki i filmy, do dancingów, złych towarzystw, gdzie króluje zasada użycia, do rodzin, albo obojętnych, albo mało uświadomionych co do prawdziwych zasad życia, przynosi skromny brat potulicki z wiarą i miłym swym uśmiechem książkę, uczącą o Chrystusie.

Nawet w domach, ugrzęzłych w codzienności, nie podnoszących nigdy głowy ku niebu, ukazanie się człowieka Bożego — księdza, brata - zakonnika — wywiera zawsze wrażenie. Brat potulicki umie przemawiać do ludzi. Kiedy mu odpowiadają o-
pryskliwie:

— Nie trzeba, mam dosyć książek.

Zapytuje łagodnie:

— A zasług dla nieba czy ma pan dosyć?

Brat - kolporter opowiada:

— Najgorsze to chodzić po lotniskach, gdzie ludzie odpoczywają. Nie wiadomo, kiedy do nich trafić. Czy kiedy są w pokojach — to wtedy odpoczywają. Czy kiedy przy obiedzie — to wtedy nie wypada przeszkadzać. Czy kiedy idą na zabawę albo na przechadzkę — to wtedy im o czymś poważnym nie chce się myśleć.

— To cóż się robi? Nie idzie się wcale?

— To właśnie tam wszędzie się idzie.

Logika kolporterska. Często idąca wbrew rzeczywistości — ku sukcesowi. Ale droga ta nie jest łatwa. Nieraz ludzie, którzy z ochotą wpuszczają do domu domokrażcę, proponującego towar na raty albo ajenta od electrolux'u oburzają się, że im się proponuje książkę katolicką. Taka propozycja jest jak pukanie do zaleniwiałego sumienia, które nie chce się poruszyć, ożyć, zacząć działać.

Brat - kolporter widzi ludzi, dużo ludzi. Pamięta zawsze, że reprezentuje Zgromadzenie i stara się je godnie reprezentować. Bywają ciężkie chwile zmęczenia, niepowodzenia, przygnębienia na widok zła, które się spotyka, a które rani czyste dusze braci. Jeżeli jednak zapytać brata - kolportera:

— Jakich ludzi jest więcej na świecie, sądząc z doświadczeń brata — dobrych czy złych?

Brat - kolporter odpowiada:

— O, ludzi dobrych jest daleko, daleko więcej na świecie, niż złych.

Nie zabijcie tej wiary w prawej duszy brata - kolportera, kiedy może bardzo strudzony, może zraniony po drodze przez niedobrego człowieka stanie na waszym progu, ożywiony wielką myślą:

APOSTOLSTWA DOBREJ KSIĄŻKI.

Zmiana nazwy i Ustawy Towarzystwa

Wieść radosna i upragniona: Seminarium Zagraniczne, najmłodsze Zgromadzenie w Kościele, otrzymuje nazwę kanoniczną.

Wśród różnych nazw, które podsuwano, nazwa „Congregatio Christi Profugi” — „Zgromadzenie Chrystusa — Uchodźcy” zaczęła się już powoli przyjmować. X. Kardynał Prymas przedstawia tę nazwę Ojcu św. do ostatecznego rozstrzygnięcia. Wszak z nakazu Ojca św. powstało to dzieło. Wszak sam je nazwał „dziełem opatrnościowym i dlatego sercu jego tak bardzo bliskim”. Niechże sam nazwę ustali.

W maju 1933 roku w prywatnym gabinecie Ojca św. Piusa XI toczy się następująca rozmowa:

— „Zgromadzeniem Chrystusa Uchodźcy” chce nazwać Eminencja to nowe dzieło wychodźcze?

— Tak, proszę Waszej Świątobliwości.

Chwila namysłu... A potem stanowcze, natężeniem Bożym podyktowane słowa:

— Societas Christi pro Emigrantibus — oto ostateczna nazwa.

Tak zatem „Towarzystwem Chrystusowym dla Wychodźców” mianuje sam Namiestnik Chrystusa nowe Zgromadzenie.

W Potulicach wielka radość: — Mamy urzędową nazwę, sam Namiestnik Chrystusa nam ją nadał.

A w „Głosie Seminarium Zagranicznego” ukazuje się płomienny artykuł tej treści:

„Towarzystwem Chrystusowym dla Wychodźców sam Namiestnik Chrystusowy nas mianował.

Oto nazwa nasza kanoniczna, wewnętrzna. „Seminarium Zagraniczne” — to nazwa zewnętrzna, która nadal pozostanie.

Z Woli Bożej stanęliśmy pod Chrystusowym sztandarem. Ch r y s t u s o w c a m i j e s t e ś m y. Chrystus na ustach naszych. Chrystus w czynach naszych... Chrystusowy sztandar wśród nas, a przed nami daleki, wychodźczy szlak, polski brat wychodźca, spragniony Boga i Polski. Nasz sztandar będzie mu zbawieniem.

Ch r y s t u s o w y s z t a n d a r n a d n a m i, a w duszach naszych tysiące ogni, płonących nadzieją, a w sercach naszych promień miłości Boga i polskiej braci wychodźczej.

Pod Chrystusowym sztandarem korna drużyna
o piersiach krzemiennych i duszach stalowych
z Chrystusem pójdzie na święty, zwycięski bój!

Gdzie burza, która by zdołała wstrzymać nasze
kroki?

Gdzież chmura, która zdoła zgasić święty żar
miłości i wiary?

Gdzież wołanie zdradliwe, które by nas oderwać
mogło od wielkich haseł i świętej sprawy?

Orłem, sokołem, ogniem i słońcem z Chrystu-
sem w jasne idziemy światy — z hasłem naszym na
ustach:

Wszystko dla Boga i polskiej rzeszy wychodź-
czej“.

Chrystusowcy modlą się bez przerwy, odprawia-
ją nowennę po nowennie, do Ducha św., by udzie-
lił Dostojnemu Założycielowi światła i pomocy
nadprzyrodzonej do napisania ustaw Zgromadze-
nia. X. Kardynał - Prymas, zajęty bardzo rządami
swej archidiecezji nie może znaleźć odpowiednio-
go czasu na tę poważną pracę. Wreszcie pod ko-
niec września 1933 roku wyjeżdża do Krynicy, by
pracować nad nimi wśród pięknych gór, wspiera-
ny modlitwami Chrystusowców w Potulicach.

Do Potulic przychodzą pierwsze dwa arkusze
„Ustaw“. Wielka radość wśród nowicjusów...

— A więc mamy nasze Ustawy. Mamy już za-
sadniczy dokument ducha Towarzystwa i swój ko-
deks życiowy.

W czasie wielkich rekolekcji przed pierwszymi
ślubami nowicjusze zabierają się do ich odczyty-
wania, wraz z Przełożonym. Mogą one zastąpić
najpiękniejsze nauki rekolekcyjne, tak piękne są
w swej krótkości, zwięzłości, a zarazem tak mocne
i żołnierskie, jak rozkazy wodza do swych pułków.

W pierwszym zaraz rozdziale zakreślony jest cel
„Towarzystwa Chrystusowego dla Wychodźców“:

1. Zasadniczym celem Towarzystwa Chrystusowego dla
Wychodźców jest uświęcenie się jego członków przez usil-
ne pielęgnowanie życia nadprzyrodzonego, przez wierne
zachowywanie ślubów, przez praktykę cnót zwłaszcza za-
konnych oraz przez niepodzielne oddanie się na służbę
bożą w duchu Towarzystwa.

2. Wewnętrznym zadaniem Towarzystwa jest apostoł-
stwo na rzecz rodaków za granicami Państwa, a więc
przede wszystkim wszelka działalność duszpasterska i re-
ligijna wśród nich, a w miarę potrzeby — i możliwości, także
społeczna i kulturalna opieka nad nimi.

3. Poza tym będą członkowie Towarzystwa słowem
i piórem szerzyli wszędzie znajomość Mszy św. w tym
celu, by wierni, przejęci znaczeniem i wielkością Naj-
świętszej Ofiary, uczestniczyli w niej możliwie codzien-
nie z największą korzyścią.

4. Aby się nie sprzeniewierzać posłannictwu, do któ-
rego Opatrzność głosem Ojca św. Piusa XI powołała no-
we Towarzystwo, bez wyraźnego zlecenia Stolicy Apo-
stolskiej nie będzie się ono podejmowało żadnych innych
zadań, a natomiast skieruje wszelkie energie i wysiłki
ku misji wychodźczej, którą członkowie będą pojmowali,
jako swoje szczytne powołanie oraz jako drogę swego
uświęcenia i zbawienia wiecznego.

73. Klerycy przykładać się będą do studiów sumiennie i z świętym zapałem, nie tracąc nigdy z oczu ideałów swego powołania i pracując ustawicznie nad swoim wewnętrznym wyrobieniem.

W drugiej części Ustaw określa X. Prymas, jaka ma być organizacja Towarzystwa.

Ze szczególnym szacunkiem i czcią mają się członkowie odnosić do Papieża, jako najwyższego zwierzchnika:

87. Członkowie Towarzystwa podlegać będą Papieżowi, jako swemu najwyższemu zwierzchnikowi i będą wiernie wykonywali Jego zarządzenia także na mocy ślubu posłuszeństwa, odnosząc się do osoby Namiestnika Chrystusowego w duchu wiary z najgłębszą czcią, z synowską miłością i bezwzględny oddaniem.

91. Pod względem zarządu wewnętrznego sprawuje najwyższą władzę nad całym Towarzystwem Przełożony Naczelny, któremu przydana jest Rada Naczelna, złożona z czterech członków.

92. Towarzystwo podzielone zostanie na Okręgi (provincje), obejmujące jeden lub więcej krajów. Okręgiem zarządza Przełożony Okręgowy przy pomocy Rady Okręgowej, złożonej z dwu członków.

93. Na czele poszczególnego domu stoi Przełożony Domowy.

Najwyższą władzą kolegiąlną jest Kapituła Generalna, zwoływana normalnie co sześć lat.

Bardzo silnie podkreślony jest w kilku miejscach duch ofiary:

„Członkowie będą wyjeżdżali na placówki zagraniczne w duchu zupełnej ofiary ze siebie i bez myśli powrotu do kraju“ (p. 180).

Z wielką natomiast miłością i serdecznością ma się odnosić Matka-Towarzystwo do członków starych pracą lub chorych:

182. Gdyby członek, będący na placówce zagranicznej, doszedł do przekonania, że jego zdrowie, nadwyrężone pracą, lub klimatem, wymaga zmiany miejsca lub powrotu do kraju, przedłoży sprawę Przełożonemu Okręgowemu, który prześle ją ze swymi uwagami Przełożonemu Naczelnemu do decyzji.

183. Członkowie odwołani z pracy zagranicznej przyjęci zostaną w domach krajowych z miłością braterską. Przełożony Naczelny zajmie ich pracami, do których będą zdolni.

184. O chorych członków zatroszczy się Towarzystwo chętnie i starannie w granicach swych środków.

185. Członkowie wycofani z pracy z powodu choroby lub wieku ofiarowywać będą swe cierpienia i pacierze za powodzenie Towarzystwa, spełniając aż do końca życia apostołstwo ofiary i modlitwy.

Razem z Ustawami przyszedł dekret X. Kardynała-Prymasa, zatwierdzający te Ustawy. Oto dosłowne jego brzmienie:

„Jako Ordinarius loci domu macierzystego „Towarzystwa Chrystusowego dla Wychodźców“, które powstało w Potulicach, jako kongregacja na prawach diecezjalnych, zatwierdzam niniejszym Ustawy tego Zgromadzenia w tekście, dołączonym do niniejszego dekretu.

Zarazem przesyłam nowemu Zgromadzeniu czułe błogosławieństwo z tym życzeniem, by jego członkowie, zachowując ściśle przepisy tych ustaw i strzegąc ducha swej

gromadki rodzinnej, rośli ustawicznie w miłości Boga i chlubnie spełnili swoje górne postannictwo.

Krynica, w Uroczystość Matki Boskiej Różańcowej.

Dn. 7 października 1933 roku

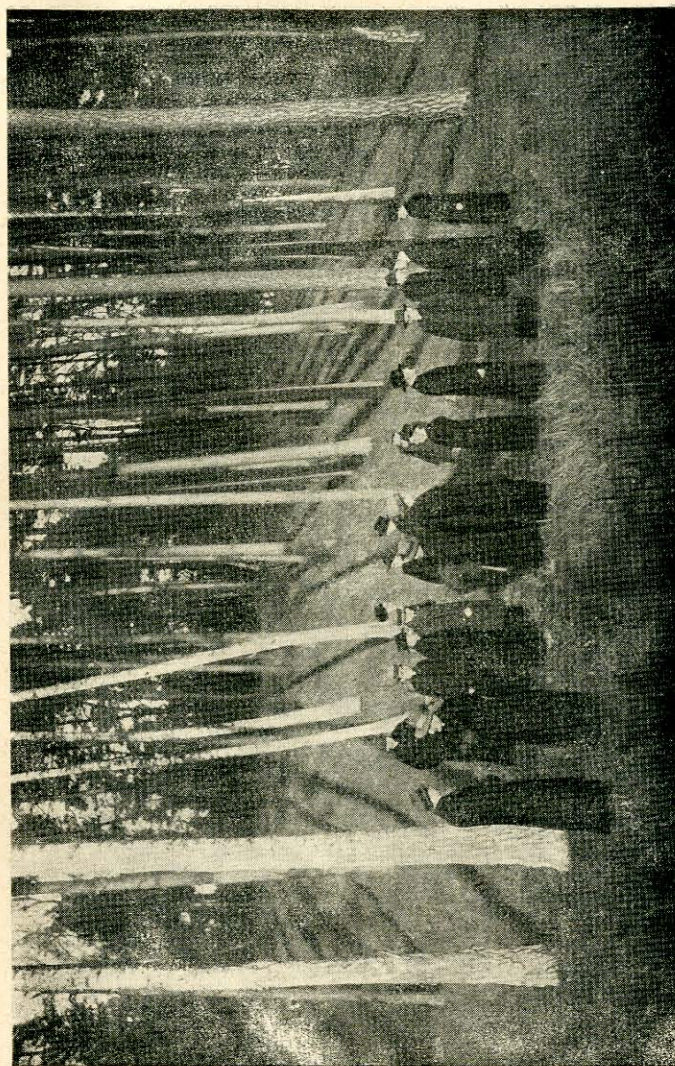
† August kard. Hlond

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański,
Prymas Polski.

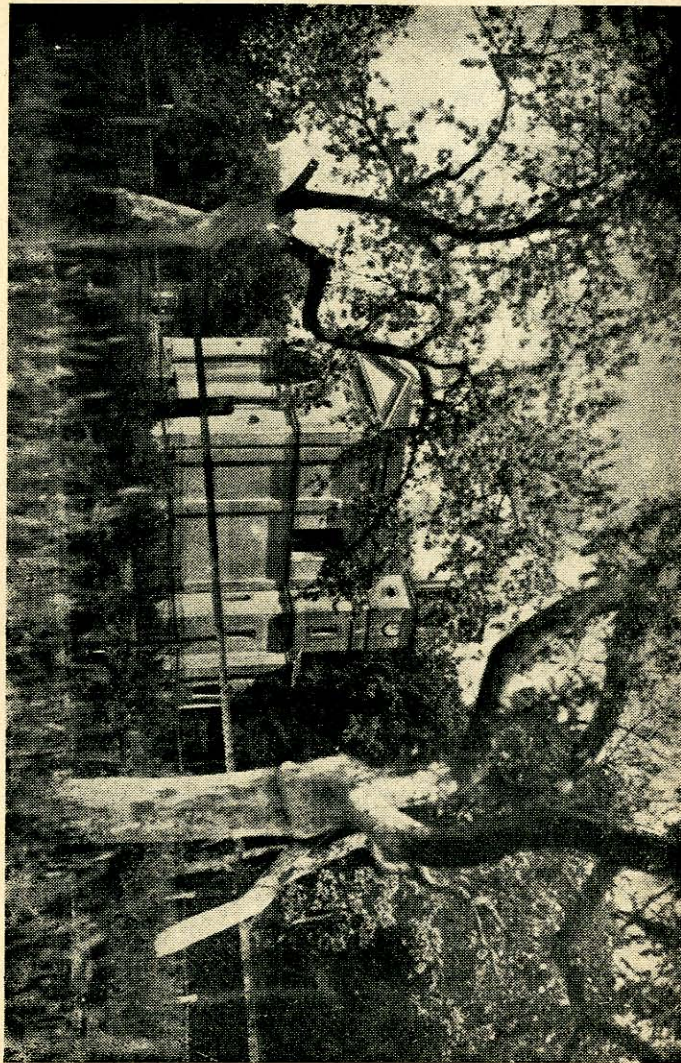
Wszyscy nowicjusze, przygotowujący się do ślubów, studiują z zapalem Ustawy. Józef wsłuchuje się również w poszczególne punkty, które Przełożony odczytuje i objaśnia. Szczególniej porusza go punkt, dotyczący ofiary. Pali się w nim nieugasający płomień ofiary — wieczna lampa przed ołtarza w mrokach świątyni... Dusza wrażliwa na światło, reagująca na każdy prąd piękna duchowego otwiera się ku niemu, rozkwita w szczęśliwej egzaltacji, w wyczuciu łaski nadprzyrodzonej.

Że te Ustawy, które słusznie przyrównano do rozkazów żołnierskich, mocno uderzyły w Józefa i objęły jego duszę we władanie, dowodem tego przywiązanie jego do nich. Przez resztę życia nie rozstawał się z nimi, zgłębiając je coraz lepiej, wypełniając je coraz bogatszą treścią przeżyć intymnych.

Są z nim do ostatka. Umiera z Ustawami w ręku na wzór św. Stanisława Kostki.



Pierwsza wiosna w ustroniu potulickim



Życie z Kościołem

Ustawy nakładają na Towarzystwo Chrystusowe dla Wychodźców jeszcze jedno zadanie prócz pracy nad wychodźstwem. Mówi o nim punkt 3 rozdziału I „Ustaw”.

„...członkowie Towarzystwa słowem i piórem będą szerzyli wszędzie znajomość Mszy św. w tym celu, by wierni, przejęci znaczeniem i wielkością Najświętszej Ofiary, uczestniczyli w niej możliwie codziennie i z największą korzyścią”.

Jest to więc uczestnictwo w wielkim ruchu liturgicznym, który stanowi tak charakterystyczne znamię współczesnego, potężniejącego katolicyzmu.

Ustało się tak przez wieki, że wierni, nie rozumiejąc liturgii łacińskiej, zapomnieli łączność z nią i zrozumienie dla Najświętszej Ofiary. Dawniej Msza św. była nabożeństwem o charakterze zbiorowym. Responsoria odbrzmiewały nie tylko z ust ministrantów, lecz z ust całego zgromadzenia wiernych.

Ten charakter wspólnej ofiary i modlitwy ztracił się coraz bardziej w miarę rozwoju w społeczeństwach indywidualizmu, w miarę tego, jak

modlitwa i praktyka religijna nabierała charakteru coraz to bardziej prywatnego. Jeszcze więcej tego charakteru zbiorowości zostało na wsi, gdzie lud podczas Mszy św. śpiewa pieśni religijne. Ale ten śpiew, nie zawsze dopasowany do momentów liturgii, jeszcze bardziej podkreśla rozbieżność między nimi, a modlitwą każdego wiernego z osobna.

Spoić, zlać gromadę wiernych w jedno z liturgią, nauczyć modlić się razem z kapłanem-ofiarnikiem jej słowami, słowami pełnymi dostających soków, destylowanych powoli, przez wieki, zawierających znaczenia i coraz odmienne przeżycia epok... zmieszczony jest w liturgii cały, rozwijający się z dnia na dzień żywot Chrystusa, zawarte jest wszystko życie człowieka w jego najwyższym dążeniu eschatologicznym... Wszystko, cokolwiek ludziom potrzebne w życiu doczesnym i w życiu wiecznym — wszystko jest w niej wypowiedziane. Przesuwanie się w zmiennym korowodzie roku kościelnego coraz innych lekcji i ewangelii, przesuwanie się coraz innych świętych Kościoła w westchnieniach modlitewnych antyfon, w Oratio, Secreta i Postcommunio wprowadza dziwny dynamizm do służby Bożej. Ten, kto zaczyna służyć Bogu liturgicznie, przeżywa codziennie od nowa kosmiczny dramat Odkupienia, idąc wszystkimi jego stacjami aż do Zmartwychwstania, przez rozgłosne Alleluja w dniach radości Kościoła, przez coraz inne prefacje, przez akcenty smutku w dniach pasyjnych.

X. Kard. Pacelli na Międzynarodowym Kongresie Eucharystycznym w Budapeszcie powiedział: „Chrystus wciąż jeszcze żyje wśród nas, przeżywając nieustannie ziemski swój żywot od Betlejem do Golgoty, który powtarza się w Eucharystii aż do wypełnienia wieków. Jest to, być może, źródłem boleści dla serca chrześcijańskiego, nie może być jednak przyczyną jego upadku. Bo gdzież się podzieli Herod i Piłat, Dioklecjan i Juliusz Apostata? Zwycięzcy, jak mówi św. Ambroży, stali się prześladowani, pokonanymi ich prześladowcy“.

Rozproszkowanie społeczeństw pod twardym naciskiem absolutnej władzy państwowej zabiło momenty zbiorowe w ich życiu. Znalazło to wyraz w szeregu objawów. Np. dopiero z chwilą obudzenia się życia zbiorowego społeczeństw rozwija się muzyka symfoniczna. Tak samo rozproszkowane było życie parafii. Bractwa różańcowe i inne organizacje religijne wegetowały, pozbawione wszelkiej twórczości i dynamizmu religijnego. Prądy ówczesne sprzyjają oddawaniu się nastrojom indywidualnym, pławieniu się w estetycznej kontemplacji, w której bliźni w Kościele są przeszkodą. Msza św. jest tylko akompaniamentem dla modlitw, zanoszonych całkowicie na marginesie Mszy św. lub innego nabożeństwa w kościele, zwłaszcza, jeżeli w modnym kościele dla pięknoduchów odbywa się piękny koncert, przerywany modlitwami kapłana.

Już Pius X napominał, żebyśmy podczas Mszy św. Mszę odmawiali, a na różaniec jest jeszcze dosyć innych sposobności.

Świadomy udział w liturgii — udział nie tylko ludzi kulturalnych, „smakoszków“ estetycznych form kultu katolickiego, entuzjastów jego arcyzmu i głębi duchowej, lecz warstw jak najszerzych — oto jedno z haseł wielkiego odrodzenia katolickiego naszych czasów.

W przededniu naszej epoki wierni w swym oderwaniu od życia parafii, od złączenia się ze „zgrupowaniem wiernych“ położyli nacisk nie tylko na jednostkowe uczestniczenie w Sakramentach, na życie łaski oddzielnej duszy, lecz i na ten rodzaj modlitwy, który jest prośbą — praktycznym nabożeństwem o uzyskanie dóbr ziemskich i wiecznych. Wyższym zaś rodzajem modlitwy (piękną są rozważania na ten temat o. Jacka Woronickiego, dominikanina) jest oddawanie czci Bogu, śpiewanie nieustannego „Hosanna Panu na wysokościach“. Z tych dwóch zatem strumieni — prośby i adoracji — ten drugi przez rozsypanie się zgromadzenia wiernych wysechł prawie zupełnie. Nieznanym dla wiernych, z wyjątkiem stowarzyszeń religijnych, odmawiających Officium, stało się nabożeństwo staro-chrześcijańskie, wyśpiewywanie lub odmawianie Laudes'ów i t. d. w oznaczonych godzinach dnia, na Prymę, Tertię i t. d. A adoracja — chwała bezinteresowna — wyższym jest rodzajem modlitwy.

Uczestniczenie w roku kościelnym, w rytmie jego wciąż zmiennych liturgii, niesłuchanie przybliża do Chrystusa, każe od nowa przeżywać Jego życie, w którym jest nadprzyrodzona łaska i moc. Mówiono „Sentire cum Ecclesia“, teraz owo Piusowskie hasło powinno się przekształcić na „Vivere cum Ecclesia“. Ruch liturgiczny wyrabia nowy i dodatni typ wiernych.

Nowoczesny ruch liturgiczny zainicjowały takie ogniska liturgiczne znane od dawna, jak opactwo Solesmes, opactwo Beuron. Opactwo benedyktynów francuskich Solesmes niedawno obchodziło stulecie swego wskrzeszenia. Założone w roku 1010 zniesione w czasach rewolucji francuskiej w 1791 roku, przywrócone zostało do życia przez o. Prospera Guéranger. Był on nie tylko odnowicielem zakonu benedyktyńskiego, we Francji, lecz i inicjatorem francuskiego ruchu liturgicznego. Szczególnie zasłużyło się opactwo przez wprowadzenie pierwotnego chorału gregoriańskiego. Główne dzieło Dom Guéranger'a, piętnastotomowy „Rok Liturgiczny“ wydają teraz w polskim przekładzie XX. Świetlicki i Nowacki.

Na odrodzenie malarstwa religijnego zwrócił uwagę inny ośrodek ruchu liturgicznego — opactwo w Beuron, gdzie odbywa się praca bardzo doniosła dla całego Kościoła.

W Austrii takim ośrodkiem po wojnie stała się kolegiata Klosterneuburg. Tam powstało to, co możemy nazwać „ludowym apostołstwem litur-

gicznym". Rozpoczął ten ruch o. Pius Parsch, który po wojnie założył tam kółko liturgiczne. Będąc podczas wojny w Kijowie, jako kapelan wojskowy, poszedł raz na nabożeństwo grecko-katolickie wraz z innym księdzem. Wyszedłszy z cerkwi, obaj przyznali, że nie rozumieli z nabożeństwa. Nasunęło to o. Parschowi myśl, że w tym samym położeniu jest lud katolicki w większości krajów, z wyjątkiem romańskich. Uczestniczy w nabożeństwie, którego nie rozumie. Należy więc wprowadzić lud w zrozumienie liturgii.

Niebawem w innych stronach Austrii, zwłaszcza wśród akademików powstały kółka liturgiczne. Idea ta przyjęła się przede wszystkim wśród inteligencji. Ale chodziło o to, by przejęły się nią i warstwy ludowe. W dzień Wniebowstąpienia 1922 roku odprawiona została po raz pierwszy Msza recytowana. Ruch liturgiczny ludowy rozszedł się przez Austrię i Niemcy do innych krajów.

Koło liturgiczne w Klosterneuburg powiększało się. O. Parsch dbał o to, by nie tylko gmina liturgiczna brała udział w nabożeństwach, w Mszach śpiewanych i recytowanych, lecz całe swe życie przepełnia duchem liturgicznym, duchem służby Bożej we wszystkich godzinach dnia.

Ruchowi temu oczywiście musiała służyć prasa. Trzeba było przede wszystkim wydać tłumaczenie modlitw łacińskich dla ludu. Zaczęto od kilku liturgicznych nabożeństw, potem wydano obszerniej-

sze pisma o Mszy św. i brewiarzu. Organem „ludowego apostołstwa liturgicznego“ stało się czasopismo „Biblia i Liturgia“, wychodzące w Klosterneuburgu. W 1927 roku rozpoczęto drukowanie tekstów mszalnych, które z początku wychodziły w kilku tysiącach egzemplarzy, potem nakład podniósł się do 100.000 sztuk tygodniowo. Apostolstwo to zajęło się szerzeniem znajomości wśród wiernych dawnych tradycyjnych zwyczajów katolickich, ludowej pieśni kościelnej i misterii.

Ruch ten rozwija się także i u nas w Polsce. Msze recytowano zbiorowo po raz pierwszy zdaje się, na zjazdach organizacji akademickiej „Odrodzenie“. Ośrodkiem dzieł eucharystycznych Warszawy staje się kościół PP. Sakramentek (benedyktynów od Nieustającej Adoracji) w Warszawie.

O p u s D e i czyli modlitwa chórowa jest centrum życia benedyktyńskiego. W kościele rozbrzmiewa śpiew gregoriański podług najczystszej tradycji solesmeńskiej.

Zywy jest też ruch liturgiczny przy kościele św. Marcina w Poznaniu. Na początku listopada 1936 roku utworzyło się tam kółko liturgiczne, któremu przewodniczy X. prof. dr Śpikowski. W każdy czwartek odbywa się zebranie, na którym członkowie ćwiczą się we wspólnej recytacji modlitw mszalnych. Poza tym X. Przewodniczący objaśnia

stopniowo części Mszy św. i uroczystości roku kościelnego.

W każdą niedzielę i święto o godz. 7.30 odprawia się liturgiczna Msza św. ludowa.

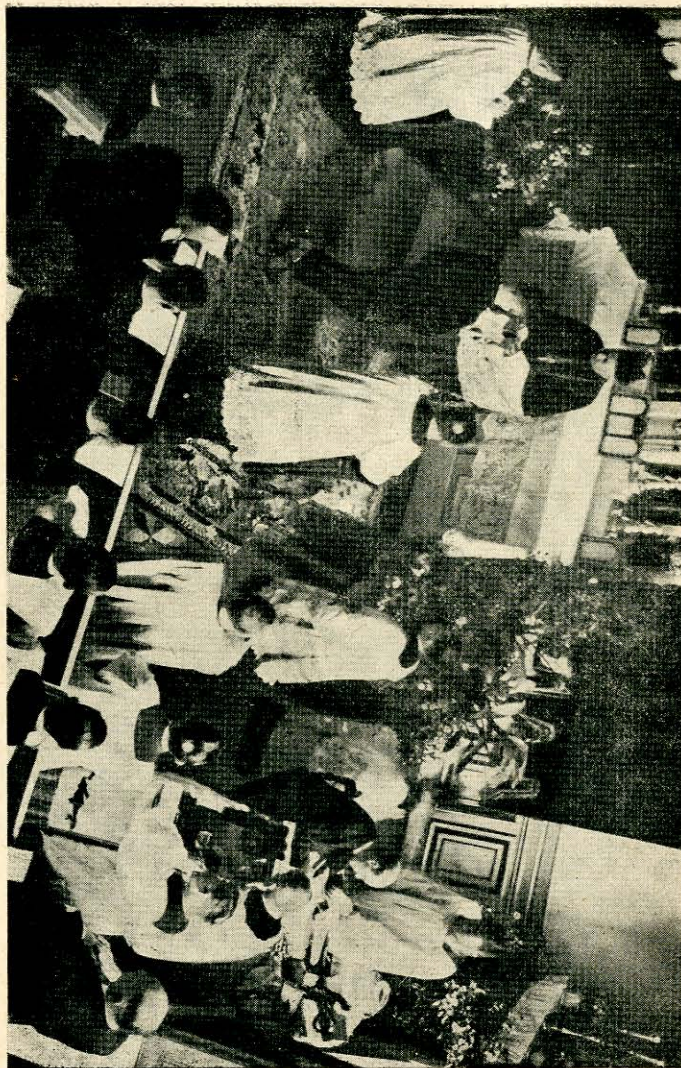
Dużo jest zapewne poczyniń i w innych ośrodkach ruchu liturgicznego, które jeszcze nie zostały zarejestrowane. Ruch liturgiczny u nas jest na najlepszej drodze, gdyż rozwija się doskonale ruch wydawniczy. Mamy już liczne wydawnictwa mszałów, jak poznańskiego, lwowskiego, X. Kordela, belgijskiego i Mszy recytowanej z Katowic.

Brak tym wydawnictwom centralnego kierownictwa i z tego powodu teksty tłómaczone zawierają dużo odrębności. Musieliśmy zrobić to samo doświadczenie, co Niemcy: że jak jeden jest tekst łaciński, tak jeden powinien być tekst polski. I to jest jednym z najważniejszych zadań na dziś naszego ruchu liturgicznego.

Obok coraz czynniejszego współuczestnictwa wiernych we Mszy św., ruch liturgiczny pobudza do badań historycznych nad liturgiką, do badania i ożywiania religijnych obyczajów ludowych, do ożywienia muzyki kościelnej, głównie śpiewu gregoriańskiego i malarstwa religijnego. Główne ośrodki liturgiczne w Europie podejmują i te zadania: Beuron na polu malarstwa, Solesmes na polu muzyki i t. d. I u nas zwłaszcza malarstwu w związku z liturgią i życiem Kościoła poświęcono już niejedną pracę. Zamiłowanie liturgii pociąga za sobą chęć uczynienia służby Bożej jak najwspa-



W dniu imienin J. Em. X. Prymasa — Dostojnego Złożyciela



nialszą, przyozdobienia świątyni Pańskich, udoskonalenia śpiewu i muzyki, by pięknymi były obrzędy, wysławiające chwałę Bożą.

Mamy już wybitnych pisarzy liturgicznych. Naczelny Instytut Akcji Katolickiej w Poznaniu wydaje czasopismo liturgiczne „Mysterium Christi“, stojące na wysokim poziomie i odpowiadające wymagom inteligencji. Tak samo kwartalnik „Verbum“ od początku roku 1936 umieszcza w każdym numerze teksty liturgiczne po łacinie i w przekładzie Leopolda Staffa, propagując przełamanie indywidualistycznego, społecznego stosunku do wiary. Muzyce kościelnej służy dwumiesięcznik „Hosanna“, poświęcając dużo miejsca śpiewowi gregoriańskiemu. Wreszcie dla dzieci wydaje się czasopismo „Hostia“, służące Krucjacie Eucharystycznej, ale szerzące też i wśród dzieci ruch liturgiczny, jak czynią to w Austrii wydawnictwa liturgiczne dla dzieci (Der kleine Sakramentsbote i in.).

Nie było dotąd czasopisma, które by służyło temu, co nazywamy „ludowym apostołstwem liturgicznym“. Trzeba nauczyć najszersze rzesze wiernych modlić się podczas Mszy św. nie z różańcem w ręku, ani też z książki do nabożeństwa, tak że lud swoje, a ksiądz swoje, lecz współuczestniczyć we Mszy św. z mszałem w ręku, albo też śpiewać pewne partie Mszy św. i odzywać się w responso-

riach. Wierni w kościele stają się ministrantami, jak to było w pierwszych czasach chrześcijaństwa, kiedy np. niektóre responsoria wygłaszali, wchodząc na stopnie ołtarza, skąd nazwa *g r a d u a ł u*.

Takim czasopismem liturgicznym dla szerokich warstw, w myśl włożonego na Zgromadzenie przez Ustawy zadania, stał się miesięcznik „*Msza święta*“, wydawany w Potulicach. Gustowna szata zewnętrzna, dobre komentarze do tekstów liturgicznych, język przystępny — wszystko to złożyło się na niebywałe powodzenie czasopisma. W chwili obecnej nakład „*Mszy świętej*“ wynosi 80.000 egzemplarzy.

Czasopismem pomocniczym stało się także drugie wydawnictwo, przejęte od oo. Redemptorystów, założycieli „*Koła Czcicieli Świętych Polskich*“ w Warszawie, w którym wielkie zasługi dla czci Świętych Polskich położyli oo. Piotrowski i Świętek. Ponieważ Święci i Błogosławieni mają własne liturgie, w częściach zmiennych do ich czci dostosowane, przeto zaznajamianie się z żywotami świętych i z liturgią, którą Kościół ich uwielbia, ściślej jednocząc wiernych z życiem Kościoła, jeszcze bardziej ożywia życie duchowe i kult katolicki.

W Potulicach, Poznaniu i Gnieźnie, w domach zakonnych Zgromadzenia *Msza św.* jest zbiorowo recytowana lub śpiewana. W tym celu wszyscy członkowie Towarzystwa zaopatrzeni są w *Mszały* — w przekładzie polskim. Poza tym kładzie się

silny nacisk na śpiew liturgiczny oraz na zrozumienie wszelkich obrzędów kościelnych i przejawów życia liturgicznego. Przez wprowadzenie zbiorowego odmawiania liturgii, przez swe wydawnictwa spełnią one tym samym również i zadanie „*ludowego apostołstwa liturgicznego*“.

Pracując wydatnie nadal nad pogłębieniem pierwiastka liturgicznego, Potulice stać się mogą w przyszłości jednym z ośrodków ruchu liturgicznego w Polsce.

Ruch ten, oczywiście, zaniesiony będzie przez księży Seminarium Zagranicznego na obczyznę, między naszych uchodźców.

Tak wprowadza się w czyn zasadę nie tylko „*Czuć z Kościołem*“, (*Sentire cum Ecclesia*), lecz i „*Żyć z Kościołem*“ (*Vivere cum Ecclesia*).

Za nasze i wasze zbawienie!

W nr. 4. z roku 1935 „Głosu Seminarium Zagranicznego” zastanawia nas artykuł p. t. „Sfinks rosyjski”.

Artykuł ten, powołując się na nowsze publikacje o Rosji Sowieckiej, zwłaszcza na pracę Mgr. d'Herbigny o Włodzimierzu Sołowjewie p. t. „Rosyjski Newman” zastanawia się nad przyszłością religijną Rosji, w której istnieje w chwili obecnej z jednej strony — bezbożniczy materializm, z drugiej — kościół katakumbowy. Sołowjew, jeden z najwybitniejszych filozofów Rosji, przepowiadał unię kościoła prawosławnego z Rzymem:

„Jeżeli Rosja nadal będzie pozostawała w oderwaniu od Rzymu — pisał — to wybierze śmierć, nie żywot, przekleństwo, nie błogosławieństwo.

Kapłani rosyjscy, wygnańcy-katolicy, wierzą, że z męczeńskiej krwi wierzących, wymordowanych przez bolszewików, powstanie wielkie odrodzenie religijne Rosji.

Ostatnie wiadomości stamtąd zdają się stwierdzać te przeczucia: cerkwie w Rosji są coraz bardziej przepełnione pomimo prześladowań, pomimo

represji, którymi grozi otwarte wypowiedzenie się za Chrystusem. Przeciwno procesjom posyłają żołnierzy: ale ci spuszczaają karabiny i często sami przyłączają się do procesji.

Przyjdzie dzień, kiedy obecny system zupełnie się załamie, kiedy Rosja uzyska swobodę życia duchowego i wtedy stanie otworem dla reszty świata i będzie olbrzymim terenem misyjnym. Jest tam bardzo dużo Polaków-katolików, rozproszonych po całej olbrzymiej Rosji, od granic polskich do Oceanu Spokojnego przy wybrzeżach Syberii. X. Prał. Około-Kułak wydał w swoim czasie książkę, opisującą wpływ kulturalny i religijny tych rzesz polskich w Rosji, potomków zesłańców politycznych na Syberii.

O nich będzie chodziło w chwili, gdy otworzą się bramy rosyjskiego wielkiego więzienia, powszechnej katorgi ludów. Ale będzie chodziło i o coś innego:

O zjednoczenie Rosjan z Rzymem, o przyłączenie tego ogromnego narodu do Kościoła Powszechnego, aby stał się „Jeden Pasterz i jedna owczarnia”.

Kto ma podjąć to zadanie? Komu ono przypadnie w udziale?

Ojciec św. przeznacza to zadanie głównie Polakom. Wśród tych Polaków obok starych zasłużonych rodzin zakonnych stanąć ma między innymi młodziutka rodzina potulicka. Kiedy inne zakony nawracać będą Rosjan na obrządek wschodni, To-

warzystwo Chrystusowe z woli Ojca św. przyjmować będzie schizmatyczną brać tylko w obrządku łacińskim.

Choć głównym zadaniem Towarzystwa Chrystusowego pozostanie praca wśród Polonii Zagranicznej, to jednak spora nadwyżka spełnić będzie mogła swoje zadanie duszpasterskie na ziemiach wielkiej Rosji.

Przejmuje ono pracę, przewidzianą na przyszłość dla Instytutu Misyjnego w Lublinie, wybudowanego przez X. Metropolitę Roppa. Tam przygotowywano przyszłych misjonarzy dla Rosji lecz w obrządku łacińskim. Ale doświadczenie wykazało, że Zakon lepiej takiemu zadaniu podoła, niż księża świeccy, toteż Instytut ten w 1934 roku zlikwidowano.

Pamiętamy z czasów powstań polskich, z czasów niewoli, jak Polacy walczyli w całej Europie wszędzie, gdzie się bito o wolność: w Italii, dążąc do niepodległości, na Węgrzech, we Francji... Na sztandarach swych niepodległościowcy polscy umieścili hasło:

— Za waszą i naszą wolność.

Wychodzili oni z tego założenia, że w chwili zapanowania powszechnej wolności politycznej i zrzucenia wszelkiego ucisku, także i narodowościowego, w chwili zatriumfowania hasła wolno-

ściowych w powszechnej rodzinie narodów będzie wolną także i Polska.

Była w tym i inna myśl, którą najlepiej wyrazili Mickiewicz i Krasiński: Polska w duchu ofiary miała wyzwolić i odkupić inne narody.

Była to myśl wysoka, wzorowana na Chrystusowej idei ofiary, rozszerzonej z życia jednostki na życie narodów. Myśl mesjaniczna, która przyświecała też i Zakonowi oo. Zmartwychwstańców. Zakon ten, założony za czasów Mickiewicza na emigracji zastanawiał się głęboko nad przyczyną nieszczęść narodowych, nad przyczyną niewoli. Sprowadziły ją na pewno grzechy nasze. A więc pokuta i odrodzenie się duchowe muszą przywołać wolność. Do tej pokuty, do tego odrodzenia nawoływali płomienni kaznodzieje oo. Zmartwychwstańców w Rzymie, o. Semeneńko, o. Kajsiwicz, o. Jełowicki i inni.

Polska odrodzona i wyzwolona powinna pomyśleć o szerzeniu idei Chrystusowej, o zbawieniu innych narodów.

Na sztandarze jej w czasach niewoli było hasło: „Za naszą i waszą wolność“. Teraz naród odradzający się pod sztandarem Chrystusa wypisze na nim:

„Za wasze i nasze zbawienie“.

Ta idea mesjaniczna, to wzięcie na siebie odpowiedzialności za inne narody skierowane jest przede wszystkim do naszych braci — schizmaty-

10*

ków pod dachem Rzeczypospolitej, a następnie do najbliższej naszych granic Rosji.

Kiedys wzięliśmy od nich krzyż męki, mieliśmy go narzucony po niewolnie, krzyż straszliwie ciężki.

A za to teraz mamy im oddać krzyż zbawienia.

Najbliżsi ich granic, najlepiej ich, niestety, znamy... Czyż przez lat wiele nie deptali nas dumną stopą, nie wznosili rozkładu i upodlenia? Czy na przemian nie panoszyli się i nie deptali po nas, by znów w chwili niepoczytalnej hysterii kajać się ze swych grzechów i pijacko oplakiwać podłość własną i upadek?

Znamy ich dobrze, wiemy, że są wśród nich szatańskie potwory i gołębie serca. Wiemy, że potrafiały z zimną krwią mordować i że potrafią pluć nienawistną pogardą. Ale wiemy też, że i w nich jest wielka tęsknota Chrystusowa, że nawet tarzając się w błocie — tęsknią do odkupienia. Wieki walki o panowanie nad leżącą pośrodku Rosją i Białorusią stworzyły uprzedzenie i niechęć do „łacinników“.

Ale okropne przejścia dziejowe nieszczęśliwego zaiste narodu obudzić w nim mogą zrozumienie potrzeby zjednoczenia wszystkich narodów w jednym Kościele Bożym. Wszak już przed wojną jeździli oo. Jezuici (o. Urban, o. Wierciński) do Rosji. Były tam nawrócenia, istniała kaplica dla Rosjan-katolików, w Moskwie było koło katolików, grupujące się dokoła milionera Abrikosowa, znanego ze swych dzieł charytatywnych.

Teraz, z chwilą otwarcia Rosji światu, będą mogły tam pójść gromady misjonarzy, ratować dusze polskie, zbawiać dusze Rosjan, oddawać im za krzyż męki — krzyż zbawienia. Będzie to najwznioślejsza odpłata dziejowa (la revanche), jakże nie podobna do odpłaty za Sedan, do planowanej zawzięcie i nienawistnie odpłaty hitlerowskiej za Wersal...

Wydaje się to niemożliwym dla tych, którzy z jednej strony znają wielkie przywiązanie do stanu istniejącego w cerkwi części prawosławnych, z drugiej — znają zupełny rozkład duchowy społeczeństwa rosyjskiego zarówno w Rosji, jak na emigracji. Ale Rosjanie lepiej znają swoich i nie tracą co do nich nadziei. Leonidas Fiodorow, niedawno zmarły na wygnaniu egzarcha Rosjan - katolików, pisze:

„Któż to wie, co kryją dla świata przepastne głębie rosyjskiego sfinksa? Bolszewizm — to nawóz. To było potrzebne, aby poruszyć nieurodzajną glebę caratu. Ale gdy ten nawóz zwietrzeje, na niwach męczeńskiej Rosji wyrosną najpiękniejsze kwiaty ducha. Te zastępy wiernych, gotowe na wszystko, oparte o świeży posiew męczeńskiej krwi, staną się kadrą przyszłej odrodzonej Rosji“.

Taką misję podejmie częściowo Seminarium Zagraniczne. Praca to będzie ciężka, misja będzie

olbrzymia i wymagająca niezwyklej miłości chrześcijańskiej. Zbawiać z początku jednostki, potem nieść prawdę w kręgi świata i zbawiać całe narody...

Wielka idea mesjaniczna, o której śnili nasi wiśszcze, którą zrozumiał Zakon oo. Zmartwychwstańców w czasach niewoli, ma również przyświecać młodemu Zakonowi.

Z młodej podchorążówki Chrystusowej będą wychodzili zahartowani żołnierze, gotowi na trudy, dorośli do męczeństwa.

Była chwila, kiedy Olgierd i jego synowie, chcieli podbić całe państwo wielkich kniaziów moskiewskich. Przekazali myśl ostatecznego uporania się z Rosją, jej podboju królom polskim. Trwały przez wieki gigantyczne zapasy. Rok 1612 zastał Polaków na Kremlu w Moskwie. Rok 1794 zastał Moskali w Warszawie.

Teraz przyjdą czasy braterstwa ludów. Zjednoczą się wszystkie narody we wspólnym Kościele. Na czele pójdzie biały Pasterz Narodów — Namiestnik Chrystusa. Powiedzie świat ku odrodzeniu, ku Królestwu Bożemu na ziemi...

Zawiazek więc realizacji tej wielkiej idei spoczywa z woli Namiestnika Chrystusa w młodym Zgromadzeniu.

Nawrócić Rosję... Chrystusem zjednoczyć świat...

Za wasze i nasze zbawienie!

Pierwsze śluby zakonne

Nadchodzi 16 października 1933 roku. Dzień szczególnie uroczysty dla Towarzystwa Chrystusowego. Przełożony i 15 kleryków - nowicjuszków stają przed ołtarzem, by złożyć pierwsze śluby zakonne: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Pierwsze śluby, pierwsza profesja w młodziutkim Zgromadzeniu!

X. Prymas docenia doniosłość tej chwili i pomimo niezdrówia, sam na tę uroczystość przybywa z Krynicy. Przybywa, by odebrać pierwsze śluby.

Pierwszy hufiec staje przed ołtarzem wraz ze swym Przełożonym.

Józef Miękus jest wraz z nimi.

Brzmi potężny hymn: „Veni Creator Spiritus”. Józef wsłuchuje się w szept własnej duszy...

Nie, nie ma w nim wahania, nie ma żadnej wątpliwości.

Potężne tchnienie Ducha Św. porwało go i nie sie, czuje w ustach kamień ognisty — naznaczo-

ne są do głoszenia prawdy. Przed nim lądy i morza, miliony dusz do zdobycia — ileż potrafi wyratować, wziąć ślaniające się i osłabłe w źle na skrzydła i unieść za sobą? Przypływ siły nadprzyrodzonej... Czuje się biały, bezcielesny, lekki... Seraficzne skrzydła chwiewają się nad nim. Słodczy łaski, wdzięczność dla Oblubieńca, który oto nadchodzi, zalewa serce.

X. Kardynał - Prymas zasiada na tronie. Następuje obrzęd profesji:

Prymas przemawia donośnym głosem:

— Synowie moi, jakież pragnienie sprowadza was przed ten ołtarz Boży?

Nowicjusze: Stajemy tu z gorącym pragnieniem oddania się na służbę Bożą przez złożenie ślubów zakonnych w Towarzystwie Chrystusowym dla Wychodźców.

X. Prymas: Czy znacie zadania, ducha i ustawy tegoż Towarzystwa?

Nowicjusze: W czasie nowicjatu poznaliśmy piękne posłannictwo Towarzystwa Chrystusowego i staraliśmy się ułożyć życie swoje w jego duchu i zgodnie z jego wewnętrznymi prawami.

X. Prymas: Czy rozumiecie znaczenie ślubów zakonnych i obowiązki, jakie one w tym Towarzystwie nakładają?

Nowicjusze: Zdaje nam się, że pojęliśmy te święte i wielkie zobowiązania, które przyjmujemy

na siebie wobec Boga, Kościoła i Towarzystwa, składając profesję zakonną w tym drogim nam Towarzystwie.

X. Prymas: Czy czynicie ten krok zupełnie świadomie i dobrowolnie?

Nowicjusze: Uświadamiamy, sobie tak nam się zdaje, całą powagę i doniosłość profesji zakonnej i wszystkie jej dla dusz naszych następstwa. A stajemy tu nieprzymuszeni, bo posłuszni jedynie wezwaniu Chrystusa — Uchodźcy, który nas niegodnych powołać raczył do swojej królewskiej służby.

X. Prymas: A jak pojmujecie tę służbę Chrystusową, której się pragniecie poświęcić?

Nowicjusze: Służbę Chrystusową pojmujemy jako służbę miłości i ofiary. W miłości Boga pragniemy znaleźć uświęcenie naszych dusz grzesznych, a w ofiarnej pracy dla wychodźstwa chcemy strawić siły i życie. Wyrzekamy się wszystkiego, co jest dostatkiem, wygodą, szczęściem ziemskim, samowolą, pychą i grzechem. Wsparci łaską Bożą i opieką Matki Najświętszej chętnie idziemy na trud i poświęcenie, na posłuszeństwo radosne i pełne, na ofiarę każdą, byle świętą Wolę Bożą spełnić, byle w Bożym powołaniu wytrwać, byle się w życiu zakonnym uświęcić a Boskiemu Odkupicielowi najwięcej dusz pozyskać.

X. Prymas: Niech te wasze dobre chęci Bóg przyjmie. Niech was do tajemnic swego Boskiego Serca dopuści i niech wam w swym miłosierdziu udzieli łaski wytrwania w tym, co mu tak uroczystym aktem ślubujecie.

Padnijcie na kolana! Za wami świat, przed wami wyzyny świętości i apostołski trud. Nad wami Bóg i Matka Najświętsza. Tam daleko miliony dusz, którym ofiara wasza stanie się zbawieniem. A około was to Towarzystwo, które was, jako synów wita i do serca tuli. W jego duchu i wedle Ustaw jego złożcie Najwyższemu święte śluby swoje; ubóstwa, czystości i posłuszeństwa.

Po tej przemowie wszyscy podchodzą kolejno do ołtarza i wymawiają samą formułę profesji. Przystępuje najprzód Przełożony, za nim nowicjusze. Przed ołtarzem klęka też i Józef i głosem pewnym i zdecydowanym ślubuje na ręce X. Kardynała - Prymasa w tych słowach:

„W imię Trójcy Przenajświętszej, Ojca, Syna i Ducha Św. — Ja, Józef Miękus, poznawszy Ustawy, ducha i zadania Towarzystwa Chrystusowego dla Wychodźców, stoję przed Tobą, wieczny i miłosierny Boże, a poświęcając się dobrowolnie na szczytną służbę Twojego Królestwa prawdy, pokoju i zbawienia, składam w tymże Towarzystwie na przeciąg jednego roku ślub ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. To swoje serdeczne ślubowanie zakonne składam w ręce Jego Eminencji X. Kardynała - Prymasa, Ordynariusza Domu Głównego Towarzystwa Chrystusowego dla Wychodźców, postanawiając

szczerze, że przy pomocy łaski Bożej i pod opieką Matki Najświętszej żyć będę duchem tegoż Towarzystwa i zgodnie z jego Ustawami. Amen“.

Odchodzi i własnoręcznym podpisem przy ołtarzu potwierdza to, co wypowiedział przed chwilą.

Ofiara Bogu złożona. Przyjął ją Bóg i zapisał w księdze żywota.

Gdy wszyscy złożyli profesję, X. Kardynał powstał i na zakończenie przemówił w te słowa:

„Z radością i w pokorze dochowujcie Bogu tych swoich wielkich obietnic. Nie odmawiajcie Bogu żadnej ofiary. A On w duszach waszych działać będzie cuda swego miłosierdzia i swej łaski.

Sprawa Boża niech będzie odtąd sprawą waszą. Świętość i pożytek Towarzystwa niech będzie waszą synowską troską. Całe życie wasze niech się zamieni na hymn pochwalny, wyśpiewany na cześć Króla Wieków“

Śluby złożone z pełnią świadomości, z pełnym zdecydowaniem dają mu chwilę nieziemskiej radości. Składa śluby czasowe, gdyż tak wymaga ją Ustawy. Dla niego nie ma powrotu do świata: on już w tej chwili mógłby złożyć śluby wieczyste, wiedząc, że tego nigdy nie pożałuje.

Bo wszak tych uciech ziemskich, które niby pozostawiał poza sobą, nigdy nie znał i nigdy do nich go nie ciągnęło. Mógł w świecie uczęszczać na zabawy, oddawać się rozrywkom. Ale nigdy nie można było go wyciągnąć ani na wesele lub inną

uroczystość u sąsiadów, ani na tańce. Gdy go pro-
szono pójść na wesele bliskich krewnych odpowie-
dział: — Lepiej pójść do kościoła pomodlić się za
nich, więcej z tego będzie dla nich pożytku.

Rodzina, wracając, z zabawy, zastawała go przy
książce.

Nie nęcił go ten świat. Czuł: „Do wyższych rze-
czy jestem stworzony“. I teraz był tam, gdzie daw-
no pragnął pozostać: był u stóp Chrystusa.

W cieniu Bazyliki Gnieźnieńskiej

Nazajutrz po ślubach udaje się Józef i dwuna-
stu innych kleryków do Gniezna, na studia filozo-
ficzne. Mieszkają we własnym „Domu Studiów
Filozoficznych“, na wykłady zaś chodzą do miej-
scowego Seminarium Duchownego.

Józef tak opisuje swe wrażenia po przyjeździe
do Gniezna:

„Nazajutrz wyjeżdżamy do Gniezna. Pięknie
się złożyło, że właśnie w uroczystość św. Małgo-
rzaty Marii, ucennicy Serca Bożego, rozpoczyna-
my nowe życie w cieniu Wojciechowej Bazyliki.

Pierwsze swe kroki kierujemy do kaplicy do-
mowej. Tam Jezus, On, dobry, nas oczekuje. Po-
nawiamy swoje ofiary. Z ołtarza patronuje św.
Józef, wzór pracy cichej, ofiarnej, miłością prze-
promienionej. W tym zacisznym przybytku Bożym
Serce Jezusa będzie nam mistrzem i kierownikiem,
Maryja Niepokalana — najczulszą Matką.

Wykłady. Z zapalem zanurzamy się w pracę
umysłową. Pragniemy ukształcić swoje umysły,

poznać niedościgłe skarby wiary naszej świętej, by po należytym przygotowaniu duszy i umysłu walczyć do ostatniego tchu w obronie Chrystusa - Króla. Znając zaś „supereminentem scientiae caritatem Christi“ — jak bardzo miłość Chrystusowa przewyższa wszelką wiedzę, przez światło nauki pójdziemy do Chrystusa, by Jego miłość była najwyższą naszą mistrzynią.

Otoczenie pełne szacownych pamiątek, tajemniczym mrokiem legend spowite, gwarzy nam, że tu drzewiej Polski kołyska stała. Dostojna Bazylika króluje na wzgórzu. Wnętrze jej powagą tchnące i majestatem to historia kilku wieków w rzeźby i pomniki zaklęta. Srebrna trumna na środku Bazyliki kryje święte szczątki apostoła Prusaków. Tu w niedzielę bije pod strop pieśń „Bogurodzica“. A z wyniosłych wież Bazyliki „Wojciech“ przed każdym słońca zachodem śle swe królewskie, spiżowe tony, bijąc na cześć tych, co hen, na kresowych rubieżach za Wiarę padli i za Ojczyznę.

Tak niedawno tu przybyliśmy, a już stugębna wieść niestworzone rzeczy o nas głosi. Bo oto — o dziwy! — jakieś mnichy — niby my — średniowieczne przywędrowały, co to w sandałkach chodzą, do siebie — a coś dopiero do drugich — żadnego słowa nie przemówią. A że tu ludzie bujną mają wyobraźnię, to i nas wysokim murem ogrodzili, że zgoła z poza niego już i świata nie widać. I dopiero kochani biedacy całymi hufcami nas odwiedzający z radością stwierdzają, że z ni-

mi rozmawiamy nader serdecznie. O tak, staramy się do nich zbliżyć jak najbardziej, pocieszyć ich, o ile w naszej mocy. Cóżbyśmy dali, gdyby Bóstwo Chrystusa, w nich utajone, a tak często brudem świata przykryte, mogło zabłysnąć na nowo. Bo biedni oni bardzo.

Tak więc modlitwa i praca, apostołstwo wśród naszych ubogich, dużo radości i pogody ducha — to obraz naszego życia w lechowym grodzie. Pragniemy gorąco pracować dla Chrystusa. „Nad wszelki mozół wznioślejszy jest trud w Imię Jezusa podjęty“.

Powtarza tę myśl wielokrotnie, widać było to dla niego ciągłym, głębokim przeżyciem. Tę samą strzelistość uczucia nowicjackiego, całkowicie pogrążonego w Bogu, wyraża w liście do braci w Potulicach:

„Spodobało się Woli Bożej rozdzielić naszą rodzinę na trzy części. By jednak nie zatracić ducha łączności, by owa serdeczna jedność braterska, tak sławiona przez Apostoła Narodów, zawsze w nas trwała, kreślimy do was parę serdecznych słów. Piszemy z radością, bo wiemy, że miło wam będzie dowiedzieć się, co też porabiają ci bracia, którzy z wami przez rok cały dzielili słodki Chrystusa trud.

Pragnęlibyśmy jednak wpierw podziękować wam jak najserdeczniej za modły żarliwe i serdeczne, zanoszone w naszej intencji przed Boży tron. One to niezawodnie sprawiają, że dusze na

sze tak radosne, że rozkoszą nam jest praca, podjęta dla Chrystusa. W miarę swej nieudolności staramy się również Wam odwzajemnić się tym, co nam wspólnie najdroższe — modlitwą codzienną, pokorną, w Waszej intencji zanoszoną.

Praca nasza właściwie co do swej istoty się nie zmieniła. Nadal naszym pierwszym celem jest uświęcanie swej własnej duszy, co się praktycznie wyraża w coraz większym umiłowaniu Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Wy, Drodzy Bracia, jesteście bez porównania w lepszym położeniu. Program nowicjatu względnie aspirandatu jest tak ułożony, że każda czynność bezpośrednio do Chrystusa się zwraca. Tu już inaczej sprawa się przedstawia. Gdy przyjdziecie do Gniezna, spotkacie na wstępie dostojną bardzo Panią — Filozofię. Dowiedziecie się, że to królowa w dziedzinie nauk przyrodzonych, inni znów dorzucają, że to jedno wielkie nieszczęście, co tylko dużo kłopotu sprawia i w niejednej głowie zdolna cały porządek przewrócić. O tym wszystkim szeroko będą wam mówić, a już mniej, o, bez porównania mniej usłyszycie wykładów ascetycznych, o miłości Boga, których obecnie Wam nie brak. Więc szczęśliwi jesteście.

Ale trzeba zawsze pamiętać, że w Potulicach zakłada się mocny, rzetelny fundament. Buduje się go powoli, ale zawsze trzeba uważać, i całą sprawę porządnie w garści trzymać. A gdybyście się tak zapytali, co by się tak szczególnie przydało na ca-

osobiste, aby każdy w tym Zgromadzeniu spełniał swe zadania. Dlatego módlcie się gorąco, abyście pojęli swe powołanie.

Każde Zgromadzenie w swoich początkach przeżywa okres pierwszych bohaterskich zapalów. W tych czasach rodzą się męczennicy idei. Pierwsze lata to okres najobfitszych łask Bożych. Wy korzystacie z tych łask. Następne pokolenia już tych łask w takiej obfitości nie zaznają. Starajcie się je zużytkować i uświęcić się. Jesteście nadzieją Kościoła, emigracji i całego Narodu. Gdybyście zawiedli pokładane nadzieję, byłaby dziejowa kompromitacja, trudna do naprawy

Ilekcroć jestem u Ojca św., zawsze pyta mnie, o wasze Towarzystwo, o jego rozwój liczebny, o jego wartości i rozpęd duchowy. Trzeba zatem twardo stanąć pośród rozłogów duszy własnej, z całą powagą myślącego człowieka rozejrzeć się wokoło, a potem orać i siejść duchowną uprawiać, boć dżdżu łaski, tej niebiańskiej rosy — wam nie brak. Chrystus nowych wciąż synów wybiera i śle w tę potulicką stronę, a oni silni, tędy świętą żądzą dokonać muszą wielkich przemian ku własnemu szczęściu i drugim, tych, co na tej obcej glebie tułaczy trawi los.

Trzeba, byście wyrosli na dzielny, nieugięty huf, bo czeka was nie pasmo ułudnych miraży, ale trud żołnierki świętej, ofiarnej wojaczki, tej, która wachania nie dopuszcza.

Ofiara. Jeśli tę zrozumieliście, zrozumieliście cel naszej Golgoty, ku której wiedzie was dłoń Opatrzności na skonanie i moment Zmartwychwstania. Potem padnie rozkaz i wichrem, polecicie na posterunki męczeństwa, na placówki zwycięstwa. A potem znów rozkaz — i raport przed Chrystusem w wieczności — raport pokory i chwały“.

Słowa X. Prymasa rozdmuchują w pożogę zawsze płonący zapal Józefa. Tym bardziej, że na wychodźstwie dzieje się coraz gorzej. Nadchodzą wiadomości coraz bardziej alarmujące. Przycho-
dzą listy coraz bardziej nalegające:

Pisze Franciszek Kluch, nauczyciel szkoły polskiej w Erechim, w Brazylii:

„...Jest nas tu około 30.000 Polaków rozsianych na przestrzeni kilkunastu tysięcy kilometrów, a nie mamy prawie żadnego księdza, dobrze władającego językiem polskim i rozumiejącego potrzeby i zamięłowania duszy polskiej. Toteż nic dziwnego, że gdy przed dwoma laty przyjechało tu z Polski czy też z Ameryki Północnej kilku oszustów-sekciarzy, którzy się mienią być „księżmi“ polskiego kościoła narodowego, a znających doskonale duszę naszego kolonisty, i umiejących do niego przemówić w polski, swoisty sposób, że pozyskali sobie wielu zwolenników.

Pragnieniem naszym jest prosić o jakiego godnego duszpasterza Polaka i z Polski.

Żywimy niezłomną nadzieję, że Seminarium Za-
graniczne, przygotowujące kapłanów dla pracy
wśród wychodźców obdarzy nas tym niewysłowio-
nym szczęściem, jakim jest kapłan-rodak na ob-
czyźnie“.

Jeszcze groźniejsze wiadomości nadchodzą z
Francji: (Lyon, kwiecień 1938):

„...często trzeba być świadkiem wielkiego zobo-
jętnienia rzesz polskich pracujących w kopalniach,
a nawet wrogiego odnoszenia się do religii i Kościo-
ła. Może to duch zły czasu walki bolszewizmu
z tym, co Boże i co żyje z ducha, który musi zwy-
cieżyć. Widziałem człowieka, co przez 12 lat był
prześladowany, wyszydzany, kilka razy zбитy
i opluwany przez swych kolegów-robotników za
to, że chodzi do kościoła w niedzielę“.

Odzywa się rozpaczliwie Kurytyba — Cresciu-
ma:

„Ja niżej podpisany ośmielam się po raz wtóry
prosić Waszą Wielbność o radę i pomoc w spra-
wie księdza-rodaka.

Proszę Wielbnego Księdza na miłość Boską
przysłać nam księdza rodaka i jeżeli to możliwe
jak najprędzej, jeszczeby się dało dużo uratować.

Jest nas w Kokalu i Cresciumie 185 rodzin pol-
skich i w pobliskiej Grão Para rachują na jakie
200 rodzin i na Pinheirinho około 30 rodzin.

Nie koniecznie musiałby być proboszczem,
niechby był podwładny albo księdzu w Kokalu
lub Cresciumie albo żeby mógł mieszkać na Bap-

tyście lub nawet Kokalu lub Cresciumie, ale ażeby tylko przyjechał, to resztę się zrobi. Zaznaczam, że nie ja sam, lecz większość prosi o księdza“.

Żałosny nieskończenie jest list z kolonii „Orzeł Biały“ w Brazylii:

„My należymy do parafii św. Mateusza. Gdzie ten św. Mateusz, to nawet nie wiemy, podobno za siedem dni zaszedłby człowiek leśnymi ścieżkami. Tam jest dwóch księży świeckich, proboszcz i wikary, którzy to mają do obsługi może ze sto kaplic i raz do roku objeżdżają je. I my tu pobudowaliśmy sobie kościółek — choć jeszcze nieskończony, ale jak ów ksiądz do nas przyjeżdża, to już odprawia Mszę św., chrzci i śluby daje, a my się spowiadamy, choć on nie rozumie po polsku, a my bardzo mało po portugalsku.

Jest nas 47 rodzin i to mieszanina z całej Polski. Są z Kurpiów, do których ja należę (parafia moja była Czarnia), są między nami z powiatu Kolna, są i z Wileńszczyzny, od Lwowa, Czortkowa, Przemyśla, Łodzi, Katowic, Lubawy. Są katolicy, grecko-katolicy, prawosławni i ewangelicy, a wszyscy chrzczą się i śluby biorą u naszego księdza i w naszym kościele i budować go nam pomagali. Niedaleko od nas mieszka kilka rodzin polskich, osiadłych już od 45 lat. Pochodzą one z Pomorza, z powiatu Starogardzkiego. I tu są tacy między nimi, że nic nie rozumią po polsku, to są młodzi ludzie, ale i tacy są, co mało umia po por-

tugalsku i ci ostatni sprzedają tam swoje posiadłości i osiedlają się koło nas, nawet dwie rodziny czują się Polakami, nieumiejąc mówić po polsku i te także weszły w nasze grono.

Ziemia, wybrana pod kolonizację, jest bardzo skalista, to bardzo sucha. Mieszkamy między skałami, takie to łańcuchy, że chmury je zasłaniają, a powietrze bardzo wilgotne. Las wyrąbać i spalić to nie sztuka, ale pole utrzymać bardzo trudno gdyż zarasta prędko z powrotem, a jak się coś posadzi, nie można palić tylko wycinać motyką, i to dwa, a nawet trzy razy w roku, a to motyką raz przy razie dużo się nie obrobi pola, chyba u kogo liczna rodzina, a najwięcej jest rodzin, że do pracy 2, a do jadła 6 i zawsze głód i nędza, choćby i było gdzie sprzedać, to nie ma co. Zimowego ubrania tu nie trzeba, ale i letniego nie ma jak się należy. Umarło 7 osób, z tych jedna śmiercią naturalną...

Krzyżyków, medalików, koronek bardzo by nam się przydały, bo te, cośmy ze sobą poprzywozili, to od potu i wilgoci poniszczyły się, ale my są tu za biedni na sprowadzenie tychże i zapłacenie, a o jakiś prezent nie śmiemy prosić, bo to każdego kosztuje“.

Nędza dusz, nędza ciał... Prawdopodobnie niezaradność, nieprzystosowanie do tak odmiennych warunków, do trudnej walki ze zbyt bujną i pełną niebezpieczeństw przyrodą. Spowiedzi, których nie rozumie ksiądz, nauki, których nie rozumieją

penitencji... Brak wśród bezpańskiej gromady autorytetu. I ten głód Boga... Tak rzadko widzą księdza, a i z tym nie mogą się rozmówić, a i ten ich polskich dusz nie rozumie... Radzą sobie, jak mogą: w niedziele i święta zbierają się sami w kościele, śpiewają godzinki, różaniec, odmawiają litanie loretańską... W wielu koloniach polskich odprawiają wychodźcy sami takie nabożeństwa.

Z Jugosławii, z Derwenty, pisze gospodarz Szylkiewicz:

„Sprawa nadesłania tutaj kapłana-Polaka jest bardzo potrzebna, tylko, żeby ten kapłan był takim, który by potrafił zrozumieć ludność i jej potrzebami umiejętnie kierował. Inaczej ludność dziczeje, stroni od kościoła, oddaje się pijaństwu i innym nałogom, przez co zamiast oświaty, ciemnota panuje.

Ludność nie widzi swego nabożeństwa, nie słyszy kazań polskich, obojętnieje na wszystko, a ceremonie obce nikogo nie zajmują, gdyż przeważnie nie są zrozumiałe“.

Józef nie może wybiec w świat z rozpostartymi ramionami naprzeciw tym wszystkim, co wołają z dalekiej dali, tym wszystkim, co go potrzebują. Może tylko podnosić duszę wciąż wyżej i uczyć się zapamiętałe, wiedząc, jak w Potulicach zdwaja, potraja się wysiłki.

Potulice obchodzą trzechlecie założenia. Na tę rocznicę wykończony zostaje dom rzemieślniczy —

teren brata potulickiego, mieszczący zarazem drukarnię i redakcję czasopism, wydawanych w Potulicach. O tej rocznicy pięknie napisał X. Prymas:

„Trzechlecie Towarzystwa jest cudem Opatrzności.

Niech się wszyscy umacniają w wierze i bezgranicznym zaufaniu do Opatrzności. Tą wiarą i tym zaufaniem lubi Pan Bóg odmierzać swoje dary. I kochajcie wszyscy z całej duszy Serce Najświętsze“.

Józef w Gnieźnie pracuje, nad filozofią i nad sobą. Czasem praca odbiera mu siły, walczy wtedy z osłabieniem. W notatkach czyni takie postanowienie: „Nigdy nie mówić o zmęczeniu“...

Przypomina to jednego oficera z 1920 roku, który zabrany do niewoli, zginął z rąk bolszewików. Kiedy jego podkomendny skarżył się na nadmierne utrudzenie wśród ofensywy bolszewickiej, odpisał mu na kartce: „Nic nie chcę wiedzieć o zmęczeniu, nad Ojczyzną jest śmierć“.

I tu młody bojownik nic nie chce wiedzieć o zmęczeniu, które nieraz musiał odczuwać: nad milionami dusz zatrata, nad Królestwem Bożym na ziemi jest śmierć...

Rozwija się też u Józefa jeszcze nabożeństwo do Trójcy Św. Coraz to bardziej też staje się łagodny, chociaż w chwilach, gdy chodzi o ducha

Towarzystwa, umie być bardzo stanowczy. Jego religijność rozszerza swe widnokręgi, zaczyna widzieć sprawę Bożą, w skali światowej. Nieraz dyskretnie podsuwa X. Prefektowi modlitwy o potrzeby Kościoła Powszechnego.

Wreszcie studia gnieźnieńskie dobiegają końca. Zdaje egzamin najlepiej ze wszystkich. Przełożony decyduje, że na dalsze studia pojedzie na Uniwersytet Papieski do Rzymu.

W Wiecznym Mieście

A więc — podróż do Rzymu!

Ostatnie, serdeczne pożegnanie ze współbraćmi w Potulicach: „Najdrożsi Rzymianie, do zobaczenia w lipcu!“ Odjazd! —

Czekają go skarby nauk i sztuki, czekają olśnienia religijne w katakumbach, w prastarych kościołach, u grobu Apostołów, w pobliżu Namiestnika Chrystusa... Tymczasem pociąg unosi go wraz z towarzyszącym mu drugim klerykiem przez nieznane kraje. Szeroko otwierają się na świat młode oczy...

Wrażeniami swymi dzieli się Józef z potulickimi współbraćmi w imieniu swoim i drugiego współbrata jadącego z nim także na studia do Gregorianum:

„Roma, Roma! Przybiega tłum tragarzy. Proszą, klócą się, wskazują obrazki. Wreszcie odchodzą. Przy dorożce to samo. Za 10 lirów zabrał wszystkie 10 waliz i dwóch ludzi. Jak na Rzym — tanio. W porównaniu z Poznaniem od 2 do 3 razy drożej. Wrażeń tyle, że zapomina się o zmęczeniu, nieodłącznym towarzysz 44 godzinnej podróży.

U Was w Potulicach liście opadają, tu jeszcze nie zaczęły żółknąć. Bujna zieleń, ogromne palmy, pinie i inne drzewa, których na razie nie znamy. Przybywamy do kolegium. Stary dom bardzo prosty, więc się nam podoba. Mieszkamy przeważnie w pojedynkę. Sam mieszkam w pokoju, w którym podług potulickiej, wakacyjnej kalkulacji zmieściłoby się co najmniej dwudziestu! Kolegium znajduje się niedaleko od głównej ulicy, więc ruch wielki. Nie słysząc zupełnie trąbek samochodowych. To wszystko, jako zbyt cenny luksus, który tylko ludziom nerwy psuje, na szczęście zakazane.

Udajemy się do kościoła św. Andrzeja. Kościół bardzo ładny, pełno marmurów i rzeźb. Po lewej stronie ołtarz z cudownym obrazem Matki Najśw., Tej, która 20 stycznia 1842 roku objawiła się Alfonsowi Ratisbone, żydowi ze Strasburga. Przed tym ołtarzem, jak głosi tablica, upadł jako żyd zatwardziały, powstał jako chrześcijanin. „Cudzoziemcze, podziwiaj miłosierdzie Boga i potęgę Najśw. Dziewicy“. Tej to Matce naszej dziękujemy raz jeszcze serdecznie i z całą ufnością jej się oddajemy, pamiętając o tych, z którymi Ona na wieki nas złączyła“.

Chrystusowiec, który mu towarzyszył na studia do Rzymu, tak pisze o jego tam pobycie i podróży:

„W podróży pełen podziwu dla pięknych widoków. Pobyt w Rzymie był dla niego nieustannym zachwytem. Wszystko mu imponowało: uro-

czystości w Bazylikach, uniwersytetach, profesorowie, współkoledzy, a potem wszystko w ogóle, co włoskie: wojsko, policja, muzyka, język włoski“.

Wolne chwile poświęca teraz Józef zwiedzaniu zabytków Wiecznego Miasta. Robi to po swojemu, sumiennie, ogląda wszystko z grubym przewodnikiem w ręku. Dzieli się swymi wrażeniami z braćmi potulickimi. Widać w tych listach świeżą, chciwą karmi wrażliwość, zainteresowanie do tego olbrzymiego świata kultury, który zaledwie przeczuwał w wiosce wielkopolskiej, a który zjawił się przed nim, jak najpełniejsze urzeczywistnienie pragnień:

Oto opis Bazyliki św. Piotra:

„Przed Bazyliką plac św. Piotra, otoczony lasem potężnych kolumn doryckich w liczbie około 300. To sławna *colonnata di Bernini*. W środku placu obelisk egipski, coś 25 m wysoki. Powiadają, że przy ustawianiu go (co było rzeczą niebezpieczną i ryzykowną z powodu ciężaru obelisku) było zajętych 900 robotników pod kierownictwem słynnego architekta XVI wieku — Fontany. Karą śmierci zagrożono temu, kto by się odważył choć słowo głośno powiedzieć podczas niebezpiecznego podnoszenia. Gdy obelisk wznosił się wysoko ponad ziemią, powrozy zaczęły trzeszczeć i rwać się. Wtedy jeden z patrzących, nie bacząc na surowy zakaz, krzyknął: „Wody na po-

wrozy“ i tym uratował obelisk od rozbicia. Sykstus V, który uchodził za nieugiętego, nie tylko mu przebaczył, lecz dał jemu i jego potomkom przywilej, na mocy którego mogą dostarczać palm na papieskie ceremonie wielkanocne. Też przywilej, nieprawda? Dziś na szczycie obelisku znajduje się duża relikwia Krzyża św.

Obok widzimy dwa wodotryski, wysokie na 14 m. Wyrzucają tyle wody, że królowa szwedzka, Krystyna, przybywająca do Watykanu, podobno miała się wyrazić, że chyba na jej cześć przez kilka godzin wodotryski te działały.

Zbliżamy się do samej Bazyliki. Przed nami wspaniała fasada szerokości 114 m, wysoka 45 m. Przez ogromny portyk, który sam mógłby być osobnym kościołem, wchodzimy do Bazyliki. By opisać jej piękność i majestat, trzeba by mieć coś z tych geniuszów, którzy takie cudowne dzieła wzniesli Bogu na chwałę. My tego nie potrafimy. O potędze wrażenia dadzą słabe pojęcie już same rozmiary Bazyliki: długość z portykiem $211\frac{1}{2}$ m, szerokość w nawach, ramionach krzyża, $137\frac{1}{2}$ m, powierzchnia — 15.160 m^2 (więc przeszło 6 morgów), wysokość kopuły 119 m (od posadzki). Najprzód udajemy się do kaplicy Najśw. Sakramentu. Przepiękne Tabernakulum ze złoczonego brązu, kolumnienki pokryte warstwą lapis-lazuli, dzieło Bernini'ego.

Podchodzimy pod kopułę. Wspierają to arcydzieło Michała Archaniola 4 ogromne pilastry (ob-

wód pilastru u podstawy 71 m). Pod baldachimem Bernini'ego spoczywają święte relikwie Księcia Apostołów w tzw. konfesji, tak misternie inkrustowanej rozmaitymi marmurami, że podziwiać tylko anielską cierpliwość mistrza Maderno, który to cacko wykonał. Wokoło płonie nieustannie 89 złotych lamp. Tamżeśmy się modlili za Towarzystwo. Zeszliśmy się też pomodlić do grobu świętobliwego Piusa X. Prosty, biały sarkofag, zasypyany świeżymi kwiatami. Wokół płoną świece, a obok siwiuteńki kapłan odmawia brewiarz u stóp reformatora tej kapłańskiej, życiowej modlitwy. Napis, o ile pamiętam, brzmi: „Pauper et dives, mitis et humilis corde, rei catholicae defensor strenuus“ (ubogi i bogaty — cichy i pokornego serca, dzielny obrońca wiary katolickiej).

Zwiedził też kościół prastary S. Maria Maggiore: „Pragnęliśmy zwiedzić Bazylikę św. Jana na Lateranie. Ponieważ jednak przechodzimy koło Bazyliki S. Maria Maggiore, więc wstępujemy tam na chwilę. Bazyliki rzymskie lśniące takim przepychem i bogactwem, że słów brak, by to opisać. Tak też jest i z Bazyliką Matki Boskiej Większej. Bazylika pochodzi z IV w. Nazwa wywodzi się stąd, że ze wszystkich kościołów, poświęconych Maryi w Rzymie, (jest ich około 80, a wszystkich kościołów około 400) ta Bazylika jest największą i najwspanialszą. Przed frontem Bazyliki wznosi

się 42-metrowa kolumna z posągami Najśw. Panny. Obok stoi egipski obelisk, a napis na nim położony mówi nam, że „synowi nadnilowej ojczyzny smutno było stróżować pogańskim świątyniom, ale teraz raduje się, gdyż służy chwale Bogarodzicy“. Wnętrze budzi prawdziwy zachwyt. Po bokach wspaniałe, śnieżno - białe marmurowe kolumny, posadzka z różnobarwnych marmurów, sufit cały lśni od złota. W głębi nowy porfirowy ołtarz papieski pod brązowym złożonym baldachimem. W konfesji złożone są relikwie św. Macieja Apostoła oraz resztki żłóbka Jezusowego, przywiezione z Betlejem. Klejnotami bezcennymi tej Bazyliki są kaplice Sykstyńska i Paulińska (od Pawła V † 1620). Każda z nich mogłaby być odrębnym dużym kościołem. Nad kaplicą Paulińską pracowało przeszło 100 artystów. Największą po Najśw. Sakramencie świętością tej Bazyliki jest cudowny obraz Matki Bożej, malowany według podania przez św. Łukasza Ewangelistę. Obraz ten umieszczony jest w głównym ołtarzu kaplicy Paulińskiej, który pięknnością i bogactwem wprost oszłamia. Fachowo opisuje go X. Szczepański: na stopniach z białego marmuru spoczywa mensa ołtarza, a raczej wspaniała urna z najpiękniejszego wschodniego lazuruowego kamienia. Nad nią umieszczone 4 prześliczne kolumny z krwawego jaspisu indyjskiego. Podstawy słupów i kapitele są ze złożonego brązu i agatu. Ramy cudownego obrazu z najdroższego kamienia — lapis lazuli i z

ametystu — podtrzymuje 7 złożonych aniołów. Wielu Papieży miało szczególne nabożeństwo do tego cudownego obrazu. Kemens VIII († 1605) codziennie rankiem boso przychodził tu sprawować Przenajśw. Ofiarę. Benedykt XIV w każdą sobotę z ludem litanię śpiewał. Wrócimy tu jeszcze nieraz, bo krótkość czasu jakim rozporządzamy, nie pozwala nam obejrzeć wszystko dokładnie“.

Wielkie wrażenie wywiera na Józefie więzienie Mamertyńskie, w którym św. Paweł oczekiwał śmierci. Głęboko utkwiły mu w pamięci słowa, które św. Paweł pisał z więzienia do swego ukochanego ucznia, Tymoteusza: „Bo mnie już ofiarować mają i czas rozwiązania mojego nadchodzi. Potykaniem dobrym potykałem się, zawodu dokonałem, wiarę zachowałem. Na ostatek odłożony mi jest wieniec sprawiedliwości, który mi odda Pan Sędzia sprawiedliwy w on dzień: a nie tylko mnie, ale i tym, którzy miłują przyjście Jego. Spiesz się, abyś do mnie rychło przybył“ (II Tym. 4, 5—6).

Wrażenie to wraca do niego niedługo przed śmiercią. Opowiada o więzieniu Mamertyńskim, o śmierci heroicznej Pawłowej, krzepi się tym wspomnieniem na własną, przedwczesną śmierć.

Ale młody kleryk zwiedza Rzym, upaja się jego wielkością i artyzmem, oddycha historią wieków tylko wtedy, kiedy ma wolne chwile. Nie przeszkadza mu to w nauce — wszak po to go tu posłano, by studiował, by potem przyniósł pożytek Zgromadzeniu. Kolegów uniwersyteckich uderza jego niezwykła skupiona uwaga na wykładach: można by go uznać za wzorowego akademika. Kiedy inni na wykładzie nie zajmującym albo też niewyraźnie wygłaszanym nudzą się i rozmawiają, on zawsze i wtedy uważa, odpowiada tylko z konieczności, najczęściej pisząc odpowiedź na kartce, by nie mówić i nie przeszkadzać wykładowcy.

Ocenia w zupełności wspaniały dobór najlepszych sił intelektualnych w Gregorianum, zebranych ze wszystkich krajów Europy: „Na uniwersytecie nauka w pełnym biegu. Najwybitniejszym z tych profesorów, co nam wykładają, będzie pewnie Zapelena, hiszpan. Wykłada „De Ecclesia“ (o Kościele). Mówi tak szybko, że przez pierwsze dwa lub trzy wykłady zupełnie go nie można było zrozumieć. Bo tu Francuz wymawia łącznie po swojemu, Hiszpan — po swojemu i t. d. Zamiast i am mówią d z i a m, zamiast obiectum — obdziectum, i u r a — dziura, stat — sztat, cae t e r a — ci é t e r a itd. W to wszystko dopiero trzeba się wsluchać. Najweselszym profesorem, a bardzo dzielnym jest Tromp, Holender. Często powtarza: notetis bene, auditores ornatissimi!“

Raz to nawet powiedział żartem: „Quam vis ego sim professor valde doctus ...vos scitis me non esse actum purum, sed permixtum potentia“.

Prawdziwa swoboda wewnętrzna wyraża się u Józefa w dobrym humorze, nieraz w dowcipie, zabawnym „powiedzonku“. Ta zdolność wywołania wesołości rzuconym żartem lub trafnym porównaniem jest nieoceniona dla tych, którzy mają prowadzić ludzi za sobą, podtrzymywać w nich nastrój. A właśnie Józefa przełożeni w nadziejach swoich przeznaczają na takiego „przodownika“, na wychowawcę w Zakonie.

„Roma ...parens, magistra, patria“, jak się mówi w hymnie słuchaczy „Gregorianum“ w dalszym ciągu czaruje Józefa. Z Potulicką bratnią gromadą dzieli swe wrażenia:

„Kochani Bracia — pisze — dziękujemy najserdeczniej za miły list, jaki od Was otrzymaliśmy. Sprawił nam dużo prawdziwej radości, bo widzimy i pojmujemy, z tego, coście nam opisali, jak Pan Jezus naszemu Towarzystwu błogosławi. Toteż, nie chcąc pozostać dłużnikami, posyłamy Wam z radością wiązanek naszych przeżyć i spostrzeżeń. Otóż kiedyśmy się trochę po Rzymie rozejrzeli, łatwo nam było wyciągnąć wniosek, że jednak jest on trochę większy od Nakła czy innego Ślesina. Tak od naszego kolegium do św. Piotra będzie prawie 3 km., do św. Jana Laterańskiego — nieco dalej, a do św. Pawła za murami — około 7 km.“

Pracowite dni studiów płyną. Zeszyty wypełniają się notatkami, budzącymi podziw swą sumiennością, dokładnością, przejrzystością ujęcia. Jednocześnie Józef uczy się języka włoskiego, obracając na to czas rekreacji. Żeby zaś nie przekroczyć regulaminu, zabraniającego uczyć się w tym czasie, czyta wtedy tylko włoskie gazety, a po skończonej rekreacji szuka w słowniku nieznanых wyrazów. Idąc zaś na przechadzkę, powtarza je sobie i w ten sposób w szybkim tempie wyucza się języka włoskiego. W ogóle ma łatwość uczenia się języków, zwłaszcza romańskich.

Zaczyna go bardzo interesować Akcja Katolicka, chodzi nawet na wykłady o niej. „Wyszliśmy z tych wykładów — pisze — z tym głębokim uczuciem, żeśmy się zbliżyli do czegoś niezwykle świętego“. Pod wpływem tych nowych myśli na wakacjach w Golinie wygłosił odczyt w swej parafii p. t.: „Dobry przykład niewiasty w służbie Akcji Katolickiej“, w którym podniósł wielkie znaczenie kobiety i wpływ jej w rodzinie.

Józef jechał do Rzymu z wielkim pragnieniem każdego katolika: zobaczyć Ojca św. Nieraz spogląda na Watykan, na prywatne mieszkanie Papieża. Pisząc do swego dziadka z Rzymu na imięninę, posyła mu te wiadomości, które tak bardzo mogą zainteresować ludzi wierzących: „Przy Bazylice jest też mieszkanie Ojca św. Ojciec św. ma

już prawie 78 lat skończonych, a jeszcze bardzo długo i dużo pracuje. Idzie spać prawie zawsze po północy, czasem dopiero o trzeciej, a już o 5-ej wstaje. Tak to Zastępca Pana Jezusa mozoli się na ziemi, dla chwały Bożej i zbawienia dusz ludzkich“.

Te listy jego do rodziny... Tyle w nich troski o wszystkich. Ale nie ma w nich już żadnych ziemskich drobiazgów, nie widzi ich u siebie, nie widzi ich u drugich. Stara się dać tej rodzinie to, co uważa za najlepsze: słowo Boże, chce w nich przelać swój żar religijny. Zadanie przyszłego kapłana zaczyna od swoich.

Wśród przeciążenia studiami, nie zapomina nigdy: jest w tym samym mieście, gdzie blisko, za murami jest Namiestnik Chrystusa...

Na koniec następuje dzień tak oczekiwany, w którym udało mu się ujrzeć Ojca św.:

We czwartek 19 grudnia mieliśmy to wielkie szczęście po raz pierwszy widzieć Ojca św. Było to na konsystorzu publicznym w Bazylice św. Piotra. Za specjalnymi biletami dostaliśmy się na takie miejsce, że widzieliśmy z bliska i bardzo dobrze Ojca św. Na długo przed oznaczonym czasem Bazylika była przepełniona tysiącami ludzi. Po natężonym oczekiwaniu zerwał się grzmot oklasków. To znak, że Ojciec św. się zbliża. Oklaski się wzmagają, słysząc wszędzie okrzyki: „Evviva Papa!“ Wszystko poruszone, ludzie wcho-

dzą na ławy, wspinają się, byle szybciej ujrzeć Papieża. Wtem ozwała się z góry potężna fanfara, srebrnych trąb i już widzimy Ojca św. Poprzedza go długi moze na 100 m. orszak dworu papieskiego, kardynałowie, biskupi, wspaniała żandarmeria papieska, wojsko i gwardia szlachecka. Ojca św. niosą na sedia gestatoria. Na tle tego niebywałego entuzjazmu jeszcze silniej odbija się niezrównany spokój i majestat Ojca chrześcijaństwa. Tego wprost nie da się wyrazić. Wśród huku trąb, oklasków i okrzyków orszak sunie powoli ku tronowi przed konfesją św. Piotra. Tam Ojciec św. nakładał kapelusze kardynałskie 15 z nowokreowanych kardynałów. Niezapomniane to były chwile!“

Wraz z całym kolegium polskim jest też na specjalnej audiencji u Ojca św.

„Dziś, 26 marca, mieliśmy szczęście zetknąć się zupełnie blisko z Ojcem św. na audiencji, jakiej udzielił Kolegium Polskiemu. Ojciec św. przyjął Kolegium jako pierwsze przed wszystkimi innymi audiencjami, których było sporo. Papież wszedł szybkim, energicznym krokiem, pozdrowił po polsku Pana Boga, każdemu podał pierścień do pocałowania, po czym serdecznie przemówił, składając swe ojcowskie życzenia z powodu 70-lecia założenia Kolegium. Każdy z nas otrzymał potem obrazek, zdjęcie z katakumb św. Lucyny, przedstawiające symbolicznie Przenajsw. Sakrament. Ojciec św. wskazywał na ten „chleb mocnych“,

jako na źródło, z którego mamy czerpać siły, gdyż, jak mówił, „longe enim vobis restat via“ (daleka jeszcze pozostaje wam droga). Udzieleniem błogosławieństwa skończyły się piękne chwile „w Domu Ojca“.

Nie tylko wśród gmachów i pomników przeszłości nasycy Józef swą młodą wrażliwość, swą żądzę wiedzy. Nieraz odbywa dalekie wycieczki górskie, upaja się krajobrazem włoskim. Ale za Polską nie przestaje tęsknić: „Ładnie tu — pisze w jednym z listów — ale nierównie piękniej w Polsce. Przynajmniej dla nas. I z radością polecimy do Polski. Jak to dobrze wyraził Lenartowicz: — Prawda, że piękne cudze kraje, lecz sercu czegoś nie dostaje“.

Na Boże Narodzenie Józef wraz z drugim klerykiem, który jest z nim na studiach, pisze list z powinszowaniem do X. Prymasa. Jakaż jest jego radość, gdy otrzymuje odpowiedź od Dostojnego Założyciela. Dowodzi list Jego Eminencji, jak bliskim jest Mu Towarzystwo Chrystusowe, jak bardzo przywiązuje uwagę do wykształcenia i przygotowania jego członków, że nawet dla młodych kleryków znalazł chwilę swego tak bardzo wypełnionego czasu:

X. Prymas pisze:

„Moi drodzy, dziękuję Wam za list, wiadomości i modlitwy. Reprezentujecie tam wielką ideę

potulicką, którą ożywić musi duch rzymski, duch apostolski, wiejący od grobów św. Piotra i Pawła. W codziennym trudzie wewnętrznym i naukowym służcie sprawie swego powołania i utwierdzajcie się w Woli Bożej. W tej myśli wam błogosławie i życzę najobfitszych łask Najświętszego Serca.

Z serdecznym oddaniem

August Kard. Hlond.

Ojciec i syn

Jeżeli nieskończenie dużo miłości dają związki rodzinne, jeżeli tworzą więź, która, nieprzerwana, trwa do końca życia, tak, że każdy ból i radość ukochanych aż do najgłębszych trzewi targa, to jeszcze wyższym bywa związek, wytworzony przez duchowe ojcostwo i braterstwo.

Tu jest nie tylko troska o dobrobyt materialny i moralny drogiej istoty. Tu jest wielkie stopienie się dwóch dusz w idei, w prawdzie, dla której można porzucić, należy porzucić wszystkie więzy krwi, tu jest stosunek ucznia do mistrza, tu jest współuczestnictwo w twórczości Bożej, porywająca praca nad budowaniem Królestwa Bożego na ziemi.

Jeżeli widzieliśmy nieraz wielkie przywiązanie partyjników do swych wodzów ideowych, żołnierzy do swych dowódców i wodzów naczelnych, to jeszcze większym musi być przywiązanie wyznawcy do przodownika w dziele wiary. Tu chodzi o rzeczy najwyższe, najistotniejsze.

Prócz tego, czy chodzi o partię, czy o wojnę — mogą być w obozie politycznym w wojsku zdania

rozbieżne. Bojownicy lub żołnierze podporządkowują się ostatecznie większości, zachowując jednak swe zastrzeżenia co do słuszności posunięć swych wodzów, poddając krytyce programy i plany strategiczne. Wszyscy oni służą prawdom zmiennym i prawdom względnym.

Ale łączność w idei najwyższej, absolutnej, wieczystej jest najsilniejszą łącznością dwóch dusz: mistrza i ucznia, ojca i syna.

Tak piękny stosunek łączył Józefa Miękusa z Przełożonym Towarzystwa, ojcem jego duchowym: zupełne, bezdenne zaufanie, miłość i oddanie się, podziw dla starszego i więcej wyrobionego bojownika Chrystusowego, umiłowanie tej samej wielkiej sprawy,... ojcostwo w prawdzie...

Świadectwem tego przepięknego stosunku dwóch dusz są listy Józefa do Przełożonego Towarzystwa. Z Rzymu pisze:

„Prawdziwą, serdeczną wdzięcznością jesteśmy przepełnieni względem Boga najlepszego za to, że Ci, Drogi Ojczy, zdrowie przywrócić raczył. Mięły dni tak pełne dla nas niepewności. Nie wiemy, jakie Bóg względem naszej rodziny zakonnej żywi zamiary, zsyłając nam te krzyże. Tak sobie myślimy, że może jesteśmy tym ziarnkiem zbożowym, które musi wpierw obumrzeć, by potem mogło plon przynieść wielokrotny“.

Innym razem pisze:

„Dziękujemy najserdeczniej, za list, jaki nam raczyłeś przysłać, Drogi Ojczy, nie szczędząc swe-

go drogiego czasu. Co chwila mamy tak czułe dowody, że Towarzystwo o nas pamięta i tu w oddali. Odczuwamy, dobrze, ach, zbyt dobrze tę łaskę, jaką Bóg nam wyświadczył, pomieszczając nas w swej nowej rodzinie“.

W listach swoich do współbraci Józef albo wygłasza te ogólne, zbiorowe niejako modlitewne hasła wiary, które łączą Towarzystwo w jedno, albo żartuje, dla dodania wesołego nastroju, albo też opisuje rzeczy zewnętrzne. Swoje sprawy intymne, swój stosunek z Bogiem odsłania tylko Przełożonemu, z którym łączy go tak głębokie porozumienie duchowe:

„Jeżeli chodzi o sprawy duchowe, to różnie bywa. Raz spokój zupełny, aż dziwny, to znów walki przykre, o których tyle razy wspominałem. Dziwną drogą mnie Pan Jezus prowadzi, ale nie pytam, dlaczego. Na ogół trwam w uczucia pełnej zdumienia wdzięczności na widok niezmierzonej względem mnie dobroci Bożej. „Quia fecit mihi magna qui Potens est et misericordias Domini in aeternam cantabo“. Proszę często Jezusa, by mnie kochał i by mi był miłosierny, bo miłość Jezusa jest źródłem Jego szczodroblivości. Dziękuję Bogu, że tu nie mam żadnego urzędu. Nie masz pojęcia, Ojczy, ile mnie Gnieźno kosztowało! Ale to wie tylko Jezus. Tam też trochę zrozumiałem ciężar Twojej odpowiedzialności. — Czytam obecnie „Postęp duszy“ O. Fabera, już po raz drugi, bardzo powoli, bo dziwnie jakoś mi odpowiada

i dużo ma światła Bożego oraz ładną książkę kard. Lepicier „Jesu Cristo, de Dei nostri cuori“.

Temu najbliższemu ojcu powierza też chwile, kiedy słabnie, kiedy z trudnością utrzymuje się w pozycji „na baczność“ w tym boju o doskonałość, który zaczął. Nie ukrywa nawet swych dolegliwości fizycznych:

„Ostatnie trzy tygodnie były dla mnie wewnętrznie, a przez to i zewnętrznie (fizycznie) ciężkie. Teraz Panu Jezusowi za wszystko dziękuję. Jedynymi moimi modlitwami wtedy były: „Cor Jesu, in te confido, ne propicias me a Facie Tua“ i t. d. Ufam, że wszystko będzie bardzo dobrze“.

Zastanawia nas tu, że Józef, pomimo swych młodych lat, rozumiał to, co nie wielu ludziom rozumieć dogłębnie jest dano: że stan wewnętrzny wpływa zawsze na stan fizyczny, że może wszelka choroba, o ile nie jest próbą, jest tylko uzewnętrznieniem duchowych skaz i załamania.

Ale nigdzie bezgraniczne zaufanie i łączność ojca z synem nie uwydatniła się tak silnie, jak w liście, pisany jeszcze w r. 1936 z Goliny. Jest to w wylewie łez spowiedź duszy wyjątkowo „utalentowanej do cnót“:

„Drogi Ojcze, bardzo serdecznie dziękuję Ojcu za to, że w swej dobroci był łaskaw przysłać mi list, zapewniając w nim, że modli się za mnie.

Jakie to szczęście dla mnie, że jestem w Towarzystwie w tych chwilach, jakie przechodzę.

Kiedy Bóg powołał mnie w swym nieprzebranym miłosierdziu do Towarzystwa, oddałem Mu się całkowicie z wielkim, niezawsze roztroptym, ale szczerym zapalem. Prosiłem Go, aby dał mi dużo cierpieć dla siebie, dla dusz, by mnie nie o s z c z ę d z a ł. Pierwszy raz mówię o tym Ojcu, bo zawsze zapomniałem. Po tej prośbie Pan Jezus nie kazał mi długo czekać. Zsyłał mi przeróżne cierpienia, które jednym łańcuchem ciągną się dołąd. Zeszłego roku, za radą spowiednika, zmodyfikowałem swą prośbę, prosząc Pana Jezusa, by mi zsyłał w Swej łaskawości takie cierpienia, o których wie, że Ty, Ojcze, je zaaprobowiesz. Chodziło mi o to, by być w zgodzie z posłuszeństwem i niczego nie robić na własną rękę.

Na podstawie różnych oznak sędzę, że od roku przechodzę ciemną noc zmysłów... Ojciec najlepiej wie, jak różnorodna ona bywa. U mnie występuje we formie cierpień ciała i duszy. Podczas tego roku miałem i mam wrażenie, że znajduję się z Panem Jezusem na łodzi miotanej wichrami, która już, już ma zatonać, a Pan Jezus śpi. Nie wzbudziłem przez całe życie tyle aktów oddania się, ufności, co przez te parę miesięcy. (Co gorsza, przy spowiedzi jakbym o tym zapomniał lub też nie umiałem słowa powiedzieć.) Trzymałem się i trzymam kurczowo tych słów Pisma św.: Nemo confidit in Domino et confusus est, ecce Ego

vobiscum sum omnibus diebus. Nie uwierzę, by dobry Jezus miał mnie opuścić. Ileż to razy ze łzami powtarzałem: — Choćbyś mnie zabił, ufać Ci będę. — Pan Jezus po takich walkach dawał mi pewien czas spokoju, w którym, wiedząc z doświadczenia, że po tej ciszy przyjdzie burza, szczególnie gorąco Mu się polecałem“.

„Ciemna noc zmysłów“, którą przechodzi Józef, jest znanym określeniem dla przeżyć wewnętrznych opisanych przez św. Jana od Krzyża, znanego mistyka hiszpańskiego, kierownika duchowego wielkiej św. Teresy. Jest ona wstępem do osiągnięcia wyższego stopnia duchowego i odczuwana bywa przez natury wybrane, które już daleko postąpiły na drodze zjednoczenia z Bogiem.

Św. Jan od Krzyża tak określa „Noc ciemności“:

„Noc owa, która, zdaniem moim, jest kontemplacją, dwa rodzaje ciemności albo oczyszczeń powoduje w ludziach duchowych, stosownie do dwu części składowych człowieka, to jest jego zmysłów i ducha. Stąd jedna noc lub oczyszczenie będzie zmysłowa, w której oczyszcza się lub ogalać dusza według zmysłów, przez odpowiednie przystosowanie ich do ducha. Druga to noc lub oczyszczenie duchowe“.

Św. Jan od Krzyża tę drugą noc uważa za najwyższy stopień, prowadzący na wyżyny kontemplacji i zjednoczenia z Bogiem. Stopień pierwszy, „Noc ciemności zmysłów“ — podług własnej dia-

gnozy duchowej przeżywał Józef. Św. Jan od Krzyża mówi:

„Pierwsza noc lub oczyszczenie jest bardzo gorzka i przykra dla zmysłów, jak to niezwłocznie powiemy. Sposób, w jaki początkujący postępują na drodze Bożej jest niski i odpowiada raczej miłości własnej oraz upodobaniu, Bóg jednak chce ich podnieść ponad przyziemny sposób miłowania, na wyższy stopień miłości Bożej i wyzwolić z poziomych praktyk zmysłowości rozmyślania, przez które tak ograniczenie i niewłaściwie Go szukają i doprowadzić do ćwiczenia ducha, w którym obficie i doskonale mogliby się łączyć z Bogiem, jeśli, czas pewien szli drogą cnoty, z wytrwałością oddając się rozmyślaniu i modlitwie, a przy pomocy doznanej tym słodyczy, oderwali się od rzeczy tego świata i pewną ilość sił duchowych skupili w Bogu. Albowiem wówczas opanowują oni cokolwiek pożądanie stworzeń i mogą już znieść dla Boga odrobinę trudu, bez cofania się wstecz przy okazji. Kiedy więc tak ku przyjemności swej postępują w ćwiczeniach duchowych i gdy, zdaniem ich, jaśniej świeci im słońce łask Bożych, Bóg ich pozbawia tej właśnie światłości oraz zamyka przewód i źródło słodyczy, wody duchowej, z której dotąd pili, dowolnie, o każdym czasie, bo jako słabym i wątłym nie zamykałam bramy, jak mówi św. Jan w „Objawieniu“ (III, 8). Teraz zaś w takich stawia ich ciemnościach, że nie wiedzą, dokąd się zwrócić ze zmysłem wyobraźni

i rozmyślania. Nie umieją ni kroku być w medytacji, którą dotychczas odbywali z łatwością, bo zmysły ich wewnętrzne pogrążone są w nocy i w tak zupełnej zostawione oschłości, że nie tylko nie znajdują słodyczy i upodobania w ćwiczeniach duchowych, w których zwykli byli doznawać przyjemności oraz rozkoszy, ale na ich miejsce znajdują przeciwnie niesmak i gorycz w tych rzeczach.

„Gdy Bóg stawia duszę w nocy ciemności, by ją pozbawić upodobań i oczyścić z żądz zmysłowej, w niczym jej nie pozwala znajdować słodyczy ni smaku. Po tym to więc poznaje się dowodnie, że oschłość ta i ten niesmak nie pochodzą z grzechów, ani też z niedoskonałości świeżo popełnionych, bo gdyby tak było, natura uczuwałaby pewną skłonność, czy też chęć skosztowania jakowychś innych rzeczy, niżli Bożych“.

Oschłość więc ta i poczucie opuszczenia przez Boga, sam Józef, który niewątpliwie czytał św. Jana od Krzyża, nazywa „Nocą ciemności zmysłów“. Widocznie znajdował w swym stanie podobieństwo do przeżyć, wyrażonych przez św. Jana. Niestety, nie analizuje i nie określa swych stanów dokładniej, subtelniej i nie wiemy, czy ta miłość Jezusa, która ogołaca ze wszystkiego, jest zanikiem wrażeń szczęśliwych w obcowaniu z Bogiem, bezwładem wyobraźni i myśli, pogrążeniem się w noc mistyczną, czy też przygotowaniem do prawdziwej kontemplacji i, która, „ni-

czym jest innym, jak tajemniczym, spokojnym i miłosnym waniem się Boga“.

Czy burze, które przechodził („Pan Jezus po takich walkach dawał mi pewien czas spokoju, w którym, wiedząc z doświadczenia, że po tej ciszy przyjdzie burza, szczególnie gorąco Mu się polecałem“) były protestem młodego życia przeciwko wyrokowi zagłady, który podświadomie dla niego narastał w porażonych tkankach? Czy były buntem niższych władz w człowieku? Czy były momentami rozpacz, że nie ma tej doskonałości, do której tęsknił, że za trudno ją osiągnąć?

Tego już nam nigdy nie wytłumaczy. Czujemy tylko poryw duszy wybranej wzwyż, czujemy podnoszenie się do stopni Bożego tronu, zbliżanie się do przezręczystych stóp Chrystusowych...

Czujemy, jak boleśnie ugniatał plecy krzyż ofiarny.

I jak uginając się pod nim, zagrożony najgorszym, mówi ze straszliwą świętą zawziętością, z miłością, której nic zachwiać nie może:

— Choćbyś mnie zabił, ufać Ci będę...

W dalszym ciągu listu pisze:

Czytam życiorys S. Benigny Consolaty, który mi się stał źródłem wielu łask. Podczas gdy nie nie widzę i nie wiem, co ze mną będzie, Pan Jezus mi odpowiada przez tę swoją Sekretarkę, a mą szczególną opiekunkę: — Czyż potrzebuje patrzeć ten, kogo na rękach niosą? Są to chwile bolesne, ale potrzebne, są to czasy Boże, a duszy nie lep-

szego wtedy nie pozostaje, jak tylko poddanie się, wiara, uwielbienie i miłość. — Zdaj się na Mą miłość — mówił Pan Jezus do S. Benigny — a ona cię ogołoci z wszystkiego. Zacznie od rzeczy zewnętrznych, podobnie, jak ogień, który naprzód pali korę, a potem sięga głębiej. —

U mnie Pan Jezus „sięgnął głębiej“ podczas tych ostatnich dwu miesięcy „czasów Bożych“, które uważam za najpiękniejsze z całego mego życia w Towarzystwie. Jezus dał mi poznać, że kto nie oddał wszystkiego, nie oddał nic i nie może być Jego poufnym przyjacielem. Cichutko, przy rozważaniu pism Jego Sekretarki, wskazał mi Pan Jezus basztę, której poddania się zażądał. Basztą tą — moje dobre imię u Ojca i brak umiłowania pogardy. Ojcze, to, co piszę, pragnę pisać dla większej, wiecznej chwały Trójcy Św. i Serca Jezusowego, dla zmiażdzenia mego samolubstwa i pychy, a wszystko ofiaruję w Twojej i Towarzystwa intencji. Otóż proszę Cię, Ojcze, byś na mnie nie patrzył tak, jak dotąd, ale jak na grzesznika, jakiego nie było, nie ma i nie będzie w Towarzystwie...”

Tu w burzliwym porywie heroizm Józef oskarża się z grzechów, które mógł wyznać tylko spowiednikowi, do których wyznania nikt go nie zmuszał. Ale on nie chce, by o nim Ojciec miał dobre mniemanie. Czyni ten ostatni akt pokory, pokory, znanej tylko w średniowieczu, u tych wielkich świętych, jak Małgorzata z Kortony, którzy w napa-

dzie skruchy i żalu, szukając najcięższej pokuty wyznawali głośno swe grzechy. Tak bywało z Małgorzatą, która po głośnym oskarżeniu się z łkaniem, bólem i porywem niewymownego żalu, mając poczucie, że jest niegodną i potępioną grzesznicą, gdy ją odprowadzono do jej pokoju, wpadała w zachwycenie...

Duszy wybranej i umiłowanej, duszy ojca i mistrza chce podobać się uczeń, by miłość wzajemną uzyskać. Szacunek ojca i mistrza — to ostatnia baszta, która jeszcze się trzyma, której nie poddał oblegającemu ją cierpliwie Chrystusowi.

Ale teraz pada i ta baszta ostatnia... Chrystus ogołocił go ze wszystkiego.

Józef gorączkowo ciągnie dalej swą spowiedź, odsłania krwawiące karty swej duszy:

„To są wedle słów Pana Jezusa te gruzy i ruiny, które mam z Jego pomocą zamienić na materiały budowlane. Słowa Pana Jezusa do S. Benigny: „Uważaj się za łachman nieużyteczny. Czystą szmatką można jeszcze posłużyć się do wytarcia jakiejś rzeczy, ale ty siebie miej za szmatę brudną, obrzydliwą, którą nogą się odrzuca, bo jest tak wstrętną, że nikt jej do ręki nie weźmie. Takie przekonanie winnaś mieć o sobie, by zająć w Zgromadzeniu odpowiednie sobie stanowisko“. Te słowa są napisane dla mnie. O nic już teraz Cię, Ojcze, nie proszę, jak o to, byś mnie nie oszczędzał, byś mnie upokarzał na każdym kroku, byś mnie wspierał swą modlitwą podczas tej nocy mej

grzesznej duszy, bym doszedł tam, gdzie Jezus mnie chce mieć, Który niepomyślny na moją obrzydliwość z taką dobrocią i miłością wzywa mnie ku wyżynom. Ojcie, to, co napisałem, jest jedynie dziełem łaski Bożej, udzielonej mi przez Serce za pośrednictwem S. Benigny Consolaty. Pokój, jakim mnie w tej chwili darzy Pan Jezus, powiększa moją ufność, że Pan Jezus, w duszy mej obecny jest ze mną, że On po tej zimie burz i cierpień, choć nie wiem jeszcze jak długiej, odezwie się po raz pierwszy w duszy mej: — Surge propera, amica mea et veni. Iam enim hiems transiit, imber abiit et recessit, flores apparuerunt in terra nostra.

Wiem, że niejednej jeszcze ofiary Pan Jezus ode mnie zażąda. Niczego mu nie chcę odmówić, wszystko chcę przyjąć i o jedno Cię, Jezu, proszę: fac, ut sim Tibi fidelis!

Klękam w duchu u stóp Twych, Drogi Ojcie i proszę pokornie, byś mnie i Ty raczył pobłogosławić za Twym drogim Jezusem, w którym Cię miłuję“.

List ten pisał Józef już wtedy, kiedy był nieuleczalnie chory, kiedy od dłuższego już czasu cierpiał i męczył się.

Życie, które oczyścił ze skaz, które podniósł do najwyższego tonu, wymagało ostatniego zakończenia.

Przezwyćżenia bólu.

To jest miara, którą mierzy się ludzka dusza.

Józef dawno rozumiał wielkie znaczenie cierpienia w życiu duchowym. Widać to z jego listu, pisanego do dziadka:

„Pan Bóg zsyła nam cierpienia, byśmy już tu, na ziemi mieli swój czyściciel, jeśli te cierpienia przyjmujemy z miłości ku Bogu. Te cierpienia oczyszczają naszą duszę, żeby była godna zobaczyć to niebo, o którym powiedział Pan Jezus, że oko nie widziało, ucho nie słyszało ani serce człowieka nie odczuło tego, co Bóg przygotował tym, którzy Go miłują. A miłujemy Boga, jeżeli staramy się zachować Jego przykazania i przyjmujemy wszystko z Jego ojcowskiej ręki. Ofiaruj, Drogi Dziadusiu, codziennie rano, a i w ciągu dnia, jeśli sobie przypomnisz, wszystkie swoje cierpienia Panu Jezusowi przez pośrednictwo Najśw. Panny Maryi i powtarzaj sobie w sercu, że tu na ziemi pragniesz cierpieć z Jezusem, byś mógł kiedyś cieszyć się w niebie z Jezusem“.

Te umyślnie uproszczone słowa mają pod sobą głębię przeżycia. Przyjąć ból, kiedy przed nim wzdryga się dusza i ciało.... Pokonać odruch, którym się torturę odpycha. Przycisnąć do serca cierpienie, krwawiąc nielitościwie ręce i piersi.

Przyjąć ból dobrowolnie.

To znaczy zwyciężyć ból.

I do tych zapasów z wrogiem życia, niszczycielską siłą, która po to burzy na ziemi, by odbudować w zaświecie, przygotowuje się Józef tym ostat-

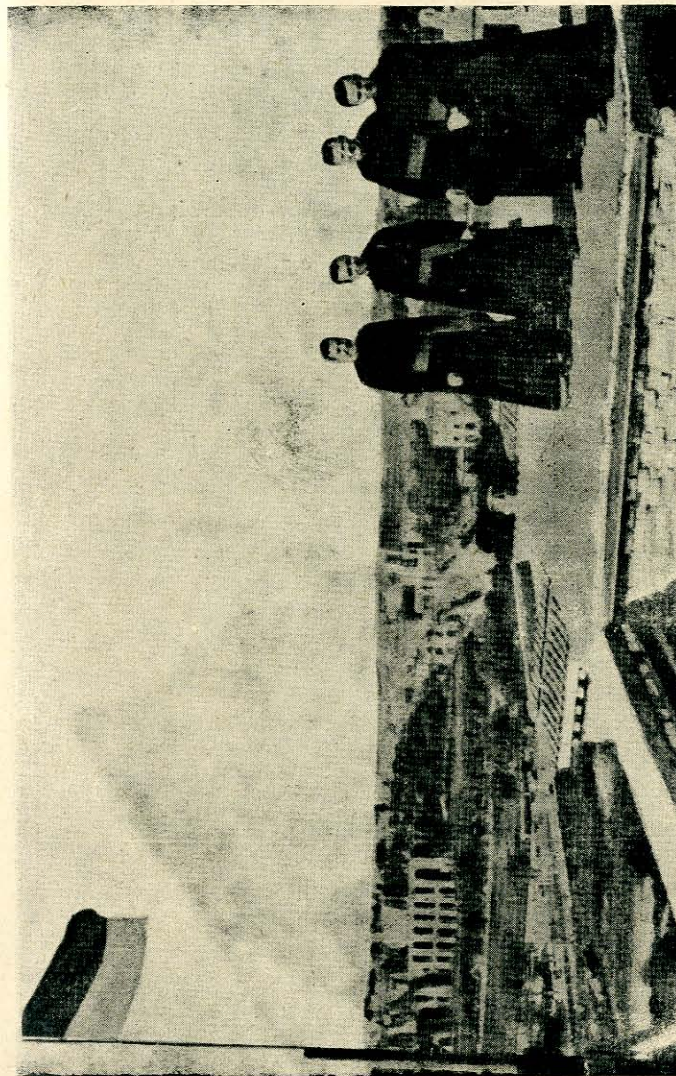
nim największym wyrzeczeniem, poddaniem baszty ostatniej swego zdobytego zamku:

baszty miłości własnej.

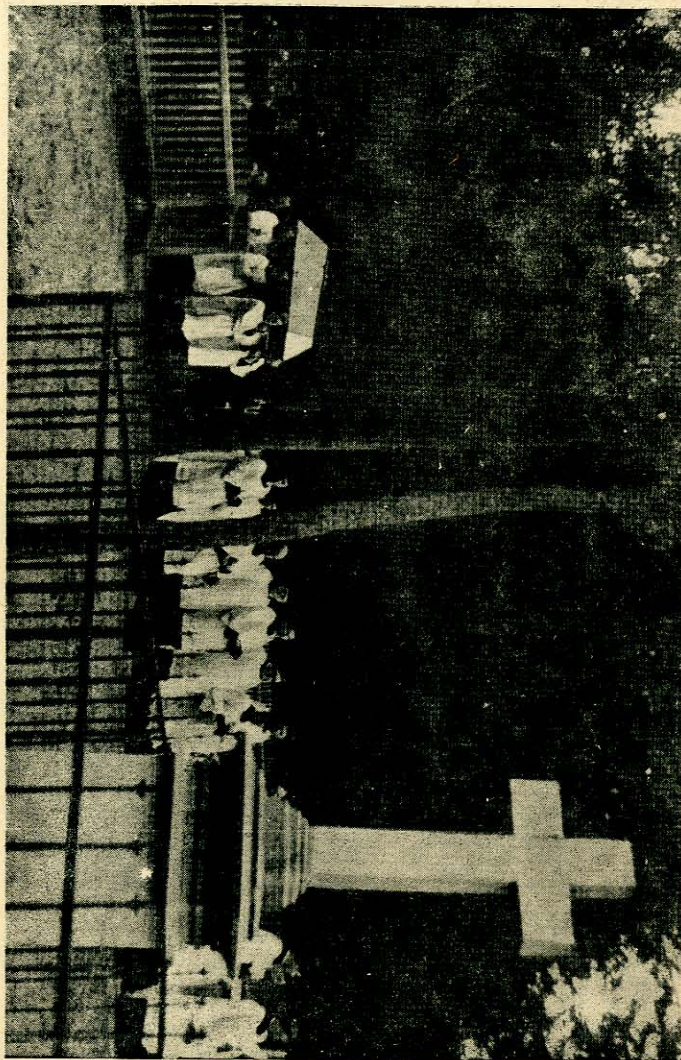
Oto wszystko już rozrzucił i rozwalił. Jego młode życie jest jak rumowisko. Nie został kamień na kamieniu. Wszystko zostało poddane wyższym celom, wszystko padło na ofiarę.

Gruz i rumowisko wszystkiej ziemskości.

Oczy jego jeszcze nie widzą, że nad tym rumowiskiem chwieją się w powietrzu olbrzymie, archańskie skrzydła, rozpostarte, by duszę w chwili zwycięstwa porwać i unieść w szczęśliwość, „której oko nie widziało, ani ucho nie słyszało“.



Józef na werandzie Kolegium polskiego w Rzymie



Kończy się krótki dzień...

Jeszcze z Rzymu pisał Józef do Przełożonego, że jakaś narośl sformowała mu się na szyi. Nie boli, ale coraz to mocniej uciska krtań, utrudnia oddychanie, wpływa ujemnie na serce. Z początku wydaje się, że to nic groźnego. Z polecenia Przełożonego Józef udaje się w październiku 1935 roku do Poznania, by poddać się obserwacji lekarskiej w szpitalu SS. Elżbietanek. Dr Tuszewski po odbyciu konsylium z dr Schlingmannem doradza operację. Józef za zgodą Przełożonego poddaje się operacji, której dokonuje dr Schlingmann. Operacja się udaje. Po kilku tygodniach Józef odjeżdża do domu rodzinnego, jako rekonwalescent.

Tymczasem dr Tuszewski donosi Przełożonemu, że narośl jest złośliwa, że życie Józefa jest w niebezpieczeństwie. Operacja nie pomoże, bo po kilku tygodniach nowotwór odrośnie. Nauka wobec tej choroby tymczasem jest bezradna. Czasem pomagają naświetlania Roentgenem, ale rzadko. Nowotwór ten nazywają lekarze „sarcoma”. Najdalej za dwa lata stoczy młody organizm.

Przełożony z początku nie mówi o tym choremu. Józef powoli przychodzi do siebie w domu. Ale narodził się odrasta. Za poradą dra Tuszewskiego Józef leczy się naświetlaniami, chociaż znosi je źle i nie może sypiać po nocach.

Pomimo osłabienia i złego samopoczucia po operacji, Józef składa śluby dozgonne w dniu 18 października 1936 roku w kaplicy prymasowskiej wraz z 9 innymi klerykami. Jest więc z Towarzystwem związany na wieki.

Nie myśli wcale o końcu, ale coraz to intensywniej pracuje nad sobą. Zda się, że Chrystus, chcąc go powołać do siebie, ostatnimi uderzeniami dłuta czeluży swoje dzieło.

W końcu grudnia wzywa go Przełożony do Potulic. Wyjeżdża on w podróż duszpasterską na Daleki Wschód i chce Józefa pożegnać, a przedtem powiedzieć mu otwarcie, co lekarze orzekli o stanie jego zdrowia. Nadziei ratunku nie ma. Za dwa lata mniej więcej powinien nastąpić koniec.

Musiałby to być cios okropny dla młodego człowieka, rwącego się do życia, do czynu, pełnego nadziei, dla człowieka, który nie zakończył cyklu swych przemian i nie dokonał w życiu żadnej z tych prac dla Królestwa Bożego, o których ciągle marzył. Wszak praca nad sobą, studia w Gregorianum — wszystko to było tylko przygotowanie do wielkiego połowu dusz.

Przyjmuje ten wyrok śmierci, z tak wielkim spokojem i poddaniem się Woli Bożej, że wzbudza tym podziw. Przełożony pyta, czy woli być teraz w domu, czy w jednym z domów Towarzystwa. Józef odpowiada, że najlepiej będzie się czuł w Potulicach. Po ludzku biorąc, nie ma dla niego uleczenia. Ale on wierzy, że teraz, po tych wszystkich najgłębszych przeżyciach religijnych, przyjdzie cud.

Woła cudu — on go uleczy. U Boga nie ma nic niepodobnego.

Odprowadza więc nowennę po nowennie do św. Tereski od Dzieciątka Jezus, do Andrzeja Boboli, wtenczas jeszcze błogosławionego. Wraz z nim modlą się bracia.

Modlą się o cud do tego, który ma zostać niebawem głównym Patronem Polski. Z nim razem odprowadza nowennę cały Dom Towarzystwa. Uzdrowienie Józefa, będzie tym ostatnim cudem, który przypieczętuje kanonizację.

Ale Bóg postanawia inaczej.

Józef wciąż wierzy, że będzie żył. Zachowuje się tak, jakby śmierć nie zbliżała się do niego cichym, nieustannym krokiem. W dalszym ciągu przerabia materiał, wykładany w Gregorianum, pracuje naukowo. Przecież to wszystko mu się przyda, jeżeli będzie żył... Jeżeli będzie żył...

Jest tak zdany na Wolę Bożą, że nie rozpacza, nie odczuwa lęku, wszystkich zadziwia swoim spokojem. Żyje tak, jakby miał żyć zawsze. Żyje tak, jakby w tej chwili miał umrzeć.

Często przechadza się w parku potulickim, który tak bardzo lubi. Kiedy w styczniu wybuchła epidemia grypy, czuje się jeszcze o tyle dobrze, że jest w stanie pielęgnować współbraci w chorobie. Czyni to z wielką troskliwością i usługowością.

Tymczasem choroba czyni przerażające postępy. Naświetlanie roentgenem usuwa chwilowo narośle, które znów odrasta. Sarcoma rozszerza się gwałtownie, obejmując szyję żelaznym pierścieniem. Teraz chory oddycha z trudnością. Już teraz staje się jasnym, że śmierć nastąpi przez uduszenie. Pod koniec lutego Józef kładzie się do łóżka. Ale leżeć nie może, bo to utrudnia oddychanie: prawie cały dzień i noc chodzi po pokoju. Pomimo coraz większego zmęczenia i wyczerpania chodzi rano do kaplicy na Mszę św. i przystępuje do Komunii św.

W drugiej połowie marca choroba wstępuje w ostatnie stadium. Następuje ten okres ofiary, o którym pisał w liście do Przełożonego: „Wiem, że Pan Jezus niejednej jeszcze ofiary ode mnie zażąda“. Przychodzi ta ofiara najcięższa — zwala się na niego dziki, nieprzytomny ból fizyczny, próbuje zadusić życie duchowe, szaleje, szarpie, torturuje wymyślnie i nieprzerwanie. Zastrzyki co raz to innych narkotyków na krótko tylko ból

uśmierzają i wraca on ze zdwojoną siłą.

Józef stacza walkę ostatnią.

Pokonać ból... Nie dać mu krzykiem cierpiącej materii przytłumić wszystko, co dusza przez młode, bogate życie uzbierała... Nie pozwoli spalić i rozproszyć plonu, który ma zanieść Zbawicielowi.

A cierpienia są tak wielkie, że trudno je językiem ludzkim wysłować. Przez ostatnie trzy tygodnie na chwilę nie może zmrużyć oka. Chodzi dzień i noc po pokoju albo siedzi w fotelu. Nie może się położyć.

Ale jeszcze go widzą w kaplicy, jeszcze bierze udział w rekolekcjach, które właśnie wtedy Dom Potulicki odprawia.

I nagle jak grom z jasnego nieba spada na wszystkich wiadomość: Józef presi o namaszczenie Olejami św. Nie chce nikt uwierzyć:

— Ależ parę dni temu, czy nie wczoraj widzieliśmy go jeszcze wśród nas...

Przed o. Legutkim, który daje rekolekcje, Józef odbywa spowiedź generalną z całego życia. Po spowiedzi o. Legutki mówi, że to dusza wyjątkowo uprzywilejowana.

15 marca, nazajutrz X. Berlik udziela mu Ostatniego Namaszczenia i wiatyku. Pomimo cierpień, przygotowuje się do tych sakramentów bardzo starannie. Odczytuje i zgłębia przed tym modlitwy, które kapłan odmawia przy Ostatnim Namaszczeniu. Przyjmuje je z pełną świadomością,

z wielkim zrozumieniem, ze zrozumieniem, że oto odchodzi, że oto spotka się z Chrystusem...

Tegoż dnia, w chwili uciszenia męczarni, pisze do współbraci w Rzymie list, winszując imienin jednemu z nich:

„Drogi Józefie, niech Ci Bóg udzieli łaski, byś w cichej, choć czasem rozstrajającej pracy jak najściślej z Nim się zjednoczył. Żeby Wola Boga w Tobie przebywającego i Twoja wola stanowiły jedność w Twojej osobie: erunt duo in carne una. Maryja, Matka nasza ukochana, która w boleściach całego życia nie przestała być Królową pokoju, niech Ci to wszystko uprosi u Serca Swojego Boskiego Syna“.

Dalej podaje wiadomości z życia Towarzystwa w Potulicach i Poznaniu: Pisze o zdrowiu braci, o przyjeździe X. Prymasa i Bpa Dymka i nie zapomina nawet opowiedzieć, że w Potulicach paliła się suszarnia bielizny w suterrenach, że szedł dym od mokrej bielizny i zachodziła obawa spalenia się domu, zaś straty pokryła Ubezpieczalnia. Dodaje zabawnie, że braciszczkowie nosili wodę do gaszenia ognia w misach od rosołu.

Po tych wszystkich, codziennych nowinach, pełnych życia, zda się, zainteresowań życiem, niesamowicie brzmi dalszy ciąg listu:

„Jeżeli o mnie chodzi, to dzięki Bogu, czuję się spokojny, jakkolwiek dotychczas wszystko wskazuje na to, że tempus resolutionis meae vehementer instat. Toteż, pamiętając o słowach Pana Je-

zusa: „Beatus servus, quem cum venerit, Dominus invenerit vigilantem — przyjąłem dziś Sakrament Ostatniego Namaszczenia i Komunię św. in forma Viatici. Modlitwom Waszym pokornie się polecam, bym spełnił Wolę Bożą, moje umiłowanie. Staram się o Was często pamiętać w mych niegodnych modlitwach, by Bóg Wam w ciężkiej pracy błogosławił.

Do widzenia — daj Boże miłosierny — w Urbs Jerusalem.

P. S. Kochanemu Józiewi Kołodziejczykowi również czułe zasylam życzenia imieninowe. Gorąco o modlitwę go proszę i wzajemną przyrzekam. Nie piszę doń osobno, bo jestem zmachany tą epistołą“.

To pisze człowiek, którego śmierć już dusi zimną ręką za gardło, który nie może już prawie spać. Z zupełnym spokojem, jakby tylko szedł spać, bez wielkiego patosu żegna się: do zobaczenia w Urbs Jerusalem! I po spaleniu się suszarni donosi najzwyczajniej, że przyjął Ostatnie Namaszczenie!

Nie pisze, jak bardzo cierpi, list ten datowany jest 15 marca, a 11 kwietnia już nie żył. Tylko pisze najzwyczajniej: jestem trochę zmachany tą epistołą.

A pisał ją ze zwykłą swoją sumiennością dlatego, że w liście tym stwierdzał różne należności i załatwiał drobne sprawy, które jeszcze na nim ciążyły.

Do ostatka pamięta o najmniejszym zobowiązaniu, chce odejść, nie nie będąc winnym nikomu.

Nie zapomina nawet prosić rodziny w liście przedśmiertnym, by oddano pożyczony przez niego słownik.

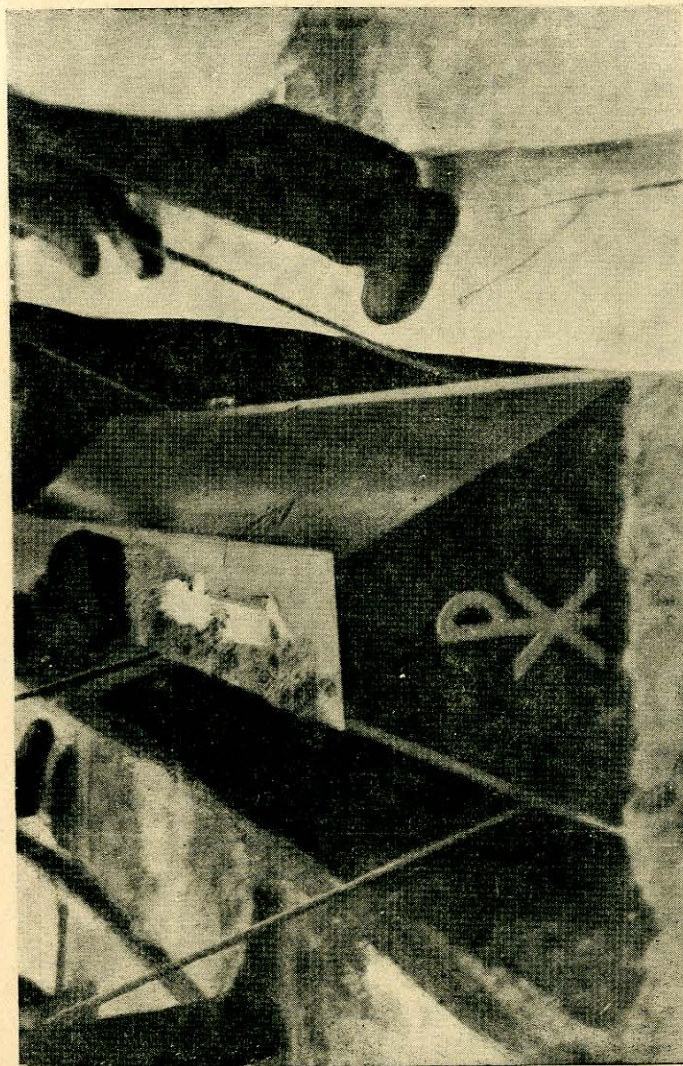
Pomimo cierpień, czuje otuchę po odwiedzinach X. Prymasa, który 25 marca przybył, by odebrać pierwszą dozoną profesję od 4 najstarszych braci. Odwiedził wtedy Józefa w jego pokoju, mówiąc mu o wzniosłości apostołstwa cierpienia i ofiary, jako o najpiękniejszym i mającym najwięcej zasługi rodzaju apostołstwa. Po raz ostatni też udzielił mu Arcypasterz swego błogosławieństwa.

Niepokoje go myśl o cierpieniu rodziny, której dotąd nie zawiadamia o groźnym stanie swego zdrowia. Ciągłe spodziewa się cudu — jeżeli zostanie uzdrowiony, to czy warto niepokoić rodziców, zwłaszcza ojca, który ciężko pracuje dla rodziny?

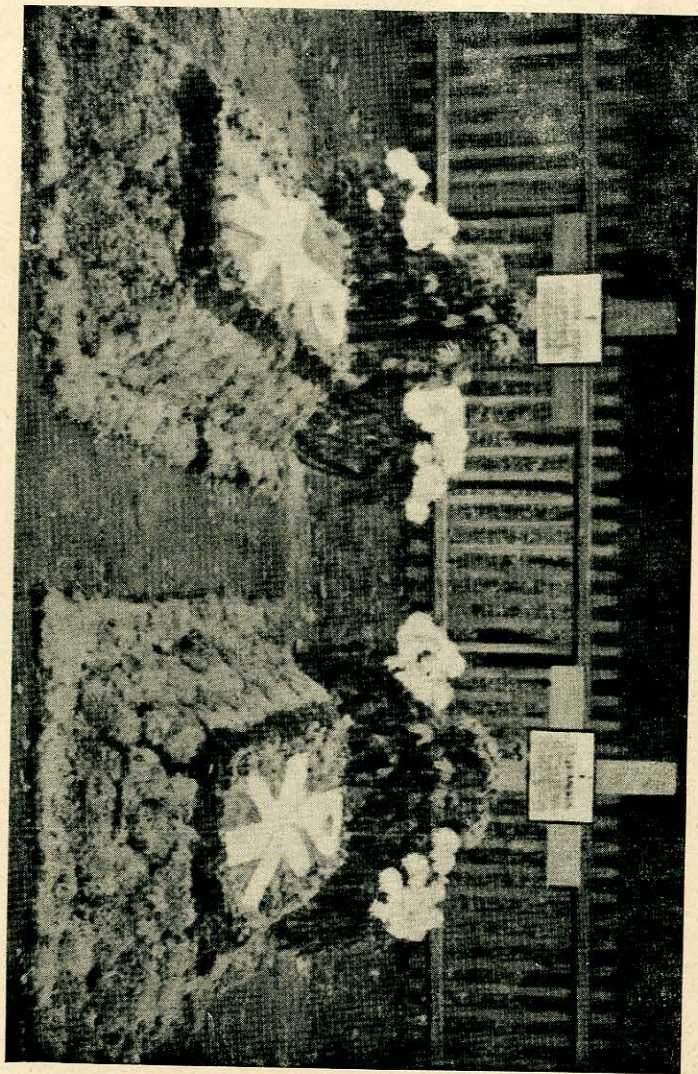
W końcu nie można już zwlekać. Józef już jest tak osłabiony, że listu sam napisać nie jest w stanie. Dyktuje go bratu pielęgniarzowi który ma pismo najpodobniejsze do jego pisma. Ten list — to jedno wielkie „Bądź Wola Twoja“:

„Najdrożsi Rodzice, Ukochane Rodzeństwo!

Najpierw dziękuję jak najserdeczniej Wam za nadesłane mi życzenia imieninowe. Dziękuję przede wszystkim za modlitwy w mej intencji zanoszone. Już tam Pan Jezus będzie wiedział najle-



Pogrąża się trumna w czeluściach ziemi



piej, jak je wysłuchać, na sposób prawdziwie ojcowski. „Bóg zapłać“ Władziowi za tak miły list przynoszący mi z taką radością tyle nowości z ukończonej Golicy, o których nawet drogi Ojciec nie wspominał.

Co do mnie, miałem jechać do Warszawy, ale z powodu pogorszenia się stanu zdrowia wyjazd ten nie przyszedł do skutku. Nie wiedziałem, będąc w Golinie, że ta narośl to rzecz bardzo poważna, złośliwa, mogąca zagrozić nawet samemu życiu. Przykro mi takie rzeczy pisać Wam, Najdrożsi, na te święta pełne radości, ale nie chciałbym prawdy przed Wami ukrywać. Narośl ta znowu się odnowiła, a nawet przedarła się do wnętrza organizmu. Z powodu wielkiego osłabienia nie mogę przyjechać do Golicy, proszę natomiast, aby Ojciec był łaskaw przybyć do mnie do Potulic, uwiadamiając uprzednio pocztówką o terminie przybycia.

Bądźmy wszyscy przekonani, że tymi dziwnymi może dla nas sprawami kieruje Najmiłosierniejsza Ręka Boga, którego Pan Jezus polecił nam Ojcem swym nazywać i o którym powiedział te pocieszające słowa, iż jeden włos z głowy naszej bez Jego Woli na ziemię nie spadnie. We wszystkich więc tych sprawach choćby i najprzykrzejszych mówmy zawsze z dziecięcym oddaniem się: „Panie, bądź Wola Twoja“.

Śpiewajcie więc mimo wszystko radośnie nasze świąteczne Alleluja, wyznając, że dobry jest Bóg i że wieczne miłosierdzie Jego. Duchem z Wami

będę złączony i modlić się będę o to, by Najświętsze Serce Boże w rodzinie naszej czczone i kochane okazało się hojniejsze jeszcze w rozdawaniu swoich łask tym wszystkim, którzy Je miłują. Serdeczne również życzenia świąteczne zasylam Drogiemu Dziadusiowi, przyrzekając pamiętać o nim w swoich modlitwach. Jeszcze raz serdecznie wszystkim was pozdrawiam, całuję najczulej, oddany w Chrystusie Wasz Józef“.

I jeszcze szereg poleceń dla brata, by pooddawał różnym osobom w Golinie książki i broszurki, pożyczone przez niego do czytania. Niech już wszystkie sprawy ziemskie, najdrobniejsze zostaną uregulowane!

Przyjeżdża ojciec Józefa. Ciężkie jest to spotkanie: ojciec nie może pokonać cierpienia, że zawiodły go wszystkie nadzieje, że już odchodzi ten syn ukochany. Józefa martwi i nęka cierpienie ojca. Zdołał jednak wzbudzić w ojcu poddanie się Woli Bożej. Cóż mu może zamiast siebie zostawić, czym go przy śmierci udarować, on, który się wyrzekł wszystkiego, jeżeli nie ostatnim ukazaniem Boskiego Mistrza, który goi wszystkie rany?

Nadchodząca śmierć Józefa wywołuje wielki żal wszystkich braci, którzy zdają sobie sprawę, że odchodzi spośród ich grona dusza wybrana, bożownik Boży, który mógł wiele zdziałać dla ludzi.

Kilku braci ofiarowuje swe życie za jego życie za zgodą spowiednika. Przeczyste uniesienia dusz niewinnych i żyjących w miłości.

X. Socjusz Berlik, który związał się świętą przyjaźnią z Józefem i przez cały czas choroby jest z nim, tuż obok, pielęgnując go nawet nocami, a więc najwięcej z nim przestaje, widząc zbliżającą się śmierć zadaje mu kilka pytań:

— Na co w nowicjacie zwrócić szczególną uwagę?

— Na modlitwę, zjednoczenie z Bogiem, skupienie, umartwienie, spokój. Trzeba koniecznie, aby każdy miał wysoki ideał i do tego ideału zdążał spokojnie przez praktykowanie modlitwy, skupienia, umartwienia. Gdy nie będzie ideału, wówczas praca wewnętrzna skończy się w nowicjacie, a później w czasie studiów zwracać się będzie uwagę wyłącznie na fachowe przygotowanie kapłańskie. Moim ideałem były słowa Pana Jezusa: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią“.

— Czy lękasz się śmierci?

— Nie lękam się, Nie modlę się specjalnie ani o zdrowie, ani o śmierć, oddaję się bezustannie Bogu.

— Co napisać klerykom w Rzymie?

— Podziękować za modlitwy o zdrowie, księżom za odprawienie Mszy św. Napisać, że normalnym zakończeniem tej choroby będzie śmierć,

o ile Panu Bogu nie spodoba się w cudowny sposób mnie uleczyć.

— Czy masz jakie życzenie na wypadek śmierci?

— Żadnego dla siebie. Pragnę tylko, by cała rodzina zakonna kochała Jezusa Chrystusa.

Przedostatnia noc przechodzi bardzo ciężko: chory dusi się ciągle, brak mu tchu. Prawie całą noc odmawia akty strzeliste i przy tym uspakaja się.

Prosi powiedzieć wszystkim, że już koniec nadchodzi i modlić się o ufność, spokój i łaskę, by mógł nieustannie oddawać się Bogu.

Zbliża się agonია.

11 kwietnia o 11 godz. wieczorem jasnym jest, że to już naprawdę koniec. Nowotwór tak ścisnął krtań, że chory nie może odetchnąć. Zdawało się, że udusi się. Przesiada się z fotelu na łóżko. Rzuca się gwałtownie w tył, pełen niepokoju i trwogi. Uspokaja go brat pielęgniarski, odmawiając akty poddania się Woli Bożej. Tymczasem nadchodzi X. Socjusz, księża i bracia.

Zwyczajem zakonnym zadzwoniono w „Vox Christi“ na znak, że zbliża się agonία jednego ze współbraci. Wszyscy obecni w domu — w liczbie około 160 — zrywają się z łóżek, udają się do kaplicy na modlitwy za konających. Głośno odmawiają różaniec, potem litanię za litanią.

Proszą o dobrą śmierć... O to, by w zupełnym zjednoczeniu z Bogiem młody zakonnik wszedł w jasność nieopisaną, lekko w wionawszy w nią rozprostowanymi skrzydłami, zostawiając za sobą mękę.

Sługa Chrystusowy, niewolnik Maryjny odchodzi... Dano mu krótką drogę krzyżową. Czy nie dlatego dostąpił tego miłosierdzia, jak ciosa mizerykordii, krótkiego miecza dla dobijania rannych, by mu odjętą została bardzo długa droga krzyżowa?

Nie nawrócił tych dusz, o których marzył za życia. Czy nie dlatego, żeby nawracać je swoim wspomnieniem po śmierci?

Przeczysta Dziewica jest z nim. Wszak jeszcze w ostatnich czasach przed śmiercią, wierząc wciąż w możliwość uzdrowienia, uczynił ślub za pozwoleniem Przełożonego, że odbędzie pielgrzymkę do Lourdes, by tam podziękować Matce Boskiej.

Nie traci przytomności umysłu do ostatniej chwili, nie lęka się śmierci. Straszy to, co odpychamy, tępi się ostrze grozy, gdy ją dobrowolnie do piersi przyciskamy. A on przyjmował życie w radości, a teraz przyjmuje śmierć, powiedziawszy Chrystusowi:

— Ufać Ci będę, choćbyś mnie zabił!

Wie, że do tych ostatnich chwil należy wieczność. Czuje to, co wyraził w „Achilleis“ Wyspiański, przez całe życie tragicznie zmagający się ze śmiercią:

„Przemóż śmierć, ducha twego siłą zgonu mierz!”

Jest gotów, przygotowany, jak żołnierz uzbrojony na polu bitwy. Siada ubrany na krawędzi łóżka. Opiera ręce na stoliku, przykrytym poduszką. W prawej ręce trzyma zapaloną świecę, a w lewej — krzyż profesyjny. Na poduszce leży obrazek z wizerunkiem Ukrzyżowanego i drugi — Matki Boskiej Bolesnej. Józef wpatruje się w te obrazki z najgłębszą wiarą, przyciskając je do ust od czasu do czasu. Po jednej stronie umierającego siedzi X. Socjusz, po drugiej — brat pielęgniarz. X. Socjusz poddaje bez przerwy krótkie westchnienia przed agonią, wyjęte z mszału łacińsko - polskiego. Wreszcie przywdziewa komżę i stułę i wraz z obecnymi zaczyna odmawiać po łacinie modlitwy za konających: „Wynijdź, duszo chrześcijańska z tego świata“.....

Umierający powtarza słowo w słowo wszystkie modlitwy ze zdumiewającą przytomnością aż do ostatniej chwili. Wszyscy obecni są do głębi wzruszeni tą jasnością umysłu i siłą głosu — tego biednego głosu, wciąż dławionego straszliwą żelazną obręczą na szyi. Dziwi to tym bardziej, że przez ostatnie dni mówił bardzo mało i głosem zaledwie dosłyszalnym.

Agonia się przeciąga. Po modlitwach za konających zaczynają obecni Różaniec i rzucają wieńce modlitw pod stopy Maryi, prosząc o zmiłowa-

nie: w godzinę śmierci naszej... Jak jasno teraz się rozumie znaczenie tej prośby, nad którą w życiu przechodzi się prawie zawsze do porządku dziennego.

Józef powtarza wyraźnie i dobitnie słowa Pozdrowienia Anielskiego. Około 2-giej po północy następuje scena pożegnania. X. Socjusz przerywa na chwilę różaniec.

— Józefie — odzywa się — pożegnamy się, za chwilę bowiem zabierze cię Pan Jezus do siebie. Zobaczymy się w światłości Bożej — w niebie. Pobłogosław mnie, a we mnie naszego Ojca, wszystkich księży, kleryków i braci.

— Dobrze — odpowiada, kreśląc nad głową X. Socjusza znak krzyża św. i wypowiada słowa: „Oto Serce Jezusa, które nas tak bardzo ukochało!“ —

Po kolei przystępują, żegnając się z nim, księża i bracia pielęgniarze. Tym ostatnim serdecznie dziękują za usługi w czasie choroby. Przeprasza za wszelkie odruchy zniecierpliwienia.

Zaczyna nim targać niepokój. Czy nie złe siły przypuszczają szturm zwątpienia i strachu w tej ostatniej godzinie? Od czasu do czasu skinięciem ręki prosi o pokropienie go święconą wodą. Od czasu do czasu powtarza:

— Módlcie się, módlcie się bracia!

W pewnej chwili pyta z udręką:

— Księżu Socjusz, co to jest? Trzymam w ręku krzyż, a mam straszne pokusy? Księżu Socjusz, po co te modlitwy, na co, czemu?

— Pan Jezus przyjdzie za chwilę i zabierze cię do siebie. Przygotuj się na Jego przyjście, odpowiada mu X. Socjusz.

— Księżu Socjusz, proszę mi udzielić absencji generalnej.

A po otrzymaniu jej, prosi znowu:

— Księżu Socjusz, proszę mi jeszcze udzielić błogosławieństwa.

Są to jednak bardzo krótkie chwile niepokoju. Słyszając słowa pociechy, na dźwięk imienia Chrystusowego odzyskuje znowu spokój. Po odmówieniu różańca, umierający prosi, by mu bezustannie poddawano akty miłości, akty zdania się na Wolę Bożą. Cała jego uwaga jest skierowana na akty i odwrócona od jakichś myśli przerażających, które próbują go osaczyć.

Zgadanie się z Wolą Bożą — ta idea przewodnia jego życia duchowego — jest w nim do ostatka. Kierując wzrok błagalny na Przełożonego, zapytuje:

— Kiedy się zacząłem gwałtownie dusić koło 11 godziny, wówczas prosiłem Pana Jezusa o przyspieszenie śmierci. Czy nie sprzeciwiłem się przez to Woli Bożej?

Jest więc posłusznym, pijąc kielich, aż do śmierci, aż do ostatniej godziny. Targa nim jeszcze chwilowy niepokój, który X. Socjusz chce opanować. Odzywa się więc do niego łagodnie:

— Józefie, bądź mi posłuszny, powtarzaj za mną słowa, które ci poddaję.

Umierający mówi z całą świadomością:

— Chcę być posłuszny. Pragnę wszystko zrobić jak najlepiej. Proszę mi tylko nieustannie poddawać akty. —

Jeszcze się płacze ziemską myśl — przerywa akty i prosi o oddanie słownika włosko-polskiego temu, od kogo go pożyczył. Niech nie pozostanie za nim ani jedno zobowiązanie niewypełnione, ani jedna niedokładność w stosunku z ludźmi.

Przez dwie ostatnie godziny umierający powtarza prawie nieustannie akty. I wśród nich wybiega prośba:

— O Jezu, pragnę umrzeć jako ofiara za grzechy swoje, za grzechy Towarzystwa i za grzechy wychodźstwa polskiego!

Wtem umierający spokojnie podnosi głowę. Rękoma obejmuje X. Socjusza. Całuje dłoń — pocałunkiem wdzięczności — za dobre przygotowanie do śmierci, za kierownictwo duchowe w życiu, za przyjaźń. Mówi spokojnie:

— Księżu Socjusz! O Jezu!

Potem przechyla się w tył, opuszcza głowę na piersi. Kilka drgnień przebiega ciało, które przechyla się i sztywnieje. — W Ręce Twoje, Panie, polecam ducha mojego — szepcze mu do ucha X. Socjusz.

Była godzina 4 m. 20 rano. Zaczęło świtać na dworze.

Dokonała się ofiara poranna. Obecni mówią „Magnificat“...

X. Socjusz schodzi do kaplicy, by oznajmić czuwającym braciom i klerykom, że Józef nie żyje.

Rozpoczyna się Msza św. za umarłych. X. Socjusz drżącym ze wzruszenia głosem odprawia Mszę św. Rozwiała się jasna linia wśród Towarzystwa, odszedł ten, w którym Przełożeni pokładali tyle nadziei, którego tak kochali bracia...

Na cmentarzyku potulickim za parkiem wzniosła się jeszcze jedna mogiła zakonna ze skromnym krzyżem drewnianym, na którym umieszczono słowa Chrystusa — słowa przewodnie, podług jego oznajmienia, przez niego wybrane:

„Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią“.

Szumiały wysokie stare drzewa i ćwierkały niezliczone ptaki. Spokój Boży panuje na maleńkim cmentarzu zakonnym.

Rozwiązały się więzy ziemi. Ale więź idealna z Towarzystwem trwa dalej.

Józef Miękus przebywa nieraz w kaplicy zakonnej, gdzie zastęp młodych braci śpiewa chwałę Chrystusowi. Wzmacnia wątpiących, podszeptuje wielkie, Boże myśli, sprawuje niewymowne misterium:

DUSZ OBCOWANIA.



171618

T R E Ś Ć

	str.
Przedmowa	5
1. S. O. S.	9
2. Znak z nieba	23
3. Hrabianka Aniela Potulicka	29
4. Pierwsi	39
5. Już w winnicy pańskiej	47
6. Szkoła entuzjazmu	56
7. Nowicjat	67
8. Śmierć hr. Potulickiej	80
9. Pod skrzydłami Prymasa Polski	87
10. Na front wydawniczy. Maszyna drukarska na- deszła	94
11. Obecność wiecznie żywa	104
12. Potulicki brat	115
13. Zmiana nazwy i Ustawy Towarzystwa	124
14. Życ z Kościołem	133
15. Za nasze i wasze zbawienie	144
16. Pierwsze śluby zakonne	151
17. W cieniu Bazyliki Gnieźnieńskiej	157
18. W Wiecznym Mieście	185
19. Ojciec i syn	199
20. Kończy się krótki dzień	213